Książka niniejsza jest własnością

Towarzystwa Czytelni Ludowych.

Szanuj książkę!

Książka mówi do Ciebie:

Jestem **własnością ogółu**, bo ze składek publicznych mnie zakupiono.

Kto mnie niszczy, **krzywdzi społeczeństwo.**

Dla tego obchódź się ze mną uczciwie, **n**[illegible] **niszcz, za**[illegible] **w czysty p**[illegible] muj mnie dł[illegible] potrzebujesz[illegible]

KAROL SZAJNOCHA.

SZKICE HISTORYCZNE.

I.

Barbara Radziwiłłówna.

W Złoczowie,
nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

Karol Szajnocha urodził się 1818 r. w miasteczku Komarnie w Galicyi, uczył się we Lwowie. Tu wystąpił z pracami literackiemi, najpierw jako poeta i napisał kilka dramatów. Z biegiem lat, nie biorąc zupełnego rozbratu z poezyą, przychylał się coraz bardziej ku historyi. Na tem polu położył wielkie zasługi jako badacz i pisarz i przyczynił się mocno do spopularyzowania dziejów, umiejąc przykuć uwagę czytelnika przedstawieniem wdzięcznem i barwnem. Najważniejsze dzieła historyczne Szajnochy są: „Jadwiga i Jagiełło“ (4 tomy) i „Szkice historyczne“ (4 tomy); wielce uwagi godne są także dzieła jego: „Bolesław Chrobry“, „Lechicki początek Polski“ i „Dwa lata dziejów naszych.“ Szajnocha był dłuższy czas redaktorem wziętego czasopisma „Dziennik literacki“, później zajmował posadę kustosza w Zakładzie Ossolińskich we Lwowie. Umarł 10. stycznia 1868 r.

Redakcya „Bibl. powsz.

Od czasów głośnej tragedyi Felińskiego stała się bohaterka opowiadania naszego jedną z najmilszych postaci fantazyi polskiej. Wiele też innych jeszcze prac poetycznych przyczyniło się do tem głębszego wpojenia nam jej rysów. Obok *Barbary Radziwiłłównej* Felińskiego przechowała się tragedya tegoż samego nazwiska pióra Wężyka. Później jął się tegoż przedmiotu, acz z innej strony, D. Magnuszewski, autor *Barbary jeszcze Gasztołdowej żony*. Obecnie zapowiedziały doniesienia literackie nowy poemat pod napisem *Barbara Radziwiłłówna*, utworu A. E. Odyńca. Wespół z dramatem ubiegała się także powieść o oddanie swojego hołdu tej nadobnej dziejów naszych ofierze. Pomijając różne mniej pamiętne powieści w języku francuskim i polskim, przytoczym tu przedewszystkiem wielkie dzieło A. Bronikowskiego *Hippolit Boratyński*, malujące śmiałym pęzlem dzieje Barbary. Oswojeni z tymi utworami czytelnicy mniemają znać dokładnie historyę pięknej żony Augusta. Atoli znają oni właściwie tylko

p o e t y c z n ą Barbarę, tylko dowolnie przeinaczony, cząstkowy, fantastyczny przerys jej dziejów. Właściwe ich sceny, opisane po większej części własnemi słowy głównych osób i widzów tego romantycznego dramatu, słowami mnogich listów Augusta, Barbary, Radziwiłłów itd., zawartemi w szacownych zbiorach historycznych, jak osobliwie w Michała B a l i ń s k i e g o *Pamiętnikach o królowej Barbarze*, właściwe miejsca i okoliczności całego ciągu wypadków, są w ogóle zbyt mało znane. Chcielibyśmy tu przypomnieć je czytelnikom. Oznaczając zaś tak wyraźnie h i s t o r y c z n ą intencyę tego opowiadania, nie potrzebujemy dodawać, że wszystkie przytoczone w niem szczegóły są umiejętnie prawdziwe i autentyczne. Nawet drobnostki jak jaskier i fiołki w ogrodzie radziwiłłowskim, formę listów Barbary, barwę jej sukni, wzięliśmy w każdym razie z ówczesnych korespondencyj, rejestrów, pamiętników i różnorakich zapisków. Nie będziem jednak cytować tych źródeł poszczególnie przy każdej wzmiance, ponieważ przyszłoby nam tylko odwoływać się ustawicznie do owych wybornych *Pamiętników* Balińskiego, gdzie wszystkie prawie nasze źródła w 2 tomach są zgromadzone. Im to przynależy wszelka zasługa erudycyi; z naszej strony przybywa tylko c h ę ć wyboru i układu szczegółów.

I. Schadzki.

Wyjeżdżając przed trzema wieki, w r. 1545, wschodnio-północnym gościńcem za bramy miasta Wilna, widziałeś po lewej stronie wzdłuż brzegów Wilii, naprzód niższy zamek królewski, oparty o wysokie mury kościoła katedralnego a tuż poniżej obszerny dwór radziwiłłowski, otoczony dokoła drzewami rozległego ogrodu. Jedyny przedział między tymi obudwoma gmachami tworzyła niezbyt szeroka ulica z rzeczką Wilenką, która jednem ze swoich ramion opływając cały zamek królewski, wpadała tu do Wilii. Na zamku przebywał młodszy król Zygmunt, 25-letni młodzieniec, mający powierzone sobie rządy W. Księstwa, od kilku miesięcy wdowiec po swojej pierwszej małżonce, Rakuszance Elżbiecie. Dwór radziwiłłowski służył za mieszkanie dwom dostojnym a również owdowiałym paniom. Pierwszą była pani Kasztelanowa Wileńska, wdowa po panu wileńskim i hetmanie W. Ks. L., Jerzym Radziwille, z małopolskiego domu Kolanków Wolskich, kasztelanka sędomierska; drugą, jej córka, młoda, 25-letnia Wojewodzina Trocka, wdowa po starym wojewodzie trockim Gasztołdzie. Ponieważ pan wileński przed czterą, wojewoda zaś trocki przed trzema laty umarł, przeto skończyły już obiedwie panie żałobę swoją i bywały od dłuższego czasu w kompaniach. Zdarzyło się im

nawet gościć w roku zeszłym kilkakrotnie na pokojach zamkowych, które przed śmiercią młodej królowej Elżbiety brzmiały ustawicznemi ucztami. Nie przyszło jednak wówczas do żadnego przyjaźniejszego zbliżenia między zamkiem a dworem, a z niedawną śmiercią królowej, przerywającą szereg dotychczasowych festynów dworskich, przerwały się także wszelkie pomiędzy nimi stosunki.

Zmarła królowa, jakkolwiek piękna, cnotliwa i powszechnie wielbiona, nie posiadała miłości swego młodego małżonka. Stąd nie bolał on srodze po jej stracie, a będąc nadzwyczajnie czynnym i lubiąc wielce zabawy, znosił z trudnością posępność obowiązkowej po Elżbiecie żałoby. Widząc to młodzi panowie, otaczający Zygmunta Augusta, starali się wszelkimi sposoby rozweselić go. W miejsce publicznych festynów dworskich nastąpiły teraz prywatne igraszki i krotofile, w których młody król zapominał z towarzyszami o wszelkiej różnicy stanu i folgował chciwie uciesze. W rzędzie tych towarzyszów można wymienić Stanisława Kiezgałła, stolnika w. litewsk., szwagra Mikołaja Radziwiłła Czarnego, stryjecznego brata pani Wojewodziny Trockiej, i Stanisława Dowojnę, podówczas starostę mereckiego, później wojewodę połockiego, również bratanka Radziwiłłów. Osobliwie ten ostatni, dworak przebiegły, obeznany z rzemiosłem lekar-

skiem, pełen sekretów i sentencyi medycznych, zresztą dwujęzycznik i krętacz, dbał o zadowolenie młodego króla. W gronie takich towarzyszy bywała często mowa o najpiękniejszych kobietach w kraju. Jednego razu wspomniano panią Wojewodzinę Trocką. Król przypominał ją sobie niewyraźnie z przeszłorocznych festynów dworskich. Głośne pochwały, oddawane niezrównanym wdziękom Wojewodziny, skłoniły króla do ponowienia sobie jej miłego widoku. Otoczony gronem szlachetnej młodzieży dworskiej udał się August w odwiedziny do sąsiedniego dworu radziwiłłowskiego.

Gościnna wycieczka króla przyniosła obudwom stronom wielką przyjemność. Zygmunt August przekonał się o rzadkich w istocie wdziękach pani Wojewodziny, którym jakkolwiek wybredny, nic zarzucić nie umiał. Jej nadzwyczajnie regularne rysy twarzy, alabastrowa cera, delikatna budowa wiotkiej postaci, byłyto jeszcze zalety, które z panią Wojewodziną dzieliło wiele szlachetnych córek Litwy. Ale czem ona silniej od wszystkich innych pociągała serce ku sobie, to była jej niewymowna słodycz wejrzenia, będąca w miłej harmonii z łagodnością jej mowy, z nadobną nawet powolnością jej ruchów. Widząc ją zdala, można było w tych spokojnych wdziękach upatrzyć brak potrzebnej do ich uzupełnienia żywości charakteru. Bliższe jednak wpatrzenie

się w piękne oblicze pani Wojewodziny, zapoznając z jej pełnem głębokiego marzenia okiem, z promienną dumą jej wyniosłego czoła, odsłaniało za to skarb innych, wspanialszych wdzięków. Zamiast żywości zewnętrznej ileż najpiękniejszego życia, bo życia duszy, jaśniało w tem zamyślonem oku, ocienionem lekko narysowaną rzęsą! Klasztorne wychowanie pań polskich nakazywało im zazwyczaj ukrywać światło tego wewnętrznego życia pod korcem pobożnej skromności i pokory. Wdowi stan pani Wojewodziny, nie pozbawiając ją uroku młodej dziewicy, pozwalał przebijać się temu światłu w śmielszem niekiedy spojrzeniu oka, w wyrazistszym tonie słowa tkliwego. Nadto było wychowanie niewieście daleko swobodniejsze w Litwie niż w Polsce; skąd też panie litewskie znały się od dawna na sztuce nadobnego uwydatniania swych wdzięków, jeźli nie chcemy powiedzieć, osidływania nimi serc mezkich. Mogła tedy piękna litewska wdowa tem snadniej zająć młodego króla polskiego, ile że on wśród ognistych spojrzeń włoskiego fraucymeru swojej matki Bony wyrósłszy, a klasztornem zwyczajnie ułożeniem córek Korony zniechęcony ku paniom polskim, pragnął właśnie swobodniejszego objawu wdzięków i uczuć niewieścich. Teraz znalazł on tę swobodę obfitego życia wnętrznego połączoną w nader uroczy sposób z naturalną skromnością łagodnego usposo-

bienia i ucieszył się tem jakby na widok najpowabniejszej, jaką mu się kiedyś ujrzeć podarzyło piękności.

Podobnież i wrażenie, sprawione obecnością Augusta, nie było wzajem niepomyślne królowi. Wysmukły, słusznego wzrostu młodzieniec, pociągłej melancholijnej twarzy, wzniosłego czoła, kruczego włosa, nie potrzebował być królem, aby się mógł podobać. Blask korony upiększał go dwójnasób w oczach matki i córki. Obiedwie oczekiwały z ciekawością, czy też odwiedziny królewskie wkrótce powtórzą się.

Odwiedziny powtórzyły się. Owszem, powtarzały się odtąd tak często, że wnet ciekawość, z jaką ich pierwotnie oczekiwano, ustąpiła u matki i córki jakiemuś dziwnemu zamyśleniu. Nie śmiano jeszcze powierzyć sobie swych myśli, lecz tak stara Kasztelanowa jak i piękna Wojewodzina zajmowały się widocznie coraz troskliwszem uprzyjemnianiem królowi odwiedzin we dworze radziwiłłowskim, baczyły coraz uważniej na każde słowo królewskie. Nareszcie wyczytana z nich wieść zdała się być dość pewną, aby ośmielić matkę Kasztelanowę do wyrzeczenia w poufnej rozmowie z córką słowa miłości królewskiej. Pani Wojewodzina wiedziała o tem lepiej niż matka, ale nic nie mówiła. Stała się tylko nieco weselszą i żywszą, co młodego króla tem więcej zachwycało.

Jawna już dla rodziny miłość króla w Wojewodzinie mogła wprawdzie zadziwiać, lecz nie obrażać. Córka domu Radziwiłłów nie zdala od tronu urodziła się. Niepodobna jej było zostać miłośnicą królewską, lecz podobna było koronie uwieńczyć jej skroń książęcą. Toć pradziad młodego Zygmunta Augusta, Jagiełło, podzielił się tronem z niezamożną, chorą szlachcianką polską; dla czegożby prawnuk wzdragał się związku z piękną córą rodziny, ważącej potęgą swoją losy kraju swojego? Nie lękał się więc dwór radziwiłłowski żadnego stąd uszczerbku swej dobrej sławie; ale spokojny względem tego, o czem był pewnym, że się nie stanie, nie zdołał z również obojętną spokojnością myśleć o tem, co się stać mogło. Możliwość ślubnego połączenia króla z Wojewodziną zajęła gwałtownie umysły Radziwiłłów. Postanowiono zezwolić na wszystko, coby króla przyzwyczajało do towarzystwa Wojewodziny. Matka Kasztelanowa nie umiała się nawet wstrzymać od zasiągnienia rady i pomocy środków nadziemskich. Czyto dla zbadania losów przyszłości, czy gwoli dojścia sposobów, którymiby młoda miłość królewska dała się rozżarzyć i utrzymać, udawała się stara Litewka do sztuk magicznych, praktykowała z wróżkami litewskiemi i jakimś Niemcem Hagnerem gusła i czary, sprowadziła nawet aż z Błonia pod Warszawą jakąś sławną wróżkę w tym celu. Bracia Wojewodziny, Miko-

łaj Rudy, podczaszy w. lit., rodzony, i Mikołaj Czarny, marszałek w. lit., stryjeczny, naturalni opiekunowie wdowy, patrzyli z pobłażaniem na zalecanie się króla do siostry. Jeźliż matka i bracia dla korony córki i siostry tyle wyrozumienia i względów mieli, dziwnaż, iż sama Wojewodzina lubowała w nadziei tego zaszczytu, który jej własną skroń miał ozdobić?

Toteż długo już ciągnęła się znajomość Zygmunta Augusta z Wojewodziną Trocką. Z czasem odwiedziny ceremonialne zamieniły się w poufne schadzki prywatne. Dawno już wyznał w nich August miłość swoją Wojewodzinie i otrzymał znak wzajemności. Miało to przecież być tajemnicą przed matką i braćmi. Takaż tajemnica osłoniła także coraz częstsze schadzki miłośne. Odbywały się one w ogrodzie dworu radziwiłłowskiego. Dla ułatwienia ich sobie kazał młody król zbudować most na Wilence, przedzielającej zamek od dworu. Tym to mostem, łączącym prawie bezpośrednio tylną furtę zamku niższego z furtą radziwiłłowską, pospieszał król wieczorami do ulubionego ogrodu. Byłto obszerny ogród włoski, otoczony cienistymi szpalerami litewskich lip i jodeł. W tylnej części ogrodu znajdowały się rozległe sady wiszeń, jabłoni i innych drzew owocowych. Bliższa pałacu część błyszczała rybnemi sadzawkami. Dokoła wód kwitnęły rozmaite rodzaje kwiatów, zasadzonych w duże bukiety.

Tu woniały krzewy bzu, rozmarynu i nardów, tam jaskru i bukszpanu, owdzie lawendy i fiołków. Cały ogród, z swoim przepychem roślin, z wznoszącym się w środku pałacem, wystawionym niedawno przez architektów włoskich, z niezwykłego podówczas materyału, bo z cegieł, uchodził w oczach tamtowiekowej Litwy za dziw cudzoziemskiej wytworności i elegancyi. Odpowiadała im też delikatność uczuć pary miłosnej, szukającej schronienia w cieniach ogrodu. Znany melancholijny temperament Augusta i łagodne, do marzenia i samotnych dumań skłonne usposobienie Wojewodziny, wykluczały z tych schadzek wszelką zmysłowość i namiętność. Trefiła je obca tym północnym stronom sentymentalność, zaszczepiona obojgu kochankom wczesną edukacyą włoską, przystającą nader zgodnie do wrodzonej miękkości serc. Gdyż i pani Wojewodzina otrzymała wychowanie w duchu dworu królowej Bony a niejedno z tajnych słówek miłości włoskim szeptało dźwiękiem. Niejedna też z słodkich niespodzianek tego miłośnego pożycia obdarzała kochankę i kraj północny nieznaną mu ozdobą ziem odległych, stron południowych. I jak najromantyczniejszy onego wieku czciciel płci pięknej, rycerski król Francyi, Franciszek I., mało co przedtem zaprowadził łabędzie na Sekwanie, tak i wytworny syn Bony ucieszył jednego razu kochankę niespodzianym widokiem sprowadzonych

przez się łabędzi. Osadzone na małej, wierzbowymi krzewy porosłej wyspie Wilenki, w pobliżu ogrodu radziwiłłowskiego, były one długo dla miasta Wilna wdzięczną pamiątką miłości młodego króla.

Ale nie ta subtelność sentymentu i nie te przybory wytworności zagranicznej stanowiły najpiękniejszą ozdobę tego ogrodowego romansu. Była nią głęboka prawda uczuć, ożywiających parę zakochaną, a zwłaszcza serce Zygmunta. Że Barbara kochała, nie dziw zaprawdę. W jednym wieku z Augustem, a temsamem, jako kobieta, starsza odeń moralnie, widziała ona dokładnie wszystkie światowe zyski swojego związku. Późniejsze okoliczności aż nazbyt nas oświecają, w jakiej cenie był u niej ostatni tego związku tryumf — korona. Gdy w następnych latach gwałtowny opór kraju przeciw małżeństwu króla z Barbarą zagroził mu nawet strąceniem z tronu; gdy wielu możnych panów zaprzeczyło mu władzy królewskiej a po całej Polsce krążyły już pogłoski o bezkrólewiu, nie ozwało się w Barbarze ani jednem słówkiem życzenie ulżenia mężowi nawału tych niebezpieczeństw przez poprzestanie na dokonanych już ślubach kościelnych, bez głośnego uznania ich od narodu, bez koronacyi. Gdyby nie rzadka roztropność Augusta, byłaby miłość Barbary, za Augustową chęć ubrania ją w koronę, wynagrodziła męża pozbawie-

niem go tej korony. Wielki tedy urok miała w myślach naszej kochanki nadzieja berła. Na szczęście dla dumy niewieściej, nie widziało oko kobiece nic wstrętnego w charakterze i powierzchowności swojego króla. W pierwszej młodości, przystojny, wspaniały, a nadewszystko tak szczerze kochający, jakże nie miałby on prawdziwej, równie szczerej wzbudzić miłości! Nikomuż zapewne przez myśl nie przejdzie, aby nie dowierzać uczuciom Wojewodziny. Kochała ona w końcu naprawdę, całą duszą. Ale o ileż bezinteresowniejszą, idealniejszą była miłość Augusta! Dla Barbary miał ten związek same rozkosze i tryumfy, dla Augusta, aż po jej zgon, same cierpienia. Ze względu na tę niczem niezachwianą wierność i wytrwałość Augusta, na tę prawdę jego młodzieńczego przywiązania, gdyby historya narodów była historyą prywatnych cnót królewskich, nie byłoby króla nad Zygmunta w stosunku do Barbary. I taż głęboka prawda uczucia podnosi piękność tych schadzek ogrodowych nad wszystkie znane w dziejach romanse. Obaczymy później, ile to czuła i uznawała sama Barbara, gdy w chwili, kiedy wszystkie ziemskie względy znikają, przeniosła wileńskie strony tego serdecznego kochania nad wszelką okazałość królewskiej stołeczności Krakowa, nad wszelką chwałę spoczynku pośród królów.

Trwało to serdeczne kochanie już kilkanaście

miesięcy. Dość długo — aby tymczasem rozejść się mogły po kraju różne o niem pogłoski. Zabiegły one aż do Korony, na dwór starego króla Zygmunta. Zafrasowana królowa Bona pisywała wraz z królewnami list po liście do syna Augusta w Litwie, odwodząc go od niestosownych związków. Toż samo postanowiła także uczynić teraz rodzina Radziwiłłów. Miano już wszelką pewność, że przywiązanie młodego króla dojrzało do tego stopnia, aby się nie odstraszyć przeciwnościami. Potrzeba więc nasunąć królowi przeciwności, któreby je tem mocniej zaostrzyły. Zaczem stanęła rada familijna pomiędzy matką Kasztelanową i obudwoma braćmi Mikołajami, Rudym i Czarnym, i udali się obaj bracia do młodego króla z pokorną prośbą, iżby raczył zaniechać odwiedzin u pani Wojewodziny Trockiej, podających cały dom Radziwiłłów, a zwłaszcza samą panią Wojewodzinę, w obmowę ludzką. Uderzony tą prośbą król uczuł natychmiast całą jej słuszność i gotów w każdym razie iść za popędem swego wspaniałego umysłu, dał braciom słowo, że nie przestąpi więcej progu mieszkania Wojewodziny. Bracia odeszli z głęboką obyczajem litewskim czołobitnią. August stłumił mężnie ból serca i nie miał już widzieć Wojewodziny.

I długo nie widział jej. Lecz mógłże nie widzieć zawsze? Gdzież moralna pociecha, któraby mu wynagrodziła taką ofiarę? Zyskiwałoż na niej

doprawdy dobro narodu? Umysł rozkochanego młodzieńca nie umiał tego uznać. W wiernem dotrwaniu kochance widział on tylko możność udostojnienia, uszczęśliwienia jej; a to nakazywało mu dotrwać. Czekał tedy jedynie porozumienia z Wojewodziną, aby się znowuż widzieć z nią potajemnie, w pięknym ogrodzie radziwiłłowskim.

Tymczasem stara matka Kasztelanowa radziła się guseł z wróżkami. Bracia strzegli bacznie furty ogrodu, wiedząc, co zrobią w razie nadejścia młodego króla. Pani Wojewodzina zaś szukała właśnie pieniędzy do pożyczenia. Piękne wdowy bywają zazwyczaj w ambarasach pieniężnych. Temci łatwiej mogło to wydarzyć się pani Wojewodzinie Trockiej, która w swoim sekretnym stosunku z królem miewała zapewne niejeden mały wydatek do załatwienia a jakkolwiek wielka pani, zwyczajnym ówczesnego gospodarowania trybem, znachodziła się często w niedostatku gotówki. Przeco w tym samym czasie kiedy młody król Polski i Litwy utęskniał do niej najmocniej, piękna pani Wojewodzina zastawiała u niejakiego p. Iwanowskiego łańcuch złoty i dwa czapraki złociste, ważące razem 227 czerw. złot. węgiersk. i półtrzynaście grzywien, za sto kop groszy i dwadzieścia kop groszy i ośm kop groszy i 8 miednic (96 garncy) miodu, przeznaczonego widocznie na potrzebę licznego dworu, zapisując

się na to wierzycielowi swojemu solennym, opieczętowanym cerografem w języku ruskim.

W kilka dni po wydaniu tego skryptu miał Zygmunt August nareszcie widzieć się znowu z Wojewodziną. Było to pod koniec września, r. 1537, w pogodną noc jesienną. Wziąwszy z sobą dwóch dawnych powierników, w. stolnika litewsk. Kiezgałłę i starostę Mereckiego Dowojnę, obudwoch poufników radziwiłłowskich, wszedł młody król znaną drogą do ulubionego ogrodu. Towarzysze pozostali na uboczu, August pospieszył do komnat Wojewodziny, do stóp kochanki. Gdy radość nowego widzenia się, nowej z sobą rozmowy zatarła już w rozgrzanem sercu kochanków wszelkie ślady smutku z rozstania poprzedniego, otwarły się podwoje i wstąpili do komnaty obaj bracia Mikołajowie, Rudy i Czarny.

„Przyrzekłeś, miłościwy królu, nie bywać u siostry naszej“ — ozwali się do królewskiego młodziana: „Dlaczegożeś więc przyszedł teraz?“

Wspaniały August spojrzał im dumnie w oczy i rzekł: „Któż wie, może dzisiejsze przyjście moje przyniesie wam wieczną sławę i cześć!“

„Daj to Boże“ — odpowiedzieli bracia radziwiłłowscy i uchyliwszy znowuż podwoi, przywołali oczekującego już za drzwiami księdza w ornacie. Weszła nadto stara matka Kasztelanowa z panem stolnikiem Kiezgałłą i w obecności tych

czterech osób pokrewnych związała stuła kapłańska ręce szczęśliwie zniewolonej pary miłosnej. Najgłębsza tajemnica miała okrywać ten akt stanowczy. Zależała od tego skuteczność dalszych starań o uznanie jego ważności w [illegible] c narodu. Pozostała tedy małżonka królewska i nadal przy matce, na dworze radziwiłłowskim, a nieprzerywane już teraz schadzki młodych małżonków były tąż samą osłonione tajemniczością, która dodawała tyle uroku niedawnym odwiedzinom miłosnym.

Zaledwie jednak sześć do siedmiu tygodni dozwolono było młodzieńczej parze używać tego szczęścia tajemniczego. Już w połowie listopada musiał Zygmunt August wybrać się w podróż do Polski, do Krakowa, aby bądźto w rodzinie królewskiej, bądź pomiędzy zgromadzającymi się właśnie na sejm piotrkowski panami przedsięwziąć pierwsze kroki ku uprawnieniu małżeństwa z Wojewodziną. Chęć podniesienia dostojeństwa Barbary nakazywała porzucić ją w pierwszych tygodniach związku lubego; ochoczo więc wyrwał się August w sprawie kochanki cd jej boku, i tylko tem się troskał, jakby na czas oddalenia swojego z Litwy ubezpieczył pozostawiony tam skarb. Dwór radziwiłłowski nie zdawał się na tak długi czas dogodnem ku temu miejscem. Potrzeba najściślejszej tajemnicy, a może nawet bezpieczeństwo osoby małżonki królewskiej, na

którą w razie zbyt gwałtownego oporu rodziny królewskiej i panów polskich mogłaby się targnąć zajadłość stronnictw lub skrytobójcza pojedyńczych nieprzyjaciół nienawiść, żądały schronienia Barbary w miejscu ustronnem, warownem, niedostępnem. Był takiem radziwiłłowski zamek Dubinki, odległy o siedm godzin drogi od Wilna. Tam więc miała małżonka królewska zamieszkać przez czas nieoznaczony, pod strażą właściciela zamku, brata Mikołaja Rudego, podczaszego w. lit. i Stanisława Dowojny, starosty Mereckiego. Jakoż jednego prawie dnia wyjechały z Wilna około 15. listopada r. 1547 w różną stronę mnogie podróżne powozy dworskie, uwożące młodego króla do Polski, piękną zaś małżonkę królewską do samotnych Dubinek.

II. Dubinki.

Od zamieszkania Barbary w Dubinkach rozpoczął się szereg jej bolesnych doświadczeń. Co w onych ogrodowych schadzkach z kochankiem, w samotnych rojeniach komnatowych, tak rozkosznymi snami przyszłości kołysało młodą Wojewodzinę, jakże srodze miało to obecnie w rzeczywistości dojmować małżonce Augustowej! Słodycze powszedniej miłości mogła Kasztelanka wileńska w każdym powszednim kosztować związku. Jedyną zaś rozkosz niepowszednią, jaką ten ko-

ronny związek przyniósł jej w darze dotychczas, upragnione miano „waszej królewskiej mości,“ którem usta kilku poufnych członków rodziny pieściły już ucho pięknej Radziwiłłównej, a którego nie wolno jeszcze było usłyszeć z ust cudzych, w przytomności tłumnego zgromadzenia, jakże drogo przyszło opłacić zaraz tak spiesznem rozstaniem się z kochankiem, tak przykrą pięciomiesięczną samotnością w ustronnym zamku.

Leżał on na dość wysokiej górze, w pośrodku szerokiej doliny, podnoszącej się ku głębi w porosłe dąbrowami pagórki. Podnóże góry zamkowej oblane było w około jeziorem, stanowiącem główną obronę miejsca. Dalej, po niższych warstwach wzgórz okolicznych, zieleniły się latem niwy różnego zboża. Cały prawie widokrąg zamknięty był ciemniejącem po wyżynach pasmem lasów odwiecznych.

Wyobraźnia dzisiejszych widzów lubi wystawiać sobie tę okolicę w świetle słońca letniego, kiedy z okien zamku na górze otwierał się prześliczny widok na czyste wody jeziora, na łany zbóż kwitnących, na wieniec dąbrów dokoła. Ale dziś niemasz wcale zamku w Dubinkach; znikły nawet ostatnie ślady gruzów z przybytku oblubienicy Jagiellońskiej, a w porze kiedy ona po raz pierwszy z okien zamkowych wyjrzała, szarzał cały widokrąg słotą jesienną.

Wszystko składało się na to, aby Barbarę

teraz udręczyć. Rozstanie się z Augustem, niepewność: jak długo wypadnie teraz przebyć w Dubinkach, niepogoda jesienna, wreszcie sama podróż do Dubinek, szesnasto-godzinną jazdą od rana do późnej nocy trudząca obiedwie damy, małżonkę królewską i matkę Kasztelanowę. — wszystko to wprawiło delikatną Barbarę w stan cierpiący, który nazajutrz po przybyciu na miejsce przeznaczenia wielce się jeszcze pogorszył. Pielęgnowała Barbarę w tej słabości sama pani Kasztelanowa. Przebiegły Dowojna pełnił obowiązki lekarza. W tymto głównie celu przyłączył go August, jak się zdaje, do zamku dubińskiego. Nie widział wprawdzie pan starosta Mecki innych symptomów cierpień Barbary, jak tylko „niewymowny płacz wielki a z onego tak wielkiego płaczu częste a okrutne omdlewanie.“ ale te bolesne objawy żalu po rozłączeniu z Zygmuntem, trwające przez cały tydzień, bywały niekiedy tak gwałtowne, że po kilkakroć przez dzień a nawet i w nocy przybiegano po pana starostę, mówiąc, że jej królewskiej miłości bardzo źle. To też nie darmo skarży się starosta w liście do króla Augusta, że gdyby tak miało było trwać dłużej, byłby niezawodnie oszalał, bo mu się ten tydzień wydał w takiej pracy za rok. Wszakże ta rubaszność ma właściwie zamiar pochlebstwa. Gdy bowiem owe płacze i omdlewania wywoływała jedynie żałość po królu, przeto

nieumiarkowany z tego powodu wybuch niecierpliwości starosty miał być tylko skazówką miłosnego szczęścia Augusta. Jakoż upewnia go starosta o niem w tym samym liście powtórnie, bez przenośni, „pisząc p r o s t o w. m. memu miłościwemu panu, że lubo ja sam w mych jeszcze nie starych leciech jestem, ale chociaż będzie drugiemu i sto lat, piszę w. król. mości memu miłościwemu panu pod mem sumieniem, jako się stworzyciela swego boję, żem nie widział, któraby małżonka miała małżonka swego tak miłować bardzo, jako jej miłość Waszą król. mość miłuje swego miłościwego Pana i małżonka. *Quia probavi et vidi.*"

Przerywały samotność dubińską tylko listy młodego króla. Pisywał je August zwłaszcza w początkach swej podróży bardzo często. Później, za przybyciem na sejm koronny w Piotrkowie, musiała miłość Augusta zwrócić całą uwagę na sprawy i okoliczności miejscowe, aby zręcznie z nich korzystając, zjednać przyszłej królowej potajemnie bogdaj kilku możnych sprzymierzeńców u dworu i w narodzie. Stąd listy królewskie stały się nieco rzadsze i tylko przypadkowo zastępowała ją jakaś luźna, często wcale mylna wiadomość z Polski.

W tym czasie piękna Barbara cieszyła swoją tęsknotę i pokątność swego przybytku nadzwyczaj gorliwą pobożnością. Byłto najsnadniejszy

środek zapewnienia szczęśliwego końca frasunkom dzisiejszym. Zdjęła tedy małżonka królewska w pokorze ducha swoje kosztowne szaty, a przywdziała odzież ubogą. Przyjęła nawet na czas oddalenia Augusta, jak starosta Merecki królowi pisze, „regułę bernardyńską.“ Zaczem jeszcze na dwie albo trzy godziny przede dniem wstawała z łoża, szła do kościoła, będącego na górze zamkowej i modliła się tam gorąco za Augusta i siebie. Wracając ze mszy obdzielała każdego dnia własnemi rękoma hojną jałmużnę pomiędzy ubogich okolicznych, nie wiedzących, z jakiej dłoni przyjmują dar pobożny. Zgoła teraz to dopiero, z okiem w błyszczącej zdala koronie tkwiącem, przybrała Barbara postać skruszonej, żałobnej wdowy, jakiej nie miała wcale, opłakując wczesny zgon pana Wojewody Trockiego.

Atoli wszelka pobożność nie zdołała złagodzić cierni opuszczenia i samotności. Cóż za fortunny dzień, gdy któryś z najpoufniejszych dworzan młodego króla, jadąc z Wilna za Zygmuntem Augustem, zboczył do ustronnych Dubinek, aby młodemu królowi naoczną ztamtąd przywieźć wiadomość. Oprócz tej pożądanej nowiny szły z nim natenczas listy od Barbary i jej obrońców, a listowi małżonki królewskiej towarzyszył jeszcze jakiś upominek miłośny. Zdarzył się taki niespodziany posłaniec, w pierwszych tygodniach pobytu w Dubinkach, w osobie pana Floryana

Zebrzydowskiego, sekretarza Augustowego, jadącego za królem do Piotrkowa. Będąc powitana odeń prośbą o słowo przyczynne do Augusta, poradziła się Barbara naprzód brata Podczaszego lit. Mikołaja Rudego i pana starosty Mereckiego, a potem zamknęła się w komnacie do pisania listu do króla.

Duży we dwoje złożony arkusz leżał w całej swojej długości przed nadobną oblubienicą Augusta. Zamyślona nad treścią listu, wybierała ona pomiędzy piórami, zaciętemi nadzwyczajnie szeroko, do grubego pisma rąk tamtoczesnych. Wybrawszy sobie najcieńsze, podniosła „jej miłość“ swoją piękną, tak czule nieraz przez Augusta pieszczoną rękę wysoko w lewy kąt półarkusza, i zaczęła u samej góry, jakby w dalszym ciągu jakiegoś na drugą kartę przeniesionego listu, w szeroko od siebie odległych, lecz wcale prostych liniach, dość drobnem na owe czasy pismem, następne kreślić słowa:

„Nayasznieyszy m k panye a panye moy m“ — Tem zapełnił się cały wiersz pierwszy. Poczem w zupełnie podobnym wierszu drugim, również starożytną pisownią, którą jednakże usta pięknej piszącej brzmieniem dzisiejszem, tylko zapewne nieco z litewska wymawiały, a którą my przeto zamieniamy w ortografię dzisiejszą, następowały bez żadnej przerwy:

„Jadąc za waszą królewską mością pan Ze-

brzydowski, wstąpił uprzejmie sam do Dubinek...“ Tu w następnym wyrazie pomyliło się pióro i dopiero po przekreśleniu kilku znaków ciągnęło dalej — „pytając sie po mnie, jeślibych co przezeń ku w. k. m. swemu miłościwemu panu pisać miała. Ja iżem to od niego słyszała, radam to uczyniła, że ku w. k. m. przez pana Zebrzydowskiego jako przez posła pewnego to swe pisanie posełam, którem w. k. m. swemu m. panu od pana Boga żądam długo *phortunnego* zdrowia, ku pociesze mojej wiecznej a najmniejszej słudze w. k. m. I przytem w tymże liście posyłam w. k. m. swemu m. panu“ — znowu pomyłka w następnem słowie „pierścionek“ — a nad pierścionek kapnęła mała plamka inkaustu — „który pokornie proszę, aby w. k. m. mój m. pan raczył odemnie sługi swej wdzięcznie a miłościwie przyjąć, a nosząc go przy sobie, raczył w miłościwej pamięci i w łasce mnie i służby moje zachować, jako pan a dobrodziej mój m.“ — Tyle zmieściło się na pierwszej stronicy półarkusza. Po szczęśliwem przewróceniu go na drugą stronę pisała ręka Barbary znowuż od samej góry dalej — „Aczem ja tego w. k. m. nie zasłużyła i nie znam się być tej godności, abym komu przyczyną swą u w. k. m. miała co pomagać, gdziem i sama jeszcze mało sobie służbami swemi zasłużyła łaski w. k. m., ale iże w. k. m. z łaski swej pańskiej raczył mnie sobie

za najmniejszą służebnicę obrać, pokornie proszę, aby w. k. m. raczył być m. panem cnotliwemu słudze w. k. m. panu Zebrzydowskiemu, co ja w. k. m. zasługować będę modłami swemi ku panu Bogu za *phortunne* zdrowie w. k. m. swego m. pana, które abych rychło zdrowego oglądała, daj to panie Boże." — Niżej w pośrodku — „w. k. m." — a u samego spodu, w prawym kącie arkusza — „najniższa sługa a wieczna niewolnica B. R."

W końcu złożyła pisząca cały arkusz w formę podłużną i dawszy po wierzchu nadpis: „Jego k. m. memu m. panu w ręce — od królowej Barbary z „Dubinek" — zapieczętowała list sygnetem o herbie radziwiłłowskim *Trzy trąby*.

Uradowany posełką Zebrzydowski nie miał, jak widzim, ani w liście ani ze słuchu, wiele ważnych nowin do zawiezienia królowi. Nie ważniejsze też wiadomości nadchodziły wzajem od króla z Polski. Nie śmiąc odkryć przed czasem ślubów swoich obojgu rodzicom królewskim, zwierzył się August tylko dwom najprzedniejszym senatorom, panu i księdzu krakowskim, Janowi Tarnowskiemu, kasztelanowi, i Samuelowi Maciejowskiemu, biskupowi stolicy. Ci, nie chcąc zaburzać kraju niepotrzebnymi z tego powodu spory, okazali wprawdzie pobłażliwość związkowi królewskiemu, lecz nic więcej ze swojej strony zdziałać nie mogli. Jakoż całym skutkiem tej

podróży młodego królą do Polski miało być jedynie pozyskanie kilku stronników w Małej i Wielkiej Polsce. Któreto wiadomości, nie dochodząc wcale miary życzeń radziwiłłowskich, padały nic nieznaczącą kroplą w morze tęsknoty i samotności dubińskiej.

Już kilka miesięcy tak spędzono. Tymczasem zima rozsrożyła się w całej sile. Z zimą przybywały obrońcom małżonki królewskiej nowe obawy i troski. Bo jeźli już między powody jej zamieszkania w Dubinkach wchodziła także chęć zabezpieczenia osoby, tedy bezpieczeństwo to było mniejsze w zimie niż w innej porze. Zamarzłe natenczas jezioro, główna obrona miejsca, otwierało wolny przystęp do zamku. „W lecie“ — pisze starosta Merecki do Zygmunta Augusta — „gdy ze wszystkich stron woda w około obejdzie, chyba jednego Boga bać się w Dubinkach, lecz w zimie....“ W zimie należało podwoić baczność dokoła. I czuwano więc bacznie we dnie i w nocy. Pan Podczaszy lit. z panem starostą Mereckim obchodzili straże u bram i narożników zamkowych, a piękna małżonka królewska siedziała w swej narożnej komnacie nad jeziorem u okna i wiodła okiem po okolicy, lecz nie z obawy nieprzyjaciół, a tylko aby ujrzeć kogoś na gościńcu od Wilna, coby niósł wieści od króla.

W tem, kiedy tylko zewnątrz przyjaznych i nieprzyjaznych oczekiwano wypadków, zdarzyła

się dziwna przygoda wewnątrz. Gdy jednego razu panowie Podczaszy lit. i starosta Merecki bawili u królowej, w owej narożnej komnacie nad jeziorem, zapadła się w ich oczach część podłogi. Można sobie wyobrazić przestrach królowej. Uprowadzono ją na pół nieżywą do bezpieczniejszych stron zamku. Przy prędkiem zbadaniu przyczyn tego przypadku przekonali się panowie Podczaszy i Starosta, iż w sklepie zamkowym pod komnatą, z ogromnie staroświeckich murów wzniesionym, pękło zdawna porysowane sklepienie. Ślady tych przyczyn wpadały tak jawnie w oczy, iż nie podobna było przypuszczać podejrzenia innych powodów, lub oskarżać w tym razie kogo innego, jak tylko własny niedozór. Na siebież samego przyjął pan Podczaszy całą winę w dokładnym liście, wyprawionym natychmiast do króla w Polsce, aby prawdziwem doniesieniem wypadku ująć mu niespokojności z spodziewanych pogłosek mylnych.

Była tego wielka potrzeba. Do powiększenia bowiem wszelkich frasunków smutnego rozstania króla z kochanką przyczyniała się jeszcze złośliwość języków ludzkich. Wzbudzona fortuną Radziwiłłówny zazdrość pobudzała je do różnego rodzaju niepomyślnych miłosnej parze głosów. Przy obecnem zamieszkaniu Barbary w Dubinkach a Augusta w Piotrkowie zalatywały co chwila do Dubinek nieprzyjemne wieści o Piotr-

kowie a do Piotrkowa przykre pogłoski o Dubinkach. I tak niedawno, małżonka podskarbiego litewskiego, pani Janowa Hornostajowa, powzięła wiadomość, jakoby młody król, widząc niepodobieństwo potwierdzenia małżeństwa swego przez naród i rodzinę królewską, zaczął ostygać w miłości ku Barbarze i innym świeżym znajomościom serce przychylał. Z wielką skwapliwością od ucha do ucha podawana, doszła ta złośliwa nowinka aż do Dubinek i niemałej niespokojności nabawiła biedną Barbarę. Dopiero zwięzła odpowiedź uwiadomionego o tem Augusta, zdeptującego jednem słowem pogardy tę „plotkę“ Podskarbiny, przyniosła ulgę niejaką. Podobnież i teraźniejsza przygoda sklepu zamkowego w Dubinkach podała sposobność do mnogich plotek w Koronie. Jakiś pan Łaszcz, świeżo z Litwy do Piotrkowa przybyły, zatrwożył Augusta a ubawił ciekawców szczegółowym opisem nieszczęsnych przygody dubińskiej skutków. Według niego miała małżonka królewska zasypaną być cała rumowiskiem i mianowicie na oczy ucierpieć wielce od wapna. Pan Podczaszy lit., który podówczas pił właśnie z Dowojną w onym sklepie zapadłym, złamał rękę i nogę, a Starosta Merecki tak srodze się przestraszył, że przez kilka dni miał zupełnie mowę odjętą.

Po szczęśliwem przebrzmieniu tak „pletliwych“ pogłosek powracała w Dubinkach dawna

głucha samotność. Pobyt w tem warownem wygnaniu stawał się coraz przykrzejszym. Niecierpliwy Starosta Merecki nazywał go w listach do króla otwarcie „ciężkiem więzieniem.“ Podczaszy Radziwiłł słodził sobie to więzienie myślą o koronie na głowie siostry i w rodowem drzewie domu radziwiłłowskiego. „Bych też więc i pokonał wiek żywota swego“ — czytamy w jednym z jego teraźniejszych listów do Zygmunta Augusta — „a na głowie małżonki w. k. m. a swej m. pani widział przedtem królewską koronę, nie żałby mi zamknąwszy oczy, rzec onych słów: Teraz puszczasz sługę twego panie w pokoju.“ — Jeszcze goręcej marzyła o koronie Barbara, patrząc ciągle ku Wilnu a oczekując, „rychłoli ujrzy kogo, coby powiedział: owo król jedzie!“

I owo, jak wreszcie wszystkiego w życiu doczekamy się, tak też i królowa doczekała się dnia jednego, w którym nadszedł od Augusta list z doniesieniem, że w połowie lutego ujrzy go Wilno napowrót. I przybiegł po niejakim czasie nowy posłaniec, oznajmujący, jako król rzeczywiście stanął już w Wilnie. Ale oto nowy powód do smutku! Zamiast spodziewanego wezwania kochanki, aby zjechała do stolicy litewskiej, zamiast przybycia Augusta do Dubinek, nadszedł list królewski, zalecający Barbarze, pozostać jeszcze tak długo w zamku Dubińskim,

aż nader ważne okoliczności pozwolą jej połączyć się z małżonkiem.

To przejęło Barbarę niewymowną boleścią. Skądże ta zwłoka? myślała. Miałyżby wieści o zobojętnieniu Augusta nie być zupełnie fałszywe? Podobne przypuszczenie nie mogło obejść się bez srogich płaczów i jęków. Żałośna niecierpliwość Barbary miała posunąć się nawet aż do ubliżenia królowi. Przynajmniej najbliżsi krewni napominali później Barbarę, aby lepiej strzegła łaski małżonka swego, niż to było w Dubinkach. Teraz pan Podczaszy nie umiał sobie dać rady z siostrą. Zniewolony jej gwałtownem naleganiem, a może i sam o sprawę własnego domu niespokojny, i osobiście w Wilnie o stanie rzeczy chcąc się przekonać, sprzeciwił się wyraźnemu rozkazowi Zygmunta, żądającego po nim pozostania przy królowej w Dubinkach, i pospieszył z jej listem do stolicy. Ten niespokojny list maluje jawną trwogę Barbary.

„Ja sługa waszej królewskiej mości najniższa nigdym nie wątpiła w łasce w. k. m. swego miłościwego pana, którąm nad wszystkę godność i zasługi swe od w. k. mości zawsze aż i po dziśczas znała; i dziś tedy nic w niej nie wątpiąc, ani żadne wątpienie mnie o łasce w. k. m. mego miłościwego pana k'temu nie przywiodło; tylko mię to nie pomału boli, iż ja będąc tak bliżu boku w. k. m. nic nie słyszę o zdrowiu

w. k. m. swego m. pana, strzegąc się tego, aby w. k. m. czego Panie Boże racz uchować, na ten czas jako na zdrowiu swem z tej pracy, a z drogi dalekiej i niepogodnej, nie używał przeciwnego szczęścia. A iż też sama na ono tak długo nie patrzę, acz mi jest niepomału tęskno, wszakże nie moja ale w. k. m. wola niech się we wszem ze mną dzieje. Tegom się wzdzierzeć nie mogła ani chciała, abych zdrowia w. k. m. nie nawiedziła przez pewnego posła, którego na ten czas ku w. k. m. posyłam, sługę w. k. m. a brata swego, p. Podczaszego, aby on zdrowie w. k. m. nawiedził i ono okiem swem oglądał, z zaleceniem służby mojej w łaskę w. k. m. a potem tegoż dnia, aby mnie odkaz uczynił o zdrowiu w. k. m. mego m. pana, za to proszę... Łasce się w. k. m. swemu miłościwemu panu zalecam. B. R."

Pan Podczaszy znalazł Augusta niezmiennego dla Barbary, lecz nowymi obarczonego kłopoty. Nic prawie nie sprawiwszy w Koronie, zastał August w samejże Litwie niespodziewaną opozycyę przeciw swemu związkowi. Zgromadzeni w Wilnie na powitanie króla panowie rada W. Księstwa, poduszczeni przez nieprzyjazne Radziwiłłom stronnictwo, przedłożyli Augustowi gorliwą prośbę o zaniechanie tego już wiadomego w kraju małżeństwa. Za niezadowalniającą odpowiedź Augusta mszczono się ze strony przeciwników radziwiłłowskich powszechnem wyrzeka-

niem przeciw Barbarze, listowemi satyrami i mnóstwem paszkwilów, przylepianych do murów zamku, ratusza i dworów pańskich. Nie była więc pora drażnić rozkołysane umysły wystawnem okazywaniem Barbarze honorów i miłości. Pan Podczaszy otrzymał rozkaz powrócić w skok do Dubinek i zapewnieniem niezachwianego przywiązania Augusta skłonić małżonkę królewską do cierpliwości.

Mogła jednak ta cierpliwość w długie ciągnąć się lata. Nie wielce przeto pocieszył Barbarę powrót Podczaszego Mikołaja Rudego. Wiadomości od króla wymagały tak jednostajnie cierpliwego oczekiwania, że wreszcie ubyło im poniekąd uroku nowości i nadziei. Nowy dwumiesięczny pobyt w „więzieniu dubińskiem", dwumiesięczne przy 7-milowej tylko odległości niewidzenie się kochanków, nie zdołały ożywić sposępionego umysłu oczekującej. Wzięło nad nim górę najsmutniejsze z usposobień więziennych, moralne znużenie, zobojętnienie pozorne. W takim stanie mieszkańców dubińskich nie sprawiło wielkiego wrażenia przybycie w połowę miesiąca kwietnia, we czwartek, do zamku dubińskiego, dworzanina królewskiego z listem od Zygmunta Augusta. Atoli jakże niespodzianem wrażeniem uderzyła treść tego listu:

„Panie Podczaszy. Jest wielka a gwałtowna potrzeba tego, o czem twoja miłość wiedzieć bę-

dziesz od nas potem, aby pewnie a koniecznie jej królewska mość małżonka nasza najmilsza jutro przyjechała do Wilna na dobrą godzinę w noc, do dworu twojej miłości, pokryjomu, a ostatek tych rzeczy, których potrzeba królowej jejmości, niech w sobotę przywiozą. Tego największa potrzeba jest nam, *sic astra volunt* (tak losy chcą), aby jutro *certe, certissime* była w Wilnie. O wjechaniu na zamek, na to mamy sobotę: będziem o tem gadać i wszystko się powie. Niech ta droga twojej miłości *molesta* nie będzie. Jeżeliby jakich koni trzeba było *in obviam* (na przeciw), dawaj rano znać. Także nam zdaje się, oprócz pacholąt, aby który służebny *propter aliquod... accidens* jechał. Jedno aby jutro, *atque iterum* aby jutro wyjechała. We czwartek 48. Sigismundus Augustus *Rex Pol.*"

A więc właściwym celem tego nagłego wezwania było wjechanie na zamek, przedstawienie Barbary całemu Wielkiemu Księstwu jako małżonki księcia i króla! Skądże tak nieoczekiwany zwrot rzeczy! Pilnie wypytywany dworzanin nic odpowiedzieć nie umiał, upewniając, że ani w Wilnie ani na dworze królewskim nic nowego i głośnego nie zaszło. List Zygmunta Augusta odkładał do późniejszej chwili objaśnienie. Wypadło zatem poskromić próżną chęć zbadania istoty rzeczy domysłami i przedsięwziąć spieszne przygotowania do drogi. Skutkiem tego nader miłego

trudu mogła wreszcie małżonka królewska opuścić nazajutrz rano nieszczęśliwe Dubinki. Po pięciomiesięcznem ukryciu w ich pustelniczych murach uwiozła ją poszóstna kolebka tak znaną tęsknemu oku drogą ku Wilnu, drogą do tronu, przedewszystkiem zaś na wielko-książęcy zamek wileński.

III. Na zamku niższym.

Tymczasem dwudniowy przeciąg od wyprawienia listu królewskiego zmienił postać rzeczy publicznych w Wilnie. Wielki ruch panował w stolicy litewskiej. Otaczający Zygmunta Augusta panowie, dwór królewski, ludność miejska, wszystko zajęte było świeżo nadeszłą wieścią z Krakowa. Stary król Zygmunt umarł. Doniósł o tem naprzód wysłany z Krakowa do młodego króla goniec sekretny. We cztery dni później przybył stamtąd Jan Przerębski, proboszcz katedry krakowskiej, niosący urzędową wiadomość o śmierci starego a nastąpieniu dawno już ukorowanego króla młodego. Zabrzmiały wszystkie dzwony wileńskie, zajaśniały wszystkie kościoły światłem tysiąca jarzących świec, otaczających mary królewskie, przy żałośnem wśród głośnych modłów i pieni nabożeństwie. Objęcie rządów Korony przez Zygmunta Augusta zniewalało go oczywiście do rychłego odwidzenia nowej stolicy krakowskiej. Blizki zaś wyjazd Augusta z Litwy ściągnął do

Wilna tem większą ilość panów, mających pożegnać swego W. Księcia. W gwarnym tłumie tego licznego zebrania panów, tych brzmiących jeszcze powszędy ekzekwiów za duszę zmarłego króla, tych głośnych przygotowań do wyjazdu króla z stolicy a poruczenia rządów W. Księstwa krzątającej się około tego radzie magnatów — nie zwróciło na się uwagi ciche małżonki królewskiej przybycie i rozgoszczenie się w rodzinnym dworze radziwiłłowskim. Pozostała ona tam w ukryciu przez kilka następnych dni, aż do wtorku, dnia 17. kwietnia roku pańskiego 1548.

W tym pamiętnym dniu zwołał Zygmunt August wszystkich bawiących w Wilnie panów i urzędników litewskich w przedpołudniowej godzinie na wielką radę w zamku. Mnogość spraw publicznych w tak ważnej chwili zaprzątnęła zgromadzonych w sali zamkowej aż do godziny pierwszej z południa, czyli jak wówczas liczono, do dziewiętnastej godziny. Około tej pory dał się słyszeć w przedsionku szelest licznie wchodzących osób. Zygmunt August przyjął go z widocznem zadowoleniem i powstawszy z miejsca ozwał się do zgromadzenia: „Co słuszne i nader ważne przyczyny zmuszały mię taić dotąd, to wszystko dziś wam odkrywam. Barbara Radziwiłłówna, wojewodzina trocka, jest moją żoną, oddaną mi w małżeństwo obrządkiem chrześcijańskim, w obliczu krewnych., Wiecie, iż związku

takiego, prawnie pomiędzy chrześcijanami zawartego, żadna w świecie moc zerwać nie może.“

Poczem zbliżył się ku podwojom sali i otworzył je. W przedsionku widać było Barbarę, w świetnym stroju królewskim, w towarzystwie braci i licznego orszaku pań i kilku panów rad W. Ks., wysłanych przez króla do dworu radziwiłłowskiego, aby sprowadzili na zamek żonę królewską.

Wskazując zdumionym panom piękną Barbarę, oznajmił Zygmunt żądanie, aby odtąd, „gdy ją za wolą Bożą, z przedniejszego domu w Litwie i znacznego ojca zrodzoną, pojął sobie za żonę, oddawano jej cześć jako królowej i pani.“ To powiedziawszy, wziął król Barbarę jako uznaną już małżonkę swoją za rękę i zaprowadził ją z całym dworem do wnętrznych komnat zamku, przeznaczonych na jej mieszkanie. Nastąpiło natychmiast zamianowanie głównych urzędników dworu królowej. Stanisław Maciejowski, brat przychylnego małżeństwu królewskiemu biskupa krakowskiego, kasztelan lubelski, otrzymał urząd ochmistrza, Jan Tarło podczaszego królowej. Wreszcie pozostał przy niej aż do wyjazdu jej z Litwy pan Starosta Merecki, Stanisław Dowojna, mający ponoś głównie nad zdrowiem królowej pieczę, a wkrótce potem godnością wojewody połockiego za swoje usługi wynagrodzony. Uroczysta uczta stołowa zakończyła tę pamiętną

w życiu Barbary scenę, będącą pierwszym z wielu jeszcze dalszych kroków do tronu.

Widok upragnionej korony znacznie się wprawdzie przybliżył, lecz jakże drogo był on okupiony nowem cierpieniem serca! Wypadło mu powtórnie zaboleć pożegnaniem. Już w dziesięć dni po zamieszkaniu królowej na zamku niższym musiał August opuszczać znowuż Barbarę i spieszyć do Krakowa. Poranek 28. kwietnia, poranek wyjazdu Augusta z Wilna, wznowił małoco milszą teraz samotność oblubienicy królewskiej. Z siedmiu miesięcy jej małżeńskiego związku z głową koronną rozpoczynał się teraz szósty miesiąc rozstania i opuszczenia. Nie przyszłoż nigdy pożałować Barbarze, że August królem? Nie zdarzyłoż się jej pozazdrościć losu ubogim, ale nieprzerwanie sobą samymi uszczęśliwionym kochankom?

Barbara uśmiechnęłaby się na to zapytanie czułostkowe. Któż z nas doznał uroku korony, aby miał prawo wyrzekać na jej przykrości? Z każdego wyższego szczebla w drabinie życia, w tej Jakubowej drabinie z ziemi w niebiosa, otwiera się nowy widokrąg uciech i cierpień, a osobliwie nieznanych niższym stopniom życzeń i żądz. Rozkosze i żądze tych niższych stopni nikną tam we mgle lekceważenia; jakieś nowe żądania zajmują wszystko serce; rzecz, która na pewnem niższem stanowisku życia taką a nie

inną ma barwę, podniesiona na wyższe, wcale odmienny przybiera widok; a miłość naszej Barbary utęskniającej do korony, porównana z miłością kochanków sielankowych, prawie wszelki pozór miłości traci. Najmilsze marzenie pospolitych kochanków, ciągłe, nieprzerwane pożycie z sobą, ustąpiło w romansie Barbary konieczności ciągłego prawie rozstania; tak pożądane rojeniom pospolitych kochanków zespolenie wszelkich uczuć i myśli, zlanie dusz swoich w nierozróżnioną jedność, musiało w romansie Radziwiłłównej zamienić się w pokorny stosunek sługi do pana, przyczepiający do każdego miłośnego słówka kochanki kamienną wagę nieodzownej formuły: „w. k. m., mój miłościwy pan.“ Przy takiem zaś podupadnięciu uczuciowych przyjemności stosunku, przy takiem rozstrojeniu struny sentymentalnej, szukało serce aż nazbyt chętnie, aż nazbyt bez żalu, koniecznej wynagrody w tem jaskrawszem podniesieniu towarzyskich przyjemności związku z monarchą, w tem żywszem dźwięku struny dumy koronnej.

Znosząc tedy wyrozumiale przykrość rozłączenia z Augustem, cieszyła się Barbara nadzieją rychłego zawezwania jej przez małżonka do Polski, na zamek krakowski, w te błogie miejsca, które mogły przyozdobić skroń jej koroną. Tymczasem miał niższy zamek wileński zadowolnić rozbudzoną chęć panowania. Liczny i świetny

dwór otaczał tam małżonkę Augustową. Najdostojniejsze panie księstwa oddały jej czołobitnię litewską. Zwłaszcza od młodych, niespoufalonych długiem pożyciem z byłą kasztelanką wileńską i wojewodziną trocką, doznawała nowa W. Księżna litewska wszelkiej powinnej czci. Ale temci trudniejsza sprawa była z pańmi staremi. Te, znając Barbarę od lat dziecięcych, przyzwyczajone odbierać od niej oznaki uszanowania, harde i pretensyonalne swoją starością, wymagały od niej dla wieku swego większej atencyi, niż były gotowe okazać same dla królewskiej dostojności Barbary. Rozkoszujący teraz w ceremonialnych przyjemnościach umysł pięknej Radziwiłłówny czuł się tem niewymownie srogo dotkniętym. Nie dość nizkie ukłony a zapewne i cierpkie słówka niektórych matron doszły w żałośnych doniesieniach aż do uszu króla w Krakowie. Ku niewielkiemu pocieszeniu Barbary nie umiał mądry Zygmunt August znaleźć innego na to środka, jak tylko cokolwiek cierpliwości. „Co się tyczy tamtych pań starych“ — pisze król do Radziwiłła Rudego, będącego ciągle głównym opiekunem siostry a powiernikiem królewskim — „tedy już się tak ścierpieć musi do naszego z wami ujrzenia. Widzimy pewnie, że się tym paniom starym żadna przyczyna nie dała, ale jednak nie godzi się, jedno im folgować, snać dla dzisiejszego czasu, którego ludzie wszystko w gorsze obracać są „zwykli.“

Tak spokojne znoszenie bolesnego ubliżania małżonce więcej zapewne niechęciło Barbarę niż ją cieszyły inne tego listu słowa królewskie, pełne najmiłośniejszej zaprawdę troskliwości o zdrowie, o bezpieczeństwo Barbary. Dowiedziawszy się, że królowa w święta w katedralnym kościele św. Stanisława mszy słuchiwała, zniepokoił się Zygmunt, ponieważ teraz w tym kościele murują. „Nuż cegła spadnie, albo ją też kto rzuci na królowę, zawsze obawa niebezpieczeństwa być może" — pisze król do Podczaszego w tym samym liście. Byłoby więc lepiej, gdyby jej k. m. u św. Anny na mszy bywała. Albo jeśliby już koniecznie w katedrze mszy słuchać przyszło, należy wierzch umościć. Innym razem każe król w liście do Podczaszego baczyć mu na to, aby „jejmość tak długo w łaźni się nie myła; gdyż to jejmość po sobie baczy, że to jejmości zdrowiu szkodzi." Zwyczajnie uprasza król troskliwie w listach swoich, aby królowa nie wierzyła niemiłym wieściom, jakie mylnie z Korony do Litwy zalatują, nie frasowała się fałszywemi pogłoskami o napotykanych przez Augusta przeszkodach do uprawnienia ślubów małżeńskich. „Albowięm za takowymi frasunki można się w niemałe zdrowia swego naruszenie przyprawić, a nam stąd żal ciężki przynieść." Takież idylliczne dowody swojej pamięci miłośnej dawał król co chwila, w każdym liście Barbarze. On w romansie z nią nie

podniósł się, lecz zniżył o jeden szczebel w drabinie życia. Stąd kiedy ona, w blasku ceremoniałów rozmiłowana, staje się niejako mniej zrozumiałą zwykłym pojęciom romansowym, drobnostkowo czuły August zbliża się ku nam swoją czułością, gotów jest przestać być królem dla swej Barbary. Onto prawie sam jeden opędza wszelki koszt serca w tym romansowym stosunku. Barbara przeciwnie zasługiwała sobie swojem postępowaniem na surowe od najżyczliwszych i najbliższych bratanków upomnienie, aby na przyszłość „inak głowę i nogi schylała przed królem, niźli teraz bywało, by potem Bóg nie skarał za niewdzięczność takiego dobrodziejstwa, że z prochu wznosi ją na majestat.....“

Napomnienia te nie zdały się potrzebne. Serca Augustowego była Barbara już teraz aż nazbyt pewną. Coraz prawdopodobniejsza nadzieja koronacyi i berła rozkwitała tak bujnie przed płonącą wyobraźnią, że niepodobna było powstrzymać dumę pomimowolną, aby nie chciała zrywać przedwcześnie ponętnych kwiatów królewskiego znaczenia. Od czasu szczęśliwych przenosin na zamek niższy rozpromieniło się widocznie zdrowie i oblicze Barbary. Owe „stare panie“ i „pletliwe wieści“ z Korony rzucały wprawdzie nieprzyjemny czasem cień na nie, ale potrzeba było tylko przyspieszenia oczekiwanego kiedyś przyjazdu Barbary z Litwy do Polski, z wielkoksiążęcego zamku niż-

szego na królewski zamek krakowski, aby słońce dumy niewieściej jeszcze szerzej jaśniało. Wreszcie po pięciu miesiącach powtórnego rozstania zbliżyła się pożądana pora tego przyjazdu.

Nadchodzące z Litwy wiadomości owych drobnych frasunków koił August nieraz wzmianką o swojem życzeniu sprowadzenia żony do Polski. Dla umocowania go w tej chęci nie omieszkali radziwiłłowscy korespondenci i korespondentki Augusta ucieszyć go doniesieniem, że sama nadzieja tej podróży „przymnaża niepomału zdrowia i dobrej myśli“ Barbarze. Staranny o delikatne jej zdrowie August nie mógł nie użyć dalej tak pomyślnego lekarstwa. Wkrótce po onej wzmiance przybył obszerny list królewski, polecający Podczaszemu lit., przywieźć siostrę niezwłocznie do Korony, w szczególności do miasta Radomia, gdzie Zygmunt miał czekać przybywającej. Zarazem wydane zostały rozporządzenia koniuszemu królewskiemu i panu Staroście Mereckiemu Dowojnie, mającym dostarczać kolas i koni do tej drogi, jakoteż wszystkim miejscom noclegowym, aby gotowały stacye dla przyjazdu królowej.

Powolna zwykle w ruchach swoich Barbara nie ociągała się ponoś z przygotowaniami do tej podróży. Bądź jak bądź, była to zawsze coraz bliższa droga do tronu. Dotychczasowymi krokami swymi w Polsce przekonał August jedynie

matkę i panów polskich o swojej niezłomnej stałości dla Barbary. Matka i rodzina nie mogli mu już otwarcie jakiejkolwiek stawiać zawady; aby zaś i naród nie miał sposobności wszczynać sporu w tej mierze, postanowił August odłożyć sejm „na czas dłuższy“ i nie zwoływać go, aż to jego małżeńskiej sprawie będzie dogodno. Tymczasem miała królowa, jakby nic nie było, zjechać do Polski i przyzwyczaiwszy oczy i serca ludzkie do swego widoku, zbliżyć się nieznacznie do korony.

IV. Droga do korony.

Wyjazd Barbary z Wilna wypadł w pierwszą połowę września r. 1548, w rok po tajemnem zaślubieniu z Augustem. Ten sam początek jesieni, którego liście zwiędłe wyścielały młodemu królowi w roku zeszłym drogę na oną schadzkę ślubną, żegnał dziś temże liściem Barbarę z Litwą rodzinną. W radości z upragnionej podróży nie przeczuwała zapewne piękna podróżna, że to pożegnanie było ostatniem...

Liczny dwór towarzyszył Barbarze. Przewodniczyli mu ochmistrz dworu Stanisław Maciejowski, kasztelan lubelski, i brat królowej Mikołaj, podczaszy W. Litewski. Droga szła na Grodno, Bielsk i Podlasie. W Łoszycach, pierwszem miasteczku korony polskiej, powitał królowę orszak dworski, z dwustu koni złożony, pod prze-

wodnictwem pana Floryana Zebrzydowskiego, ku służbie jej król. mości od małżonka przysłany. Przed dalszem miastem polskiem Łukowem odbyło się uroczyste powitanie królowej przez panów rad koronnych, mianowicie przez pp. wojewodów ruskiego, inowrocławskiego, lubelskiego, przez kasztelana radomskiego, i mowcę całego zgromadzenia, ks. biskupa płockiego. Było też wiele pań przy tem witaniu, w szczególności, księżna mazowiecka, Anna Odrowążowa z córką, panie wojewodziny ruska i podolska, pani kasztelanowa sądecka, a przy nich mnogo innych matron i panien. Ci wszyscy panowie i panie jechali z królową aż do Radomia. Tam, na ćwierć mili przed miastem, spotkał król Zygmunt przybywającą małżonkę. Pan Podczaszy litewski opisuje tę ceremonię w liście do matki, pani kasztelanowej wileńskiej, w następujący sposób:

„Na polu stał jego królewska mość po prawej ręce, jakoby dwadzieścia sążni od drogi. Tam było posłano od króla aż do drogi po ziemi czarne liońskie sukno. Królowej kolebka aż do sukna przyszła. Tuże królowa wysiadła i szła do króla a król do niej. Tu prawie w połowicy onego sukna się przywitali. Podkanclerzy od króla powitał królową jejmość dosyć poczciwie, ale pan lubelski uczynił od królowej ku królowi rzecz tak poczciwą, poważną i pokorną, iż się wszem ludziom podobało, a wszędy tem alegował: jej-

mość królowa, moja miłościwa pani, wiecznie poddana służebniczka i małżonka w. k. m. swego miłościwego pana. Temże się to najwięcej ludziom podobało, iż pokornie było. W Radomiu tegoż dnia panowie litewscy wszyscy i polscy, którzy z jej król. mością przyjechali, z koni zsiadłszy, prosto szli do stołu jego k. m. jeść. Skoro po obiedzie, wnet od stołu wstawszy, jego k. m. szedł na górę do jej k. m. i był tam jego k. m. z godzinę. Tam jest izba wielka, było w niej tak wiele ludzi, iż na krużgankach niektórzy stali, patrząc a dziwiąc się temu stadłu panów naszych. A niektórzy błogosławili; niektórzy mówili: wierzęć, już wiekuiście ją pojął; drudzy szemrali to i owo. A tak być musi między ludźmi, by się też co najlepszego stało, tedy się nie wszystkim może podobać... Otóż chwała Bogu, pana Hlebowiczowe proroctwo się nie pełni. On powiadał, że mnie w Polsce miano obwiesić a królową na Wiśle utopić. Otóż królowa z mężem pospołu a mnie za łaską Bożą ludzie tu i radzi widzą i cześcią ważą. Co dalej z nami będzie, Panu Bogu to poruczam..."

Jakoż potrzeba było w rzeczy pomocy Boskiej. Bo jeszcze nie przyszedł czas tryumfować. Teraz właśnie przygotowywał się najboleśniejszy cios, zbliżała się próba najsroższa. Wbrew swoim zamysłom niezwoływania sejmu przez czas dłuższy, musiał Zygmunt August złożyć go już w kilka

tygodni po przybyciu Barbary, z końcem miesiąca października. Wiedziano powszechnie, że główną jego sprawą będzie małżeństwo królewskie. Przeciwne mu po większej części usposobienie szlachty koronnej nie wróżyło zbyt pomyślnego sukcesu sprawie. Niepomyślność zaś pozostawiała tylko smutny wybór między Barbarą a koroną. Jakże da Bóg przejść tej chmurze nad kochankami?

W tak zagrożonem położeniu, nie zda się, aby krótki przeciąg nowego połączenia młodych małżonków płynął im w nader spokojnej zażyłości. Nadto zasmucały ich co chwila wieści o nowych pismach potwarczych, tak zwanych paskwilusach, wymierzonych przeciwko małżeństwu królewskiemu, które przez te oszczerstwa i przycinki coraz niepomyślniej w uszach gminu osławiało się. Wreszcie już po trzech tygodniach przyszło biednej parze miłośnej rozstawać się na nowo. Związek Barbary z Zygmuntem zniewalał ją dotąd do ciągłego żegnania się z nim. Obecnie odjechał król o mil kilkanaście, do Piotrkowa, na cały przeciąg zgromadzającego się tam sejmu. Barbara pozostała w Radomiu.

Byłato nader przykra stacya w jej drodze do korony, w drodze na zamek krakowski. Owszem w całem życiu Barbary nie było zapewne tak niespokojnej pory, jak dwa miesiące tego groźnego sejmu w Piotrkowie. Każda jego obrada, każdy zuchwalszy głos, mogły zerwać

tę wątłą nitkę, jaka według wyobrażeń całego prawie narodu tylko pozornie i chwilowo królewskie spajała stadło. Przy tak burzliwem niebie należało mieć wiadomość o sprawach każdego dnia. Nadzwyczaj też gęste listy krążyły między Piotrkowem a Radomiem. Listowa niecierpliwość Barbary, jej lada pogłoską do najwyższego stopnia rozdrażniana niespokojność, na co jeszcze w Dubinkach i w Wilnie użalać się musiano, stały się teraz nieznośną uciążliwością dla wszystkich, którzy jak król, jak bawiący przy nim w Piotrkowie brat stryjeczny Barbary, Mikołaj Czarny Radziwiłł, marszałek w. lit., mieli jej donosić o wypadkach sejmowych. Dochodzące ją z Piotrkowa wiadomości były treści następującej.

Pierwsze dnie sejmu, od 1. do 5. listopada 1548 roku, minęły bez jawnej rozprawy o małżeństwie królewskim. Dopiero 6. listopada, w poniedziałek, na wspólnem zgromadzeniu senatu i posłów, mającem po zwyczaju uradzić, czegoby należało żądać od króla, wybrani przez posłów trzej mowcowie, osobliwie zaś jeden z nich, Lupa Podłowski, uderzyli w żarliwej mowie na małżeństwo królewskie, wzywając senat, aby wraz z izbą poselską zniewolił króla do zerwania ślubów pokątnych. Zdanie to było opinią całej prawie izby poselskiej, całej szlachty, całej (dzisiejszym wyrazem mówiąc) demokratycznej połowy sejmu. Lękała się bowiem podejrzliwa szlachta,

aby poswatanie się króla z jedną z najmożniejszych rodzin królestwa, podporą wszelkich możnowładczych zamysłów w całym narodzie, nie przeważyło szali swobód na stronę możnowładztwa, z uszczerbkiem równości braterskiej. Stąd przeciwnie panowie, senat, w ogólności pobłażali sprawie małżeńskiej. Ile zaś podpory znajdował król w senacie, tyle z drugiej strony podniety udzielała opozycyi poselskiej osobista ku Barbarze niechęć królowej Bony i ambicya wojewody krakowskiego Piotra Kmity, szukającego sobie faworu i potężnych pleców u szlachty. Na wszelki wypadek gwałtowne miało być starcie... Nazajutrz, we wtorek, słuchał król osobiście onych żądań sejmowych. Naprzód mówili senatorowie, potem izba poselska. Wszyscy dotykali już otwarcie kwestyi małżeńskiej. Prawie wszyscy ganili śluby królewskie. Senatorowie przypuszczali wprawdzie możność załatwienia sprawy z obopólnem zadowoleniem, lecz tem gwałtowniej oświadczyli się posłowie przeciw związkowi. Przemówił w tym duchu najwymowniej poseł ruski Boratyński. Pod koniec jego mowy, przechodzącej w ton prośby, rzucili się wszyscy posłowie na kolana, błagając króla ze łzami, aby usłuchał życzeń narodu. Wzruszony tem król, powstał z miejsca, odkrył głowę i oznajmił, że aby z tem głębszym namysłem i postanowieniem mógł odpowiedzieć, odkłada rzecz na jutro.

Dnia następnego dał król spokojną, lecz stanowczą odpowiedź, jako nie może złomać wiary małżonce; łącząc przytem zapewnienie, iż zresztą we wszystkiem będzie się powodował wolą i życzeniami narodu. Co wyrzekłszy, wyszedł król z sali.

Senatorowie przychylni w duszy ślubom królewskim, opierający się im tylko gwoli zgody z izbą poselską, chwiali się w zdaniu. Poduszczyły ich więc tak silnie nowe namowy posłów, nowe zabiegi Kmity, nowe podszepty stronników Bony, że już w kilka dni stanęła powszechna uchwała ponowienia prośb o zaniechanie ślubów z Barbarą. Zgromadziły się w tym celu obiedwie izby dnia 14. listopada na uroczyste w obecności królewskiej posiedzenie. Byłto, jak dziejopisowie tych zdarzeń mówią, dzień największej próby w życiu Augusta. Pierwszy głos zabrał marszałek izby poselskiej, prosząc króla o pozwolenie powtórnego dotknięcia sprawy, w której król wyrzekł już raz wolę swoją. Gdy Zygmunt August zezwolił, ozwał się w imieniu wszystkich panów rad i rycerstwa Jędrzej grabia z Górki, kasztelan i starosta poznański. Długa i ważna jego mowa powtórzyła wszelkie dotychczasowe argumenta przeciw małżeństwu królewskiemu. Gdy mowca skończył, niezachwiany niczem król dał znowuż długą, spokojną, lecz stanowczą jak wprzód odpowiedź, odpowiedź wiecznego dochowania wiary małżonce.

Nie zawarła ona przecież rozprawy. Korzystając z jawnego niezadowolenia rycerstwa, podniósł się Kmita do odpowiedzi na odpowiedź królewską. Ta śmiałość, wraz z zuchwałością wyrazów mowcy, zniecierpliwiła tak wielce króla, iż przerwał mowę i nakazał milczenie Kmicie. Teraz całe zgromadzenie ujęło się gwarnie za obrażoną w Kmicie wolność mówienia. Powszechne z tego powodu obruszenie wynurzył w zabranym głosie Rafał Leszczyński, wojewoda brzeski. Król szanujący prawa każdego, wymówił się z niecierpliwego przerwania głosu Kmicie, a co do głównej kwestyi małżeńskiej, rzekł stanowczo i ostatecznie: „Co się stało, to się odstać nie może; a waszmościom przystało nie o to prosić, abym żonie wiarę złomał, ale raczej o to, iżbych ją każdemu człowiekowi dochował. Przysiągłem żonie i nie odstąpię jej, póki mnie Pan Bóg na świecie zachowa. Milsza zasie mi jest wiara moja, niż wszystkie królestwa na świecie." Poczem głęboko rozżalony, opuścił król posiedzenie.

Wszczęło się teraz niezmierne zamieszanie w zgromadzeniu. Rozgrzani namiętnością przewódzcy stronnictw radzili głośno nie ustawać w oporze, aż póki albo do dobrowolnego rozwodu albo do unieważnienia nieprawnych ślubów nie przyjdzie. Wtedy Jan Tęczyński, wojewoda sędomierski, w zapamiętałem uniesieniu zawołał, że wolałby samego Solimana widzieć na zamku kra-

kowskim niż Barbarę królową polską. Gnieznieński zaś arcybiskup, Mikołaj Dzierzgowski, gorliwy Wielkopolanin, przyrzekał grzech Zygmunta Augusta, popełniony porzuceniem Barbary, rozłożyć nieszkodliwie na wszystkie głowy królestwa. Do tegoż zdania przychylił się biskup przemyski, Dziaduski. Wszystko wrzało żądaniem rozwodu królewskiego.

Do praktycznego przecież przewiedzenia tej chęci w wykonanie nie zdarzał się inny środek, jak tylko zaniechanie wszelkich dalszych spraw na tymże samym sejmie, tj. zerwanie sejmu. Do tegoż mierzyli posłowie piotrkowscy. Nadzieją ich było, że po zerwaniu obrad teraźniejszych stanie w krótce sejm inny, na którym żądania narodu „w zupełną wejdą egzekucyę.“ W tej myśli Jan Sierakowski, marszałek koła rycerskiego, pożegnał króla w pierwszych dniach grudnia imieniem izby poselskiej, oświadczając, iż z powodu niezałatwienia kwestyi małżeństwa niepodobna radzić o dalszych sprawach. Tymczasem zależało na tem, aby przeszkodzić królowi zwykłe pod koniec sejmów odbywanie sądów publicznych. Jak one jawną oznaką prawnego pełnienia funkcyi królewskich były, tak też głośne nieuznanie prawności onych miało tem dobitniej królewską zachwiać powagę. Dla okazania swojej nienaruszonej obecnymi sporami władzy jął się król z nadzwyczajną gorliwością sądzenia spraw bieżących

i większa część stron poddawała się w milczeniu jego wyrokom. Alić nie obeszło się bez zadania królowi bolesnego ciosu i na tem polu. Stanisław Mateusz ze Żmigroda Stadnicki, przeciwnik ślubów królewskich, możny zkoligaceniem z najmożniejszemi rodzinami, mianowicie z rodem Zborowskich, uchylił się w Lelowie od sądów prawną ekscepcyą, jakoby władza królewska dotąd przez stan rycerski utwierdzenia jeszcze nie uzyskała. Obwoływał on głośno, że niemasz króla w Polsce, a jego niebezpieczny przykład, jego związki rodzinne, w połączeniu z machinacyami królowej Bony i rozdrażnieniem szlachty, zatrząsły gwałtownie nieustaloną jeszcze powagę króla. Rozchwiewały ją do reszty pociski pisemne, miotane przeciw królowi przez burzliwe a uzdolnione umysły, jak w szczególności sławnego Stanisława Orzechowskiego, uderzającego raz po raz namiętnemi broszurami w sprawę zaślubin królewskich. Rozhukany tem wszystkiem tłum szlachecki pozwalał sobie nie znać króla w Koronie, odzywał się w głos za bezkrólewiem. Któż był w stanie przewidzieć, co przyszły sejm przyniesie?

Położenie króla było tak zatrważające, że sam Zygmunt August skłaniał się do uśmierzenia burzy zrzeczeniem się części żądanych dla Barbary zaszczytów, zrzeczeniem się koronacyi a zaprzestaniem na samem uznaniu ślubów. Pisał król w tej mierze do brata Barbary, Podczaszego lit.,

pytając go o radę. Atoli Radziwiłłowie i Barbara, jak już raz nadmieniono, woleli samegoż Augusta narazić na utratę korony, niż zrzec się jej dla siebie. Bardzo dokładna odpowiedź Podczaszego zaklinała króla, aby porzucił myśl tak złowrogą. Augustowi, żyjącemu teraz jedynie dla spełnienia życzeń Barbary, dość było usłyszeć, że upadek nadziei koronacyjnej zasmuca ukochaną małżonkę, może smutkiem swoim podkopywa jej zdrowie. Odpisał więc Podczaszemu, że „co się dotyczy koronacyi, tedy tak czynić będziemy, jako nam jegomość piszesz“ — i po dawnemu swoją cierpliwą, rozsądną wytrwałością sterował przeciwko burzy. Aby zaś przy każdej sposobności uzyskać jakąś korzyść nad swymi nieprzyjaciółmi, uczynić jeden krok dalszy do celu, postanowił August zbliżyć Barbarę przed wszelkiemi wypadłościami sejmu przyszłego ku miejscu koronacyi, osadzić ją na królewskim zamku w Krakowie. W tym celu po trzechmiesięcznym pobycie w zamku radomskim posunęła się królowa pod koniec sejmu ku stolicy krakowskiej, przenosząc się na mieszkanie do Nowego Miasta Korczyna. W kilka tygodni po postąpieniu tej ciągłej do korony podróży o jedną dalszą staj naprzód, w więcej niż trzy miesiące po trzeciem w ciągu jednego roku rozstaniu się z swoją miłością, dnia 9. lutego r. 1549, znowuż małżonkowie królewscy połączyli się z sobą w Korczynie. Zakończywszy

nadmiar gorliwie odprawowane sądy w Piotrkowie, zjechał August z wielą życzliwymi sobie panami do Nowego Miasta Korczyna, aby stamtąd co prędzej przewieźć królowę do Krakowa, na zamek.

Odbył się ten solenny wjazd na stolicę w kilka dni po przybyciu króla do Korczyna, we środę, dnia 13. lutego. Wiedząc o intencyi królewskiej, zajechali królowi drogę w Korczynie ksiądz biskup krak. Samuel Maciejowski i kasztelan krakowski Jan Tarnowski. Przy królu byli biskup chełmiński Jan Drohojowski, wojewodowie bełzki i kaliski, Starzechowski i Zborowski; kasztelanowie sędomierski, wiślicki i wojnicki. W drodze z Korczyna do Krakowa, w Proszowicach, spotkali króla jeszcze wojewoda sieradzki Stanisław Laski, kasztelanowie sandecki i połoniecki, wszyscy z licznymi dwory. Z pań koronnych, oprócz tych, które królowej towarzyszyły w Radomiu i Nowem Mieście, jechały teraz za królową pani kasztelanowa krakowska stara, Krzysztofowa Szydłowiecka, kasztelanowe sandeckie dawna i teraźniejsza, Rzemieńska i Kościelecka, kasztelanowa Małogoska, pani marszałkowa Tęczyńska i mnogo innych. Z tymi wszystkiemi pany i pańmi wjechali oboje królestwo z wielką okazałością, acz w słotny dzień zimowy, wśród bicia dzwonów i nieskończonych ceremonii powitalnych, w mury krakowskie. Przed miastem

przyjmowali króla i królowę Kleparzanie, Kazimierzanie, i panowie rajcy krakowscy. Przy wjeździe do miasta szli naprzód pacholiki dworu królewskiego i dworów pańskich. Za nimi sunął rój świetnie ustrojonych dworzan królewskich i pańskich. Za dworzanami, w kole najdostojniejszych panów, postępował król młody. Dopiero za nim widziano królowę, otoczoną z dala orszakiem swoich dworzan i dwoma szeregami drabantów, a tuż przy boku gronem wszystkich zebranych pań. Wszedłszy na górę zamkową, zostali królestwo powitani w kościele od kanoników krakowskich, pomiędzy którymi było trzech opatów. Opat mogilski dał ku pocałowaniu naprzód królowi, potem królowej drzewo krzyża pańskiego, kapituła przyjmowała króla łacińskim a królową polskim językiem, na co od króla biskup krakowski łacińską, a ochmistrz dworu królowej polską czynił odpowiedź. Zaczem radośnym chórem tysiąca głosów z organy, zabrzmiało w kościele solenne *Te Deum laudamus*. Po nabożeństwie wszedł król z królową na zamek. Królowa zajęła mieszkanie w tych komnatach, kędy przebywały zwykle królowe; król w drugich, naprzeciw, niżej.

V. Na zamku krakowskim.

Osiągnęły więc życzenia Barbary bardzo blizki ostatecznego zamysłu stopień. Wśród ciągłego

smucenia i utęskniania przybyła oblubienica królewska w tym pierwszym roku swojej miłości cierniową drogę z „więzienia dubińskiego“ na zamek wielkoksiążęcy, z zamku niższego na ziemię koronną, z granic ziemi koronnej na zamek królewski. Niewymowną też radością przejmowała ta ostatnia meta podróży. Zaledwie z przybyciem króla do Korczyna pewną stało się rzeczą, iż nazajutrz wyruszą królestwo do Krakowa, zaraz pospieszyła uszczęśliwiona Barbara donieść tę błogą wieść własnoręcznym listem do Litwy, bratu Mikołajowi Rudemu, który pod ten czas opuścić musiał królowę. Rozgoszczenie się na zamku krakowskim wita ochmistrz dworu Barbary, kasztelan lubelski Maciejowski, w liście do Podczaszego lit., głębokiem wynurzeniem wesela: „Oto odetchnęła już dusza moja, gdyżeśmy do tego przecie dopłynęli, z czego już widzę, iż wszyscy ludzie więcej uciechy biorą, aniżeliśmy się nadziewali.“ A w drugim liście, donosząc, jak ten i ów, którzy niedawno małżeństwu królewskiemu bluźnili, teraz na widok niezłomnej stałości króla miękną w swoim oporze i „zabiegają znów łasce pańskiej i radziby nazad by jeno mogli nawrócić“, pisze uradowany ochmistrz bratu królowej „zapewne, żem już i sam odświeżał i prawie odmłódł, widząc i słysząc, ku jakiemu się końcu wyjaśniają rzeczy jego k. m. I mam da-li Pan Bóg, tę zupełną nadzieję, że

się one nasze smutki i nowomiejskie wzdychania w radość a wesele wrychle przemienić muszą.“ Tak żywa uciecha ochmistrza dworu pozwala nam brać miarę o radości Barbary na zamku krakowskim.

I były wszelkie powody do uciechy. Osadzenie małżonki w stołecznym pałacu królów, najjawniejszy dowód niczem niezachwianej wytrwałości Augusta, uderzyło umysły urokiem czynu dokonanego. Brak realnych pobudek do oporu przeciw Barbarze nadał temuż czynowi jeszcze większego znaczenia. Jedno i drugie wywołało tem żywszą grę trzeciej sprężyny umysłowej, grę tak żywej u nas w każdym wieku żyłki zmienności. Współdziałaniu tych czynników moralnych dopomagały nadto coraz nowe wiadomości, sprawiające bardzo pomyślne dla sprawy małżeństwa królewskiego wrażenie. Jedną z takich była wiadomość nowego dowodu stałości króla. W dziesięć tygodni po zamieszkaniu Barbary na zamku uświęcił Zygmunt August swój związek małżeński uroczystym aktem *oprawy* dla królowej, publicznie z rozkazu króla ogłoszonym w stolicy, a nadającym Barbarze dożywotnie rozległe dobra i posiadłości z zamkiem kowieńskim, i wielą innemi miastami i dworami w Litwie i na Żmudzi, z wszystkimi płynącymi z nich dochodami i bogactwy. Druga wiadomość oznajmiała krajowi upokorzenie się zuchwałego Stadnickiego, który

założywszy ekscepcyą przeciw prawowitości sądów królewskich i zapozwany o to przez króla, poddał się w końcu majestatowi królewskiemu i w publicznej, solennej scenie, z skruchą przeprosił Zygmunta. Późniejsza wreszcie wiadomość zwiastowała podobnież przejednanie najmożniejszego z nieprzyjaciół królewskich, wojewody krakowskiego, Piotra Kmity. Po dość długiej opozycyi uległ on naostatek wpływowi okoliczności, uniżył się Barbarze w Krakowie, odwidził wraz z żoną królestwo oboje w Niepołomicach i uprosił sobie tam zaszczyt podejmowania wzajem króla i królowej u siebie, w swoim zamku w Wiśniczu, błyszczącym z tego powodu przez dni kilka trudnym do opisania przepychem najkosztowniejszych uczt, igraszek i cudów gościnności. Gdy tak potężni przeciwnicy głowę przed królem i królową schylili, nie dziw, że cała rzesza ich popleczników, tłumy bezmyślnych naśladowców, przechodziły na stronę łaski królewskiej. Jak niedawno, pod koniec roku 1548, wszystko bez dostatecznej przyczyny zawrzało dziką żądzą rozerwania ślubów królewskich, tak teraz w ciągu roku 1549 zajaśniały wszelkie serca również bez dostatecznego powodu, jak słońce po przesunięciu się przypadkowego obłoku, niespodziewaną życzliwością parze królewskiej. Czarna tucza piotrkowska, grożąca zupełną zagładą, przemknęła wprawdzie bez deszczu, ale ktoż mógł być pe-

wnym, że nie zginie w jej gromobiciu. Kto drżał pod jej chłodnym, ciemnym przeciągiem, ten miał wszelkie powody radować się z słonecznej teraz pogody. Słusznie też cieszył się z niej tak serdecznie ów ochmistrz dworu Barbary i cieszyła się sama Barbara.

Ale jakże dziwną była ta jej uciecha! Jak cały jej los dotychczasowy, tak i obecna jej radość niezwykłymi jaśniała rysy. Im głębsze, wnętrzniejsze było źródło, z którego ona płynęła, tem mniej spodziewaną postacią zdumiało wszystkich teraźniejsze zadowolenie królowej. Widząc ją tak blizką kresu ostatnich życzeń, a przecież zawsze jeszcze potrzebującą względów i życzliwości ludzkiej, aby ten kres ostatni w rzeczy osiągnąć, wyobrażano sobie powszechnie, iż Barbara podwojoną dobrocią i uprzejmością zechce sobie pozyskać i ubezpieczyć serca poddanych. Toć jej pierwsze wystąpienie na ziemi koronnej, owa scena przywitania się Barbary z królem pod Radomiem, tem najwięcej podobały się wszystkim, iż świadczyły o pokorze i potulności nowej królowej. Tejże samej pokornej słodyczy i uprzejmości oczekiwano od niej także na zamku krakowskim. Tymczasem ludzkie żądania i wyobrażenia płynęły w jedną stronę a wrodzone usposobienie Barbary, pod wpływem następujących po sobie wypadków, wcale odmienny wzięło kierunek. Barbara wydała się teraz oczom ludzkim

dumną, nadętą, nieprzystępną. Ta sprzeczność pomiędzy tem, co według rozsądnych oczekiwań ludzkich koniecznie nastąpić miało, a co skutkiem danych skądinąd warunków nastąpiło w rzeczywistości; sprzeczność zachodząca prawdopodobnie nawet pomiędzy własnymi zamiarami Barbary a nieuniknionemi wynikłościami jej charakteru i losów, nadaje osobliwszy urok obecnemu ustępowi jej życia. Skupia się w nim tyle różnostronnych, różnobarwnych promieni światła, iż można go zaprawdę poczytać za najpoetyczniejszą chwilę w życiu Barbary.

Jestto w całej pełni tego wyrazu chwila zwycięstwa, szczęścia, pokoju, wypoczynku. Licząc ją od wjazdu na zamek krakowski aż do najbliższego głośnego potem czynu, do koronacyi, trwa ta słoneczna chwila blizko dwakroć tak długo jak cały dotychczasowy przeciąg małżeństwa królewskiego. Po tak licznych zmianach i wstrząśnieniach od września 1547 aż do lutego 1549, wypoczywa teraz skołatana niepokojami Barbara, w zupełnej prawie zaciszy zewnątrz, od lutego 1549 aż do grudnia 1550, blizko dwa lata. Przez cały ten czas, po tylokrotnem rozstawaniu się na długie tygodnie i miesiące, żyli oboje kochankowie w nieprzerwanem już z sobą połączeniu. Temu szczęściu każdej powszedniej miłości towarzyszyło drugie, niewątpliwie wyższe w oczach Barbary, szczęście uznania jej ślubów

królewskich przez cały naród. Brakujący jeszcze temuż uznaniu zaszczyt ostatni, dyadem królewski, dość już pewny w przyszłości, aby nie mógł pobudzać więcej do bolesnych niepokojów i powątpiewań, był w obecnem szczęściu tylko tym zbawiennym dźwiękiem tęsknoty, który nie dozwalał przystępu przesytowi fortuny, tym cieniem, który podnosił światło obrazu. A jedno i drugie, ten dźwięk tęsknoty i ten cień przy świetle, zdawały się tem potrzebniejszemi teraźniejszemu szczęściu Barbary, im bardziej ona w powszechności okazywała się uzdolnioną do biernego raczej utęskniania za szczęściem, niźli czynnego używania go, do marzeń raczej niźli do namiętności. Wszystkie znane nam rysy charakteru i fizyognomii Barbary, jej dziwnie rozmarzone spojrzenie oczu, jej zewnętrzna powolność ruchów, jej wewnętrzny upór w pewnem zachceniu, wielokrotnie przez najbliższych świadków zarzucany jej, wszystko wskazuje na taki temperament melancholijny, w powolnem, upornem, tęsknem rozmiłowany marzeniu. Jest to zawsze rodzajem omdlenia czyli jak najprzywiązańszy z tego czasu poufnik królowej, Stanisław Koszucki, w liście do Podczaszego lit. po łacinie wyraża się, rodzajem rozprężenia umysłu, *quaedam solutio animi*, któreto osłabienie umysłowe wiąże się zwyczajnie, a wiązało się zwłaszcza w tym razie, z wątłością, słabowitością ciała. Niechże to wątłe

i słabowite ciało ulegnie w porze swojego szczęścia rzeczywistemu cierpieniu fizycznemu, a owo rozprzężenie umysłu nabędzie stąd oczywiście tem jaskrawszego pozoru, i sprawi, że sposób używania szczęścia przez taki subtelny, marzący umysł przybierze w stanie istotnego rozniemożenia się ciała, jeszcze dziwniejszy dla oczu ludzkich widok.

A stało się to właśnie w obecnym razie. Już w kilka dni po wjeździe na zamek krakowski uczuła się Barbara dotkniętą cierpieniem fizycznem, które jako dawną jej dolegliwość dość lekce sobie ważono, i które też w rzeczy bez dalszych na pozór skutków minęło. Atoli w rok później rozwinął się zaród tych dawnych cierpień w niebezpieczną chorobę raka. Już wtedy, na dziewięć miesięcy przed spodziewaną dopiero koronacyą a na rok cały przed zgonem, znalazło się życie królowej w niebezpieczeństwie. Trwało to niebezpieczeństwo przez ciąg kilku tygodni. Listy króla z tej pory, pisane do brata Barbary, Podczaszego lit. Mikołaja Rudego, tchną najczulszą niespokojnością. Ileż jednak rozsądku i umiarkowania w tej boleści Zygmuntowej! Spotykają Augusta zwyczajnie pomówienia o zabobonną wiarę w moc guseł, w cudowną pomoc czarowników i czarownic. I podczas tej śmiertelnej choroby Barbary daje się słyszeć kilkakrotna wzmianka o takiej „w sztuce magicznej

dobrze umiejętnej niewieście, o babie, któraby była *perita et bene versata in arte incantamentorum,*“ z polska: biegła w zdejmowaniu uroków. Ale nie król to, nie światły Zygmunt August, zaleca i proteguje te czarodziejki. Wyprawia je kilkakrotnie do siostry Podczaszy lit., Mikołaj Radziwiłł, wierny w tem zabobonnej wierze swojego kraju, Litwy, gdzie przy nierównie niższym stopniu oświaty przechowywały się jeszcze pod strzechą sielską i na dworze radziwiłłowskim przesądne wyobrażenia o władzy czarów, uroków, i guseł. Ze strony Augusta ujmuje nas przeciwnie delikatność, z jaką on, nie śmiąc odrzucić wprost ofiarowanej przez brata czarodziejki litewskiej, odracza zawsze jej przysłanie do Polski. Aż wreszcie ulitował się Bóg pierwszego smutku Augusta i dozwolił mu cieszyć się jeszcze przez trzynaście miesięcy ukochaną małżonką. Barbara wyzdrowiała. Atoli niepodobna przypuszczać, aby zjadliwa, długo wewnątrz rozwijająca się choroba nie wpłynęła także na umysłowe usposobienie królowej, tak przed samym wybuchem cierpienia jako i po nim. Przeco nie tylko melancholijny sam z siebie temperament, nie tylko nader bolesne doświadczenia i zgryzoty pierwszego roku związku z Augustem, alić jeszcze tajny wpływ tlejącej w zanadrzu choroby, przyłożyły się wespół do ujaskrawienia obecnej pory szczęścia Barbary tak dziwnobarwnem światłem,

jakiem ona raziła wzroki spółczesnych a niewymownie żałośnie zachwycić może oko dzisiejsze. Szczęście tryumfującej Barbary uśmiecha się do nas wszelkimi wdziękami smutku. Radość z osiągnięcia królewskiej stolicy na Wawelu opromieniona jest dokoła wspomnieniem łez, wylanych w Dubinkach i Radomiu. Nadzieja blizkiej korony świeci na podścielonym całunie obawy śmierci. Już ta mara grobowa, wykarmiona dawną wątłością zdrowia, cierpieniem i chorobą, głęboko zajrzała w duszę Barbarze. Odtąd w każdem spojrzeniu oka Barbary, w każdem jej zamyśleniu się, w każdym coraz powolniejszym, coraz obojętniejszym c ziemię ruchu, przebija się cień tego śmiertelnego uroku. Atoli im jawniejszy, tem staranniej bywa on zwykle ukrywany przed ludźmi, tajony w samotności. Stąd też i Barbara unosiła go rada w najsamotniejszą głąb swoich komnat królewskich. Ku największemu zdziwieniu całego dworu opanowało królowę zamiłowanie odludności. Usuwała się biedna na całe dnie i tygodnie z przed oczu dworu. Wówczas każdy widok obcej postaci ludzkiej bywał jej przykrym. „Kiedy się na pokoju zawrze“ — donosi wierny sekretarz Barbary, zacny Koszucki, Panu Podczaszemu lit., Mikołajowi Radziwiłłowi — „dzień albo kilkanaście już jej nie widzieć. Ani tam sługa wchodzi żaden, nakoniec i pana Lubelskiego (ochmistrza dworu) nie wpuszczą. Zakołatawszy musi

bez wpuszczenia ze wstydem odejść." Nawet widok panien przybocznych bywał nieraz natrętnym upragnieniu zupełnej samotności. Wtedy niejednej, która nie w porę ją przerwała, niecierpliwe z ust królowej padało słowo. Tylko do Augusta utęskniała odludna jej posępność. Zdało się, jakby w przeczuciu niedługiego z nim połączenia chciała Barbara daną sobie jeszcze porę żywota przeżyć z nim wyłącznie w swej samotności. Trzymała go też ustawicznie przy swoim boku, zazdroszcząc każdej chwili, poświęconej przezeń sprawom publicznym. Zresztą, wyjąwszy Zygmunta i koronę, to podwójne słońce jej życia, okazywała się Barbara obojętną dla wszystkich i wszystkiego. W szczególności obcą jej była chęć powiększania swojego wpływu w państwie przez wspieranie próśb cudzych swoją protekcyą. Swoje własne szczęście, całe swoje jestestwo, tak podkopanem czując, nie mogła Barbara służyć za podporę szczęściu cudzemu. Nie przyczyniała się więc pospolicie za nikim u Augusta albo przyczyniała się ozięble. A również oziębłą znajdowała ją także każda przyjemnostka powszednia, każda sprawa pożycia codziennego, jeźli nie łączyła się z nią sposobność podniesienia swojej godności królewskiej w oczach narodu. Dnia koronacyi oczekiwała Barbara z niewysłowionem upragnieniem; gdy król w świetną podróż po Wielko-Polsce wybierał się, Barbara przeciw

radzie własnej rodziny zażądała koniecznie udziału w jej zaszczytach królewskich; ale gdy wypadło udać się wraz z królem do kościoła, lub w inne miejsce, trudno jej było opuścić samotność pokojową i długo natenczas musiał król z panami stać w sieni, nim królowa nareszcie ubrała się...

Tak posępnem było szczęście Barbary. I jakby jeszcze nie dość smutku w niem było, omraczał je nadto cień niewyrozumiałości ludzkiej. Wszystkie wytknięte tu rysy obecnego stanu Barbary, jej samotność, jej przypadkowa niecierpliwość w obejściu się, jej więzienie króla u siebie a oziębłe przyczynianie się za proszącymi, nawet ta powolność w ubieraniu, dały powód do tyluż skarg i zarzutów. Tęsknotę do odosobnienia poczytano za pychę i pagardzanie ludźmi. Nieprzypuszczony do królowej kasztelan lubelski, ochmistrz dworu, użalał się: „Wżdym ja jest rada pańska. Pan sam, kiedy przyjdę, każe mi siedzieć, a moja pani ku zelżywości mojej nie każe mię ku sobie wpuszczać. Toż za to, żem się ja dla niej wszystkiej Polszcze obrzydził? Rychło to wiary mej pani moja zapomniała! Jaźli nami tak rychło gardzić chce, niech się tego ostrzega, by jej Pan Bóg za się nie skarał..." Podobnież narzekała cała drużyna dworzan. Wszyscy oni narazili się z dawna krewnym i panom, poświęcając służby swoje Barbarze. Pragnąc za to przynajmniej uprzejmego spojrzenia pani, utyskiwali żałośnie:

„Byśmy za to, cośmy się braci swej sprzykrzyli, nic więcej nie mieli, tylko tę jedną pociechę, iżby nasza pani rada na nas patrzyła, tobyśmy o nic więcej nie dbali, i każdy z nas radby gardło swe dla niej położył; ale widzimy, że i pani o nas nie dba i do domów po co nie mamy!“ Przykre słowo, powiedziane przez Barbarę jednej z panien dworu, wywołało długą, niemiłą sprawę. Rozpieszczona panna wszczęła szeroki o to lament. Zjechał ojciec, niejaki pan Skotnicki, aby odebrać córkę z fraucymeru królowej. Mogło to jeszcze bardziej poruszyć języki ludzkie. Wstawili się tedy krewni Barbary i ochmistrz Maciejowski do pana Skotnickiego, prosząc o pozostawienie córki u dworu. Jedna z nieprzyjaciółek królowej, pani kasztelanowa Wojnicka, poduszczała ojca przeciwnie, aby ją wziął koniecznie. — Najmniejsza drobnostka urastała w rozgłośne obwinienia. Panowie senatorowie, zniewoleni wraz z królem do czekania w przedsieni, aż się królowa jejmość ubierze, szemrali z cicha: „Ta pani nikomu nie czyni w czas, jedno sobie. Jeśli na radę pańską (senatorów) nie dba, tedyby wżdy tego strzedz miała, aby jej król nie czekał!“ Cóż dopiero, gdy obaczono, iż król ustawicznie przesiadywa w komnatach Barbary i że „na sprawach rzeczypospolitej bardzo bywa płochy a teskliwy dla tęskności bez królowej jejmości!“ Osobliwie zaś rozszerzał

się powszędy żal ku królowej, iż nie dość gorąco wstawia się u króla za tymi, którzy ją proszą o protekcyę. „Prze Pana Boga“, pisze zacny sekretarz Barbary, Koszucki, do rodzonego jej brata, Podczaszego — „racz jej waszmość radzić, chociaż przez list, aby się chutliwiej przyczyniła za tymi, którzy się wżdy jeszcze o przyczynę do jejmości garną; boć się ich już wiele odraża, dla tego, że się *frigide* przyczynia, choć o błahe rzeczy proszą; a mogłaby jejmość tym sposobem wielką miłość zjednać... Co gdyby było, takby się tą uprzejmą ludzkością wsławiła, iżby ją wrychle miano za jednę świętą panią. Więcej w Polszcze ubogich niż bogatych! Gdyby wszyscy w niej ufanie swe kładli, jeden dla brata, drugi dla swata, trzeci też dla sam siebie, i życzyliby jej tem więcej miłości pańskiej i samiby za nią Boga prosili, na koniecby ją czasu potrzeby nie tylko panu Poznańskiemu albo wojewodzie krakowskiemu ale i samemu cesarzowi Ferdynandowi obronili. Nie wierz waszmość temu, by to na paniech jedno zależało, aby ją za panią przyjęli. Toćcito wiele i na pospólstwie zależy, które gdyby w niej się rozmiłowało, musieliby panowie ustąpić, gdyby wszyscy hurmem zawołali: Bodaj zabit, kto jej za panią nie chce mieć!“

Nie ze złego więc serca, jak widzimy, pochodziły te żale do Barbary. Owszem, przemawia w nich po największej części obrażonej miłości

skarga. Ale w tem właśnie leży tragiczność położenia Barbary. Miłość ludzka żądała od niej, czego ona żadną miarą spełnić nie mogła. Barbara miała uprzejmie uśmiechać się do swego dworu, kiedy pierwsze przeczucia śmierci okrążały jej duszę przestraszoną! Barbara miała g o r ą c o przyczyniać się u króla o nowe dla starosty wielu starostw starostwo, kiedy jej własne, jej całe szczęście gasło tuż przed oczyma, a nie było ręki na ziemi, któraby je na nowo rozpromienić zdołała! Barbara miała wreszcie troszczyć się więcej o rzeczpospolitą niż o Augusta, kiedy każda chwila ich miłośnego odosobnienia wiązała ją do niego okropnym urokiem pożegnania na wieki, urokiem chwili ostatniej!

Po wypadkach łatwo usprawiedliwiać Barbarę. Wszakże przed katastrofą, gdzież serca ludzkie o tak tkliwym, domyślnym wzroku, iżby im dano było spostrzedz subtelne, z księżycowych promieni utkane pasmo przyczyn, dla których każda podobna ofiara zawistnych losów niezdolną jest wyjść z pożądanym uśmiechem naprzeciw naszym najprzychylniejszym życzeniom — dla których ona mimo swego pozornego blasku i szczęścia sama stokroć żałośniejszą jest od nas i do naszego spółczucia a nie obwiniana ma prawo! Najosobliwszy zaś widok uderza oczy, gdy z taką zbolałą ofiarą i takiem pasmem misternych przyczyn i względów zetknie się żelazna dusza wiel-

kiego męża w pełni siły i hartu. Z osobna, i owa bolejąca i ta żelazna dusza, są po swojemu piękne i wzniosłe; w styczności z sobą, przyjdzie im prawie nieochronnie przedstawić przykład tak wrogiego sobie wzajem niezrozumienia się, tak jaskrawej dysharmonii, jaka np. widzieć się daje w stosunku do Barbary z stryjecznym jej bratem Mikołajem Radziwiłłem Czarnym, Marszałkiem W. Ks. L., jednym z największych mężów i najoryginalniejszych charakterów wieku Zygmuntów, człekiem bitnym, rozumnym, dziwnie jowialnym, a całą duszą przychylnym swojej siostrze stryjecznej. Dla swojej mądrości umyślnie na dwór Zygmunta Augusta do rady w spólnych sprawach rodzinnych powołany, miał on obowiązek wpływać na sposób postępowania Barbary. Pogromca Moskwy pod Orszą, wjeżdżający do Wilna w tryumfie na koniu zabitego wodza nieprzyjacielskiego; potężny możnowładca, będący w stanie przez czas długi, aż do swej śmierci, powstrzymać osobistym wpływem przeciwne swoim wyobrażeniom złączenie się dwóch narodów, unię Korony z Litwą, ma teraz być doradcą wątłej, chorobliwie kapryśnej, skrzydłem śmierci ocienionej kobiety, doradcą bladego cienia! Ileż trudu potrzeba, aby odwrócić ten cień od upragnionej podróży z królem do Wielkopolski, gdzie w tłumie zuchwałej szlachty uboższej miała Barbara najwięcej nieprzyjaciół i groziły najliczniejsze

niebezpieczeństwa despektu, paszkwilów i obmowy. Ale Barbara, do ostatniej chwili wierna królewskiemu, monarszemu urokowi swojej miłości, oczekiwała gorąco dnia koronacyi a naparła się hołdu w Wielkopolsce. Łaskawy August uspokoił Barbarę odpowiedzią: „Jeślim ja was pojął, toć się was nie wstydzę; dlaczegoż was wziąć nie mam?“ Zaczem, mimo wszelkich niedogodności tej podróży — „ani moja“ pisze Czarny, Marszałek Radziwiłł, do Rudego, Podczaszego Radziwiłła — „ani żadna największego i najmędrszego perswazya nic nie pomoże, jeśli się sama naprze. Bo acz to waszmość wiesz, ale to waszmość i odemnie wiedz, że używa tej łaski u króla, której nie jest rzecz podobna, aby która królowa w koronie polskiej kiedy używała większej u małżonka swego, by jedno ta łaska na dobre wyszła, bo gorąca miłość łatwie gaśnie. Perswadowałbych królowej, aby tam (do Poznania) się nie kwapiła, ale rozmyślam się, by mojej życzliwej rady w co innego nie obracano. Wszakoż według powinności swej uczynię, a jeśli repulzę wezmę, dam pokój. Ale to pewna, że pojedzieli tam, upstrzą kolebkę paskwilusy; trzeba będzie osobnych sztafierów, coby je oddzierali. Ja oto starać się będę; abym tam z panem nie był, acz pójdzie mi to o łaskę jego; wszakoż wolę żałości używać przez niełaskę, niźli mieć żałość przez lekkość (obelgę), którejem się dosyć napił dla tej pani młodej. Jużbych rad

tej powinności komu innemu ustąpił bez płacy. Chociam w wielkich ceremoniach wjechał do Krakowa, ale przed tym rządem wypadnę, skoro bramę otworzą. Bo ja nic nie dokażę, ani około Poznania ani około czego innego, jeśli się ona naprze. A tak dla Pana Boga racz waszmość o tem myśleć, jakoby to jej wybić z głowy. Wszystko mi się widzi, jeśli przyjdzie na to, że królowej nie wrócić z Poznania. Albo tam nie pojedzie, abo po ogień pojedzie; ostanie tam ledwie przez noc. Panie Podczaszy! Jużci dufale piszę, powiadam to ku czci mej, żebych się teraz rad widział w tysiącu mil od dworu pana mego, tak mi smakuje ta praktyka dworska... Byłoby co pisać, ale jużem musiał ustać, mając iść do króla na tęż wczorajszą rzecz, na którą po tem swem przespaniu tak będę wotował, jako i pierwej. Pan niech czyni co raczy, a ja o tem myśleć będę, abym z nim hufa nie ciągnął, bom w takiej bitwie nie powinien gardła dać. A zatem daj Panie Boże, abych waszmość zdrowego widział. Jeśli tego nie życzę bodaj mię pestilencya zabiła. *Raptim* w Krakowie 4. lipca 1549. W. książęcej mości powolny brat i sługa Nikolaus Radziwiłł.“

Obeszło się przecież bez podróży do Wielkopolski. Wszelka usilność życzeń skierowała się ku koronacyi. Gdy przy coraz widoczniejszem rozwątleniu zdrowia, po przebytej niedawno cho-

robie śmiertelnej, zasępiała się myśl królowej aż nazbyt często ciemnym widokiem przyszłości, natenczas z piersi jej wydzierało się westchnienie: „O gdyby przynajmniej tyle jeszcze życia zostało, aby bogdaj jeden dzień po koronacyi mieć koronę na skroni!“ Jakoż lubo Barbara swojem postępowaniem nie mogła powszechnego obudzić uwielbienia, uchyliły się zwolna wszelkie przeszkody, opierające się dotąd obrzędowi koronacyjnemu. Zwołany w kilka tygodni po śmiertelnej chorobie Barbary sejm piotrkowski okazał się wcale pobłażliwym dla sprawy, którą przed kilkunastą miesięcy tak zawzięcie prześladowano. Nie stanęła wprawdzie żadna publiczna uchwała na korzyść małżeństwa królewskiego, ale oprócz umilkłej już opozycyi poselskiej mógł król porozumieć się jeszcze poufnie z wielką liczbą senatorów względem koronacyi królowej. Ostateczna w tej mierze decyzya zapadła na dworze głównego niegdyś przeciwnika Barbary, wojewody krakowskiego Kmity, w kilka tygodni po sejmie, podczas głośnych odwidzin obojga królestwa w Wiśniczu. Skłoniono się ze strony króla do niektórych przyzwoleń duchowieństwu, ze strony zaś Kmity do użycia wszelkiego wpływu u szlachty, aby koronacyę bez zwołania sejmu do skutku przywieść. Za pomocą uzyskanych w ten sposób biskupów i reszty szlachty można było,

acz zawsze jeszcze z niejaką ostrożnością, oznaczyć już dzień obrzędu. Wybrano do tego 9-ty dzień grudnia roku 1550.

VI. Koronacya.

Ostatnie z życzeń Barbary szło w spełnienie. Najpromienniejsza mrzonka owych dumań miłośnych w ogrodowym dworze radziwiłłowskim stawała teraz przed Barbarą w dotykalnej rzeczywistości. Kwiat całego błogiego stosunku z królem młodzieńczym rozkwitał teraz w jej ręku. Ale jakże smutno uiszczało się to na jawie, co tak cudownie błyszczało w mrzonce! Jakże posępną barwą szarzał rozwinięty dziś kielich tego kwiatu, który tak rozkosznie połyskał w pączku! I nie tylko wewnątrz Barbary posmutniało. Jeszcze i cały zewnątrz otaczający ją widokrąg posępną przyobległ barwę. Do mnogich żalów tej pory przybył żal po śmierci matki Barbary, pani kasztelanowej wileńskiej. Umarła ona w kwietniu r. 1550, nie doczekawszy się koronacyi swej córki. Wiadomość o jej rozchorowaniu się poprzedziła o niewiele zapadnięcie samej Barbary w niemoc śmiertelną; wiadomość o zgonie kasztelanowej była pierwszą wieścią ze świata, która powitała wracającą do życia córkę. Obok krzyża matki wzniósł się w kilka miesięcy krzyż drugiej wielce życzliwej osoby, pierwszego w Ko-

ronie powiernika ślubów Barbary, biskupa krakowskiego Maciejowskiego, rodzonego brata ochmistrza dworu królowej, zmarłego krótko przed koronacyą. Jednocześnie z temi stratami zasmucał oboje królestwo, a osobliwie Barbarę, widok niezgody bratniej w rodzinie Radziwiłłów. Drugi stryjeczny brat królowej, Jan, Krajczy lit., rodzony brat Mikołaja Czarnego, chwycił się przeciwnego reszcie rodu stronnictwa, i wchodząc w ścisłe związki z głównymi nieprzyjaciółmi małżeństwa królewskiego, utrudniał szczęśliwe rozwiązanie tej sprawy i gorszył oczy narodu. Nawet pomiędzy przyjaznych braci Mikołajów, Czarnego i Rudego, wkradł się przy tej sposobności pewien cień niedowierzania. Różnymi smutkami bolejąca Barbara musiała jeszcze w listach do rodzonego brata Podczaszego dotykać wielokrotnie tego niemiłego przedmiotu a czyniła to w nader rozsądny i męski sposób. Wreszcie nie mogło także cieszyć przekonanie się o nieczystym charakterze człowieka, którego oboje królestwo w pierwszych czasach swojego związku zupełnem obdarzali zaufaniem, a który teraz jawnie okazał się obłudnikiem — naszego dawnego znajomego, Starosty Mereckiego a teraz Wojewody Połockiego, Stanisława Dowojny. Podczas swego pobytu w Krakowie począł on intrygować u króla przeciw rodzonemu bratu królowej, swemu dawnemu przyjacielowi i towarzyszowi

w Dubinkach, chcąc zachwiać króla w zamiarze darowania szwagrowi Kojdanowa, jednej z najpiękniejszych włości litewskich. Udając zaś co innego przed królową, stał się dawny lekarz Barbary przedmiotem zabawnej sceny, opisanej przez sekretarza królowej Koszuckiego w liście do brata jej, Mikołaja. „Trafiło się też niedawno“ — pisze Koszucki — „iż mi jej k. m. powiedzieć raczyła o owego borsuka Dowojnę, że przyszedł jednego czasu do jej k. m. i jął przed jej k. m. te słowa mówić: Wierzę miłościwa królowa, dobrzeby aby jego k. m. panu Podczaszemu ten Kojdanów dał już teraz. Oto panu Marszałkowi to a to dał, a panu Podczaszemu jeszcze nic. Jej k. m. w te słowa odpowiedziała: jać nie wiem miły panie starosta, czemu jegomość w tem tak odwłacza, a toć to już rzecz pewna, że i panu Podczaszemu mieć. Potem, gdy p. Dowojna wyszedł, a jego k. m. do jejmości przyszedł, jej k. m. to wszystko jego k. m. powiedzieć raczyła, co się jej za rozmowa z p. Dowojną o Kojdanów a o waszmość przydała. Tamże jego k. m. powiedzieć raczył: Nu, kiedyż tak Dowojna powiada, proścież mnie przy nim panu Podczaczemu o Kojdanów, jakoby się on tej zmowy między nami nie domyślił, a jać wam w rzeczy zbraniać będę, jakobych go woli nie miał dać, chociaż dam, albom już dał. Tam ujrzycie, że Dowojna mnie inaczej radzi, gdzie wy niesły-

szycie. I trafiło się, gdy jej k. m. przy Dowojnie jęła prosić, król jął odmawiać, mówiąc: Oj, wielećby też to Kojdanów dać. Abyście wy wiedzieli, iż Kojdanów jest tak dobry jak Grodno. Tam jej k. m. powiedziała: O miłościwy królu, nie racz w. k. m. temu wierzyć, być tak dobry miał być, to jest rzecz niepodobna. Król zasię powiedział: Ale ja wierzę iż jest, bo mam dobrego świadka. Prawda panie Dowojno, żeście wy mnie powiadali wczoraj, że jest tak dobry jak Grodno, i mówiliście, żeby go szkoda oddawać komu, boby to było z niemałą szkodą moją. Dowojna zatem jakoby zmyty zbladł, a jął pleść trzy po trzy, popluwając..." Ale zapewne jeszcze ciężej zawinił on niegdyś jako lekarz królowej. Gdyż trudno przypuścić, aby jego leki, udzielane Barbarze długo w Dubinkach i w Wilnie, a wymierzone przeciwko jej mniemanemu cierpieniu na kamień, miały być lepsze od fałszu, na jakim go właśnie schwytano. Do tylu różnych przykrości i przykrostek przybył świeżo smutek największy, nowy powrót cierpień królowej. Z nadejściem zimy roku 1550 t. j. z samą porą zapowiedzianej już koronacyi, zaczęło się jej znacznie pogorszać. Czuła się nieraz tak słabą, że lękała się nie dożyć koronacyi. Terazto powtarzały jej usta często ono życzenie: Och, tylko jednego dnia koronacyi!

Na tak posępnym dokoła widokręgu nadszedł

wreszcie ten dzień. Z powodu jednoczesnej uroczystości złożenia hołdu przez niektórych lenników korony polskiej, mianowicie książąt Pruskiego i Pomorskiego, zebrał się cały prawie senat w Krakowie. Zjechali posłowie tychże książąt hołdownych; przybyli osobiście w gościnę dwaj książęta sąsiedni, Jan książę na Lignicy, potomek starożytnych Piastów szląskich, i szlązki też książę na Cieszynie; stanęli wreszcie w stolicy bracia królowej, obadwaj Mikołajowie, w sam dzień koronacyi nowemi zaszczyceni dostojeństwami, w szczególności marszałek Mikołaj Czarny do godności w. kanclerza lit., a podczaszy Mikołaj Rudy do godności wojewody trockiego podniesiony.

Rano dnia 9. grudnia arcybiskup gnieznieński Dzierzgowski, w towarzystwie wszystkich prawie biskupów królestwa, oczekiwał w katedrze na Wawelu przybycia pary królewskiej. Okazała się ona o wyznaczonej godzinie, otoczona całym dworem i gronem senatorów, poprzedzonych przez wojewodę krak. Piotra Kmitę, niosącego laskę jako marszałek w. kor. Przed resztą niezliczonych panów, pań, mieszczan i ludu odznaczali się posłowie książąt lennicznych i obaj książęta szląscy. Naprzeciw wielkiego ołtarza wystawiony był tron, obity londyńskiem i orleańskiem suknem szkarłatnej barwy. Zasiadła na nim po raz pierwszy Barbara w nadzwyczajnie bogatym, od

samych pereł i klejnotów błyszczącym stroju królewskim. Wśród nabożeństwa przystąpił prymas z biskupami i kanonikami katedralnemi do tronu i przy uroczystej asystencyi całego duchowieństwa namaściwszy Barbarę, włożył jej na skroń koronę upragnioną. Rozlegający się zwykle w takiej chwili okrzyk radośny, witający nową rzeczywistą królowę, był zapewne najmilszym głosem, jakim kiedy ziemia przemówiła do jej duszy.

Po odbytej uroczystości nastąpiło hojne rozdawanie upominków wszelkiego rodzaju, mianowicie w bogatych szatach, szubach, sobolach, w nadzwyczajnej ilości przez długi czas przez rzemieślników królewskich w tym celu sporządzanych. Wreszcie uczta wspaniała, przygotowana dla wszystkich zgromadzonych gości w dwóch komnatach zamkowych, nowem obiciem z złotogłowia błyszczących, zakończyła ceremonię dzisiejszą.

Nazajutrz na rynku krakowskim, przed oczyma Barbary, wyglądającej z swoim dworem z okien pałacu Jordana Spytka naprzeciw zamku, odbierał król na tronie przed ratuszem po dawnym obyczaju hołd książąt lennych. Byłato pierwsza i ostatnia uroczystość publiczna, w której Barbara jako rzeczywista królowa publicznie miała udział. Usilnie przez nią przed koronacyą pokonywana i tajona choroba wybuchła tem gwałtowniej po spełnionym obrzędzie. Już z koronacyjnej wracając ceremonii, gdy poufniejsze grono

domowników winszowało Barbarze nowego dostojeństwa, miała ona z bolesnym odpowiedzieć uśmiechem: „Do innej wnet korony powoła mię Pan Niebieski; proścież go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mojego w żalu po mnie utulił.“

Słowa królowej były istnem proroctwem. Nie pozostawało jej nic już do życzenia na ziemi i nie pozostawało jej też więcej jak tylko sześć miesięcy do życia.

VII. Śmierć.

Jeśli Barbara goręcej niż się godzi, pragnęła blasku i zaszczytów światowych, tedy dziwnie uderzającym sposobem ukarał ją Pan Bóg za to. Cały objęty naszą powieścią przeciąg jej życia był nieustannem pasmem utęskniania do coraz dalszych stopni w drodze do tronu. Utęskniając od uzyskanego serca Zygmunta do jego ręki, z więzienia w Dubinkach do wielkoksiążęcych komnat zamku niższego, z stolicy wielkoksiążęcej do królewskiego grodu w Krakowie, od przybytku w grodzie królewskim do koronacyi, przebyła Barbara w przeciągu trzech lat te wszystkie stacye koronne, a gdy w końcu dopięty został ostatni cel ambicyi — anioł śmierci rozpostarł cień swoich skrzydeł nad nią i kazał jej rozstać się z wszystkiem.

Przez cały grudzień, styczeń i luty dojrzewała choroba wśród ciągłych cierpień i coraz większego osłabienia. W takim stanie nie można już było myśleć o spełnieniu życzenia, które nie długo przed koronacyą powstało w obojga królestwa sercu, przejmując je pragnieniem podróży do Litwy i przydłuższego pobytu w Wilnie, miłem miejscu pierwszych wspomnień miłośnych. Królowa nie wstawała już z łoża, a listy sekretarza Koszuckiego do brata Barbary Mikołaja wyrażają bardzo małą nadzieję życia. Jawne było to niebezpieczeństwo Barbarze. Syta zaszczytów królewskich tęskniła ona w teraźniejszem przedzgonnem rozrzewnieniu serca tem żałośniej do wszelkich skromniejszych, ale serdeczniejszych pamiątek przeszłości, lat dziecinnych, rodziny. Przybył od brata Podczaszego z listem stary dworzanin radziwiłłowski, Nieszyka. Słuchając odczytywanego sobie listu braterskiego zaczęła królowa gorżko płakać. Potem kazała sobie zawołać starego sługę radziwiłłowskiego. Ale król lękając się niepomyślnych skutków spodziewanego przy tem wzruszenia, nie dopuścił starego Litwina przed łoże chorej królowej. Lada wstrząśnienie mogło zerwać słabą nitkę jej sił żywotnych. Aż tu jeszcze przed odjazdem Nieszyki do Litwy rozszedł się po całym dworze Barbary radośny głos o jej zdrowiu. Nieszczęsny guz, który się już od czasu pierwszej przed kilku miesiącami

choroby uformował był na lewym boku królowej, a który teraz w ostatniem niebezpieczeństwie rozcinać miano, sam się otworzył. Wszyscy medycy królewscy poczytali to za nader szczęśliwy znak. Do dwóch Nieszyce wręczonych listów smutnych dodany został trzeci, radosny. Powszechna uciecha ogarnęła umysły dworu. Niedawna trwoga ustąpiła zupełnej prawie ufności. „Królowa jejmość od dnia do dnia ku zdrowiu przychodzi“ — pisze Mikołaj Czarny Radziwiłł do Rudego. — „Nie opuści nas Pan Bóg, jako tego zazdrośni nieprzyjaciele życzą!“ Jeszcze radosniejszy, a równie pewny wyzdrowienia królowej był list Zygmunta. Opisując w nim wszelkie okoliczności rekonwalescencyi Barbary, usuwa król znowuż łagodnie ofiarowaną przez pana Podczaszego niewiastę w sztuce magicznej biegłą, jako teraz zupełnie już niepotrzebną.

W takim składzie rzeczy stał się — jak ochmistrz królowej panu Podczaszemu donosi — dziw niesłychany na dworze panów naszych! Królowa Bona, dotąd ciągle wroga Barbarze, zesłała teraz z Warszawy, swojej stolicy, na zamek krakowski, solenne do Barbary poselstwo, ofiarujące jej przyjaźń i miłość.

Było też zaiste dziwić się czemu! Aż potąd działała Bona wprawdzie zdaleka, ale silnie nad zniweczeniem szczęścia Barbary. Nie mógłszy jeszcze za życia Zygmunta Starego odwieść syna

od poślubienia kochanki, dołożyła ona podczas pierwszego sejmu piotrkowskiego wszelkich zabiegów pokątnych, aby przeszkodzić uznaniu małżeństwa królewskiego. Nie mógłszy unieważnić ślubów małżeńskich, wytężyła Bona podczas drugiego sejmu całą swoją biegłość w intrygach, aby utrudnić koronacyę Barbary. Nie mógłszy i tego dopiąć, przybrała teraz maskę przyjaźni i zbliżyła się z miłością ku synowej. Skłonił ją do tego albo widok spodziewanej śmierci Barbary, w którymto razie pojednanie się z umierającą królową miało ją pojednać znowuż z rozżalonym dotychczasową nieprzyjaźnią Augustem, albo potajemny plan skuteczniejszego podkopania wpływu Barbary z blizka, w postaci przyjaciółki. Na wszelki wypadek, według bezstronnych świadectw historyi, nie była Bona w stanie dopuścić się względem Barbary bezpośredniejszej winy, jak tylko takiej nieprzyjaźni i bezskutecznych intryg. Zatruły one wprawdzie gorzko życie Barbarze, lecz o inną, rzeczywistą truciznę posądza Bonę tylko ku przyszłości zwrócona obawa rozżalonego a podejrzliwego Augusta.

Teraz, w trzeci dzień świąt wielkanocnych, na pięć tygodni przed śmiercią Barbary, odbyła się na pokojach królewskich ceremonia, której sam Zygmunt August pragnął jaknajwiększej nadać okazałości. Królowa Barbara, lubo według mniemania powszechnego, blizka już wyzdrowie-

nia, jeszcze na łożu leżała. Przy niej jako publiczny tłumacz jej słów, pełnił obowiązki ochmistrza dworu pan kasztelan lubelski Maciejowski. Zdala otaczał królowę świetny dwór pań i panów. Widziano tam panią wojewodzinę krakowską z matką, panią Sandecką Żupnikowę, panią kasztelanowę Czchowską i wszystkie inne, jakie natenczas były w Krakowie. Pomiędzy panami, którym król zlecił znajdować się także przy audyencyi, uderzały osobliwie postacie pana Podkanclerzego kor. i panów kasztelanów Wojnickiego, Radomskiego, Bieckiego, Sandeckiego. W głębi zgromadzeni byli dworzanie. W obec tych wszystkich stał przed królową na środku sali mnich, zakonu św. Franciszka, z dwoma listami w ręku, jednym od królowej Bony, drugim od siostry Zygmunta Augusta, królewnej Zofii. Po doręczeniu pism ochmistrzowi, przemówił mnich po łacinie: „Najjaśniejsza królowa Bona, z łaski Bożej królowa polska, pani moja najmiłościwsza, widząc to wolą niebios, których rozkaz panuje wszystkiemu na ziemi, jakoteż życzeniem jego król. mości, najukochańszego syna swego, którego chęciom nie godzi się opierać, aby waszą król. mość pojął za najukochańszą małżonkę swoją i uczynił ją tronu i łoża uczestniczką — po długim i dojrzałym namyśle przyrzeka uznać i szanować waszą król. mość jako swoją córkę i synowę najukochańszą, którą teraz przezemnie, świadka i spo-

wiednika sumienia swego, pozdrawia i nawidza zasyłając modły do nieba, aby waszej król. mości dało rychłe wyzdrowienie z tej obecnej niemocy i wszelkie sukcesa i pomyślności na przyszłość." Odpowiedziała na to królowa Barbara przez usta swego ochmistrza, „tak, jako tylko najukładniej i najwdzięczniej odpowiedzieć mogła." Zaczem stanęła już zgoda i przyjaźń pomiędzy obiema koronowanemi paniami Polski. Zygmuntowi i Barbarze, jak Mikołaj Czarny Radziwiłł pisze przy tej sposobności Radziwiłłowi Rudemu, usunęła się — „ostatnia kłoda z drogi." Gładka już była droga — do grobu.

W trzy godziny po scenie pojednania, przeciw radośnemu króla i całego dworu oczekiwaniu, wzięła choroba Barbary nagle gwałtownie zatrważający obrót. Po otworzeniu się guza na ciele królowej, uformował się i pękł podobnież wtóry. Z ich odpływem upłynęły także siły Barbary, wycieńczone wieloletniem cierpieniem i półroczną już prawie chorobą ciągłą. Febra z gorączką dokonała dzieła zniszczenia. Ósmy dzień maja (1551) miał położyć koniec boleści i nadziejom.

Aż do tego dnia, gdy wszyscy ufność już utracili, gdy wszyscy jużto z unużenia, jużto ze wstrętu do przykrego stanu chorej, ile możności od śmiertelnego jej łoża uchylali się, jednego Zygmunta Augusta nie opuszczała nadzieja, jeden

Zygmunt August nie odstępował na chwilę umierającej. Mając już niewiele dni do spędzenia na ziemi, zapragnęła Barbara zmiany miejsca. Królewskie komnaty na zamku krakowskim zdały się jej za duszne. Wychowanka leśnej Litwy, córka rodu myśliwskiego o godle *Trzech trąb* łowieckich, uczuła chęć odetchnienia jeszcze raz wonnem powietrzem leśnem. Miano ją wywieźć do zamku królewskiego w Niepołomicach, wśród puszczy leśnej. Dla tem snadniejszej jazdy kazał król przyrządzić niezmiernie obszerną karetę, mogącą pomieścić łoże chorej i służbę. Sporządzony powóz okazał się szerszym od bramy miejskiej. Wzięto się więc do wyłomania obszerniejszego otworu w murze. Nie potrzebowała go już Barbara.

Nad ranem ósmego maja, w uroczysty dzień św. Stanisława, ozwało się w królowej przeczucie blizkiego zgonu. Prosiła o wcześniejsze niż zwykle odprawienie mszy św., po której zażądała przyjęcia sakramentów. Po namaszczeniu olejem św. nastąpiło pożegnanie z Augustem. Wtedy ostatnią w życiu prośbą skłoniła Augusta do przyrzeczenia, iż po śmierci odwiezie ją nazad do Litwy. Jedynem jeszcze życzeniem, jakiem duma światowa mogła była natchnąć umierającą, było życzenie spoczywania w grobach królewskich, wpośród reszty koronowanych małżonek królów. Nieumieszczenie tam zwłok Barbary mogło być poczytane za pośmiertną odmowę tej czci kró-

lewskiej, której za życia odmówić jej nie zdołano. A przecież wolała Barbara spocząć w rodzinnej Litwie, w Wilnie, w pobliżu onych błogich ogrodów dworu radziwiłłowskiego, w miejscu pierwszej miłości i marzeń złotych, tak rychło a tak smutno ziszczonych. Dana Barbarze w tej chwili obietnica pogrzebania ją w Litwie, uprowadzenia jej z stron, gdzie jej sercu tyle strzał padło, była tak stanowczą, iż najusilniejsze później przedstawienia przeciwne, czynione w interesie rodziny przez Radziwiłłów, obalić jej nie zdołały. Jeszcze kilka godzin po tem pożegnaniu pasowała się chora z śmiercią. Wreszcie w samo południe ogarnęła ją dziwna trwoga. Kazała przybliżyć się Augustowi. Nie mogąc dojrzeć go już dokładnie, nadstawiła mu ręce, które on w niemej ujął boleści. Mimo tak blizkiego połączenia się rosła chmura ciemności pomiędzy nimi. Czarne skrzydło anioła śmierci spuszczało się coraz niżej. Ostatni promień życia Barbary, ostatnie jej tchnienie, miało na ustach Augusta zgasnąć...

Oćmiony, zagłuszony tym ciosem August koił nieświadomie boleść swoją zwykłym w takim razie zakrzętem około usług ostatnich. Zaraz nazajutrz wyprawił król do brata nieboszczki, wojewody trockiego Mikołaja, list z doniesienim o śmierci. Przy wielu szczegółach ostatniego stanu choroby niemasz tam najmniejszej alluzyi do śmierci nienaturalnej. W publiczności atoli rozeszła się

pogłoska, posądzająca królową Bonę o otrucie Barbary, za sprawą bawiącego podówczas w Krakowie Włocha, lekarza i sekretarza Bony, Ludwika Monti...

Trzeciego dnia po śmierci, w sobotę, ubrano ciało nieboszczki w czarną atłasową szatę i złożono je w trumnę bogatą, ozdobione wszystkiemi oznakami dostojności królewskiej. Złota korona błyszczała na bladej skroni, prawa ręka dzierzyła berło, lewa jabłko królewskie. Tak wystawione były zwłoki Barbary na widok publiczny w sali zamkowej. Odbyło się solenne nabożeństwo żałobne, przy którem w obecności dworu, panów i duchowieństwa, spuszczono na zawsze wieko na trumnę. Każda z okoliczności pogrzebu szła natychmiast w liście królewskim do wiedzy brata nieboszczki w Litwie. Nic zaprawdę nie cechuje tak szczerze miłości króla, jak to listowe teraz przylgnięcie do człowieka, który będąc rodzonym bratem zgasłej, i najwięcej zapewne po królu wspólną dotkniętym boleścią, zdawał się być niejako ostatnim żyjącym szczątkiem umarłej...

Gdy się rozszerzyła wiadomość, że król zwłoki Barbary osobiście do Litwy przewieźć zamierza, uczuli wszyscy żal wielki, upatrując w tem jakoby wyrzut za dawny opór przeciw Barbarze. Udali się tedy wszyscy senatorowie i dygnitarze do króla z prośbą o pochowanie Barbary w grobach królewskich. Król jednakże nie dał się

zachwiać w własnem i nieboszczki życzeniu. Uwiadomił o tem szwagra królewskiego trzeci w przeciągu dni 10 list Augusta, polecający mu oczekiwać konduktu pogrzebnego i króla w stolicy Litwy. Dnia 25. maja zaś, po powtórnem nabożeństwie żałobnem, odbytem uroczyście nad trumną, przeniesioną do kościoła katedralnego, włożono zwłoki nad wieczorem do umyślnie na to przyrządzonej kolebki i nastąpiła nadzwyczaj okazała, obecnością króla, wielu biskupów, panów i ludu uświetniona eksportacya ciała z Krakowa, w drogę do Litwy, pod przewodnictwem samegoż króla.

Trwała ta smutna podróż przez cały prawie miesiąc. W ciągu całej podróży nie odstępował August na chwilę trumny kochanej. W drodze jechał on tuż za nią konno, w żałobnym stroju, w głębokim smutku. Przy wjeździe do któregokolwiek sioła lub miasta zsiadał król z konia i szedł pieszo za ciałem. Nie odwiodła go od tego ani razu żadna niepogoda, żadna przeszkoda.

Towarzyszył też orszak dawnego fraucymeru królowej i kilku panów. Pomieszczenie trumny i całego towarzystwa żałobnego podczas częstych noclegów sprawiało niemało trudności. Ponieważ to jednak w jakikolwiek sposób wiązało się z najdroższym dotąd Augustowi przedmiotem, więc zajmował on się rad osobiście najdrobniejszemi sprawami. „Wola nasza jest“ — pisze król w jednym z listów, rozporządzających przy-

jęcie konduktu na stacyi następnej — „aby w Rudnikach (myśliwskim dworze królewskim) ciało królowej jejmości stało przed tym domem, pod owym alkierzem, w któremyśmy domu sami mieszkiwać zwykli. A to twoja miłość wiedz, iż się ciała nigdy z kolebki nie składają; przeto już przed tym domem, gdzieśmy mieszkiwali, ciało niechaj pod alkierzem stoi z kolebką, a w tym domu się na wierzchnich wszystkich gmaszech fraucymer królowej jejmości złoży. A my sami w tym domku drugim, gdzie król jegomość ojciec nasz stawał, stać będziemy też na wierzchnich gmachach. Pan Stolnik z pisania twojej miłości nam mówił, aby gdzie w dwójce pani Kiezgałowa stara z panią wojewodziną Połocką stać mogły. A tak niechaj stoją, a wojewodzina witebska z niemi trzecia w tym domu, gdzie królowa stara stawała, na wierzchnich także gmaszech...“

Zwyczajnie odbywało się na każdym noclegu przez duchownych miejscowych nabożeństwo żałobne przy trumnie, składanej w miastach na mary wśród kościoła. Kolebkę z trumną ciągnęły ustawicznie rumaki karej maści. Gdy jedne ustały na siłach, szukano innych tej samej koniecznie maści, i niekiedy po największej przepłacano je cenie.

Już w drodze będąc, otrzymał król od brata zmarłej, wojewody trockiego list, przedstawiający w bardzo silnych wyrazach niestosowność grze-

bania zwłok Barbary gdzieindziej, niż w królewskich grobach w Krakowie. „Jeźliś ją z łaski bożej a swej potem“ — prosi króla dumny Radziwiłł — „posadził na tronie i włożyłeś na nią koronę, zrównałeś ją w. k. mość z pomazańcy bożymi ku czci jej i swej. Przebóg! połóż ciało jej tamże, *ad perpetuam ejus memoriam*, między ciały innych królów, aby ludzie nie mówili: że ją wyrzucono z korony precz, iż nie była godna leżeć między tymi koronowanymi pany.“ — Król odpowiedział, że nie może zostawić zwłok Barbary w Krakowie z wielu przyczyn, między któremi dwie główne, iż przyrzekł to samej Barbarze, i ponieważ niektórzy w Koronie okazywali nieprzychylność nieboszczce. „Przeto“ — pisze August — „gdy żywej wdzięczni być nie chcieli, nie zdało się nam, abyśmy między tak niewdzięcznymi ludźmi umarłą chować mieli, *ut illud compleri possit: o terra ingrata, non habebis ossa mea* (aby spełniły się słowa, o ziemio niewdzięczna, nie będziesz posiadać kości moich).“ — Co z smutkiem wyczytawszy, zaniósł wojewoda trocki nową prośbę, aby ciało Barbary złożone było przynajmniej w tym samym grobowcu w Wilnie, w którym leży już pierwsza małżonka królewska, Elżbieta Rakuszanka. Lubo i to sprzeciwiało się pierwotnemu zamysłowi Augusta, chcącego pogrześć małżonkę w założonym przez siebie kościele św. Anny, zezwolił

król przecież na spełnienie życzeń radziwiłłowskich, zamierzając złożyć ją w kaplicy kościoła katedralnego, obok królowej Elżbiety.

Stało się to wreszcie pod koniec czerwca, około św. Jana. Wjechał król z swoim skarbem żałobnym do miasta Wilna w towarzystwie mnogich panów litewskich, którzy już w kilkadziesiąt mil od stolicy, w Mostach, w Olkienikach, w Rudniku, spotykali go z powitaniem. Duchowieństwu wileńskiemu, które starodawnym obyczajem krajowym chciało króla powitać w polu przed miastem, kazał król wstrzymać się na ten raz od nazbyt wystawnych ceremonii i przyjąć królowę zmarłą u bram kościoła. Przez cały tydzień przed przybyciem konduktu działy się w Wilnie przygotowania do pogrzebu, powlekano kirem ściany komnat zamkowych i świątyń pańskich, stawiano mary w pięciu głównych kościołach. O samym pogrzebie tylko to wiemy, iż z prawdziwie królewską odbył się okazałością. W wszystkich głównych świątyniach odprawiały się egzekwie i nabożeństwa żałobne. Zwłoki Barbary spoczęły według przyrzeczenia królewskiego w kościele katedralnym, obok Elżbiety. Wkrótce po pogrzebie dwaj rzeźbiarze włoscy wznieśli nad grobami obudwóch małżonek królewskich dwa nader kosztowne pomniki marmurowe.

Osieroconemu Augustowi już tylko przyozdabianie tych pomników, pielęgnowanie drogich po

Barbarze pamiątek pozostało. Wszystkie jej zabytki, wszystkie szaty, kosztowności i przybory Barbary, służyły królowi do ostatnich chwil życia, nawet w rozporządzeniach testamentowych, za przedmiot najtkliwszej czci. Różne też inne okoliczności dowodzą niezgasłej w Auguście przez cały żywot pamięci dla Barbary, przychylności dla wszystkich, którzy mu ją przypominali. Przed wyjazdem z Wilna założył król tamże pod górnym zamkiem kościół ku czci św. Barbary. Stryjeczny brat królowej, Mikołaj Czarny Radziwiłł, marszałek i kanclerz W. Ks. Litewskiego, mianowany został jeszcze wojewodą wileńskim, co go wszechwładnym panem księstwa czyniło. Byłego sekretarza królowej, Stanisława Koszuckiego, przyjął August w własną służbę bibliotekarską. Przez całe życie nie zdejmował król z siebie szat koloru żałobnego. Pokoje ulubionego mieszkania w Knyszynie pozostały zawsze kirem obite. Wiadome jest podanie, jakoby król zniewolił był głośnego czarodzieja do pokazania mu cienia Barbary....

Żyła jeszcze Barbara na ziemi takiem życiem pamięci aż do zgonu Zygmunta Augusta. Z nim zamarły także wspomnienia o Barbarze. Zapomniała ją nawet własna rodzina do tego stopnia, iż dozwolono runąć jej grobowcowi w katedrze wileńskiej. Popioły Barbary zmieszały się z popiołami reszty strupieszałych mieszkańców kruchty

kościelnej. Nie pozostał żaden znak trumny, żaden ciała Barbary. Tylko uczonego Starowolskiego księga nagrobków przechowała nam napis, znajdujący się niegdyś na jej pomniku grobowym a głoszący w główną pochwałę zmarłej, że „niejednemu pomogła, nikomu nie szkodziła.“ Powtarzano ten frazes bardzo często o królowej Barbarze. W życiu prywatnem jest on zapewne dostatecznym. Atoli dla bohaterki dziejów zbyt blada to aureola. Przy wielkich postaciach historycznych, przy ofierze królowej Jadwigi, przy bohaterstwie Chrzanowskiej, gwiazda Barbary przygasa. Wielkość historyczna wykwita zwyczajnie z wielkości poświęcenia, a Barbara niczego nie poświęciła. Barbara własnego jedynie pragnęła szczęścia. Ale ponieważ to szczęście wiele łez, boleści a może i życie kosztowało, ponieważ wiele cierpiała, przeto lgnie do niej chętnie poezya, miłośniczka cierpienia. I często zatem brzmi lutnia polska pieśnią o królewskiej miłości Barbary i płyną łzy współczucia dla jej cierpienia, które każdemu sercu są tak zrozumiałe i blizkie.

Karol Szajnocha.

SZKICE HISTORYCZNE.

II.

Matka Jagiellonów.
Brody krzyżackie.

W Złoczowie,
nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

MATKA JAGIELLONÓW.

I.

Ostatnie lata piętnastego i pierwsze szesnastego stulecia widziały całą szeroką przestrzeń Europy między Adryatykiem, Bałtykiem i morzem Czarnem, pod bratniem berłem kilku Jagiellończyków, synów jednej i tejże samej matki: Władysława czeskiego i węgierskiego; Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego, polskich. Z tak niezwykłą potęgą ziemską łączyli bracia Jagiellońscy również niezwyczajną wartość moralną. Najpośledniejszemu z braci, Władysławowi Czeskiemu, wadziła tylko zbyteczna dobrotliwość, nie mogąca przecież wydrzeć mu chwały króla światłego, sprawiedliwego[1]). Drugi brat, Zygmunt stary, sprawił swoją mądrością, iż naród który mu poruczył swoje losy, nazywa jego czasy „złotym wiekiem“ swojej historyi. Trzeciemu z braci, Kazimierzowi, dano było zasłużyć sobie cnotami swemi na wnijście w poczet świętych, w liczbę niebieskich patronów kraju. Błoga zaprawdę matka, która takich synów wydała!

Lecz matce królewskich Jagiellonów należy się od nas więcej niż sam podziw macierzyńskiego jej szczęścia. Winniśmy jej wdzięczne uznanie, iż znaczna część wymienionych tu osobistych zalet i zasług potomków Jagiellońskich uzyskanej przez nich temiż zaletami wziętości u narodów sąsiednich — i wynikłego stąd rozrostu potęgi i sławy dynastyi Jagiellońskiej była dziełem jej ręki. Dozwala nam przekonać się o tem stary, niedrukowany dotąd zabytek piśmienny, rzucający naraz nowe niespodziewane światło na tę stronę dziejów i znaczenia naszej matki Jagiellończyków, małżonki Jagiełłowego syna Kaźmierza, córki cesarza Albrechta II., arcyksiężniczki Elżbiety.

Wspomniany tu zabytek jestto łacińskie pismo królowej Elżbiety o wychowaniu dzieci królewskich, *De Institutione Regii Pueri.* Oryginał jego, mała ozdobnie pisana książeczka o 138 stronicach, znajduje się od dawna w bibliotece cesarskiej w Wiedniu, a zakład Ossolińskich we Lwowie posiada je w bardzo starannym odpisie. — Obejmując w tej kopii 89 stronic w ósemce, ma to pismo kształt listu, pisanego przez królowę Elżbietę w późnej starości do syna Władysława, króla czeskiego i węgierskiego, między rokiem 1502 a 1503, gdy on po świeżem zaślubieniu drugiej małżonki Anny, hrabianki d'Angoulême, spodziewał się zostać ojcem.

Pierwszą myślą, jaka się na widok tego rękopismu nasuwa, jest zapytanie, czy też królowa Elżbieta rzeczywiście go ułożyła. Język starożytny, styl prawdziwie klasyczny, niepospolita znajomość greckich i rzymskich dziejów, znamionujące chlubnie rękopism, zdają się przemawiać przeciw autorstwu królowej. W jedynej, jaką dotychczas znamy, wiadomości o tym ciekawym rękopiśmie[2]) podniesiono nadto dwie z samegoż manuskryptu wydobyte okoliczności, mające sprzeciwiać się Elżbiecie. Pierwszą jest wzmianka królowej o sobie samej: iż „sześciu synów i tyleż córek na świat wydała“, podczas gdy Elżbieta, nader licznem ubłogosławiona potomstwem, była właściwie matką sześciu synów i siedmiu córek. Drugą okolicznością jest podobnież wyrażenie się autorki manuskryptu, że ma „około lat ośmdziesiąt“, podczas gdy królowa Elżbieta w porze układania rękopismu (jak z niektórych kombinacyi okazuje się) liczyła właściwie lat sześćdziesiąt i sześć. W tak uderzające pomyłki mógł zapewne tylko kto inny w imieniu królowej popaść.

Atoli pomyłki te uderzają tylko na pozór. Co do mylnej rachuby lat, ta w onych czasach bardzo częstem była zdarzeniem. Stało wprawdzie gdzieś zapisano, w którym roku ten albo ów książę urodził się; z zapisków tych można dziś dokładnie datę urodzin wywieść; lecz wówczas

(podobnie jak dziś u ludu się zdarza) nieraz sam książę nie wiedział, ile właściwie ma lat. Toć nie szukając daleko, tenże sam król Władysław, do którego skierowany jest list Elżbiety, znajdował się w takim wypadku. Spółcześni dziejopisowie, w codziennych żyjący z nim stosunkach, i zapewne z jego własnych ust oświeceni w tej mierze, liczą mu przy śmierci 61 lat życia[3]); na tablicy spiżowej u grobu w Białogrodzie wyryto mu lat 58[4]); właściwie zaś (jak się zdaje) umarł Władysław w 60. roku żywota[5]). Mogła więc królowa przez podobną pomyłkę (jeśli w ogólności zaszła pomyłka) przyczynić sobie łat kilka, a mniemając się przeszło siedmdziesięcioletnią, powiedzieć, iż dochodzi ośmdziesięciu. — Pewniejszą była zapewne liczba dzieci. Lecz w tym względzie co innego spowodowało nieporozumienie dzisiejsze. Główną rzeczą zdała się tu liczba synów. Wielość córek uchodziła za rzecz podrzędną. Toć mówiąc o potomstwie ojca tejże samej Elżbiety, króla rzymskiego Albrechta, donosi inny spółczesny kronikarz austryacki, uczeń akademii krakowskiej, iż miał dwóch synów; a gdy mu przychodzi nadmienić o córkach, dodaje sucho: „Córki można pominąć“[6]). Tak też i królowa Elżbieta, właśnie jedna z tych na pominięcie skazanych córek, szczyciła się głównie sześciu synami; o córkach zaś wystarczała jej wzmianka, iż było ich „tyleż“ co sy-

nów. Zwłaszcza, iż w tym wypadku równa ilość synów i córek wydawała razem liczbę dwanaście, liczbę ewangieliczną, zaszczytniejszą w oczach ówczesnych od trzynastki. Z czem zgodnie we wszystkich zwrotach stylu wyższego, czy to w wierszu pochwalnym przytoczonym przez samąż Elżbietę w naszem piśmie o wychowaniu, czy to w krasomówczym frazesie kroniki Długoszowej[7]), nie chwali się Elżbiecie, iż miała dzieci trzynaścioro, lecz że równą liczbą synów i córek dopełniła apostolskiej dwunastki. Nie może tedy zdaniem naszem i niedoliczenie siódmej córki stanąć dowodem przeciw autorstwu królowej. A to tembardziej, iż odsądzając ją nawet od bezpośredniego udziału w ułożeniu księgi wątpliwej, trzeba niezbędnie przypuścić, że ułożone i przesłane w imieniu królowej pismo musiało jej przynajmniej co do treści szczegółowo być znane. W którym to razie obie mylki mniemane albo powinne były uledz łatwej przez królowę poprawce, albo zostały przyjęte jako obojętne ozdoby stylu, równie naturalne pod piórem samej Elżbiety jak kogokolwiek trzeciego. Upieranie się przy ważności tych myłek zniewalałoby ostatecznie do wniosku, że królowa Elżbieta nie znała wcale listu swojego, na co już żadną miarą przystać nie można. Słuszne zaś odmówienie im wszelkiej wagi niweczy zupełnie wyprowadzony

z nich dowód przeciw autorstwu królowej, o co nam właśnie chodziło.

Ważniejszym zarzutem, owszem jedyną okolicznością przekonującą, że królowa Elżbieta bezpośrednio pisma swego nie układała, jest uderzający w nim styl klasyczny. W tej atoli mierze należy uwzględniać listową formę pisma. Powstało ono jak każdy inny z ówczesnych listów książęcych. To jest: królowa podawała szczegółowo treść pisma, a kanclerz jej, czy ktokolwiek wyjątkowo powołany ku temu, przyoblekał osnowę w dyplomatyczny owego czasu język, przyozdabiał ją dodatkami swej erudycyi, kwiatami stylu swojego. Tylko w ten sposób, tak naturalny listowemu kształtowi pisma, da się zrozumieć niewytłumaczona inaczej różnorodność jego pojedyńczych ustępów, z których wiele tchnie jawno duchem, czuciem, słowami bądź to piszącej bądź dyktującej matki, gdy inne znowu brzmią klasyczną frazeologią pisarza, prawdopodobnie Włocha; — wiele przypomina zdarzenia, osoby i charaktery otaczającego królowę dworu Jagiellońskiego, gdy inne upstrzone są niepotrzebnemi reminiscencyami literatury i dziejów starożytnych.

Taki zaś sposób zapatrywania się na przedmiot nie czyni żadnego uszczerbku autorstwu matki. Mimo cudzego języka, cudzego krasomowstwa, jest ona zawsze pierwotną twórczynią po-

mysłu dzieła; od nikogo innego jak tylko od pierwotnej twórczyni pochodzą główne zarysy i myśli wykonania; z ust i serca samejże matki płyną widocznie całe ustępy niektóre. Dalsze szkicu niniejszego wskazówki wyświecą nam, jaką drogą królowa Elżbieta mogła dostąpić z łatwością potrzebnego ku temu stopnia wykształcenia i dojrzałości moralnej. Stojąc zaś na tak podniosłym w istocie stopniu, okazuje się matka naszych Jagiellonów jedną z najświatlejszych niewiast swojego czasu. Tak gorące przejęcie się ważnością mądrego wychowania, ażeby aż pismo szerokie układać w tym przedmiocie, przekonywa nas, iż w powszechnie sławionem wychowaniu, jakie pod przewodnictwem znakomitych nauczycieli jej właśni otrzymali synowie, główny udział m a c i e r z y ń s k a wzięła troskliwość. Porównanie króla Kazimierza Jagiellończyka, ojca starannie wychowanych królewiczów, nie celującego bynajmniej ani dbałością o sprawy domu swojego, z matką królewiczów Elżbietą, występującą teraz przed nami w niespodziewanej chwale mędrczyni i „myślicielki“, przechyla w tej mierze całą szalę zasługi na stronę dostojnej autorki pisma o wychowaniu. Jakoż wpatrując się bystrzej w bliższe i wiarogodniejsze świadectwa o onych czasach i onem wychowaniu, postrzegamy w istocie, iż naszejto królowej Elżbiecie przyznawano główne w niem uczestnictwo.

Nie od kogo innego, a tylko „od matki świętobliwej *(a sanctissima matre)*“ — prawią naoczni wychowania tego świadkowie, posły polskie do panów czeskich, zalecając im królewicza Władysława — „wyssał Władysław wraz z pokarmem macierzyńskim bojaźń bożą, religijność, miłosierność i ludzkość“. Nie komu innemu, a tylko „najzacniejszej i najpobożniejszej z matek“ — głosi na pogrzebie króla Zygmunta Starego dziejopis i sekretarz królewski, Marcin Kromer [9]) — „zawdzięczał król nieboszczyk i reszta jego braci swoje święte i mądre od najwcześniejszych lat wychowanie.“ Elżbiety więc po większej części dziełem były błogie owoce edukacyi dzieci królewskich, jej spuścizną świętość św. Kazimierza, dobrotliwość Władysława, mądrość Zygmunta. A ponieważ przedewszystkiem osobiste zalety Jagiellończyków zjednały im życzliwość i trony ludów ościennych, zapewniły rządzonym przez nich państwom, jak mianowicie państwu Zygmuntowemu, wiekopomną pomyślność, przeto i na te coraz dalsze i wspanialsze wynikłości historyczne, na szerokie rozpostarcie się potęgi domu Jagiellońskiego, na szczęśliwy los Polski pod Zygmuntami, wpłynęła niemało wychowawcza pieczołowitość królowej.

Podając bliższą o tak błogosławionej matce wiadomość, przeznaczoną głównie do obeznania z pozostałym po niej zabytkiem literackim, dotkniemy ważniejszych szczegółów jej żywota.

II.

Mądra wychowawczyni swoich dzieci koronnych, przebyła Elżbieta w latach młodości szkołę cierpkich doświadczeń. Urodzoną z najdostojniejszych rodziców, córkę cesarza Albrechta II., króla czeskiego i węgierskiego, księcia austryackiego, jednego z najszlachetniejszych monarchów swojego czasu, i królowej Elżbiety, jedynaczki słynnego cesarza Zygmunta, dziedziczki Czech i Węgier, wypiastowały młodocianą królewnę sieroctwo, niedostatek, łzy opuszczenia. Już w trzecim roku życia [10]) odumarł ją ojciec, cesarz Albrecht, nie miawszy jeszcze czasu ustalić się na świeżo objętych tronach, pozostawionych przy jego śmierci bez męskiego następcy. Dopiero w blizko cztery miesięcy po zgonie męża urodziła wdowa królewska syna Władysława, Pogrobowcem stąd nazwanego, poczem we dwa lata sama umarła. Drobne jej dzieci pozostały pod opieką stryja, z młodszej styryjskiej linii książąt rakuzkich, cesarza Fryderyka III. Pod jego to ramieniem, bądź w Neusztadzie bądź w Wiedniu, rosły odtąd obie sierotki, dwuletni Władysław Pogrobowiec, oczekujący pełnoletności a z nią objęcia Czech, Węgier i swego dziedzicznego księstwa Austryackiego, i sześcioletnia Elżbieta, nieświadoma losu przyszłego.

Opiekun naszych dzieci królewskich, cesarz Fryderek III, znany jest ze swojej łagodności.

Nie było też w nim złej woli względem piastunków. Wszakże ustawiczne jego roztargnienie ówczesnym bezładem Rzeszy i ciągłe zamieszki domowe sprawiły, że sierotom Albrechtowym, oddanym nadzorowi cudzemu, nie zawsze dobrze się działo. Owszem opowiadano sobie powszechnie, iż muszą żyć w niedostatku i zaniedbaniu, co równie bolało dzieci jak i lud cały, serdecznie przywiązany do pamięci cnotliwego ich ojca. W przeciągu kilku lat doszły skargi na niedolę podrosłych tymczasem dzieci do tego stopnia, iż w porze oddalenia się Fryderyka do Rzymu na koronacyę cesarską nastąpiło w Wiedniu gwałtowne poruszenie ludu i szlachty okolicznej na korzyść sierot. Pod przewodnictwem dawnego marszałka dworu Albrechtowego, jednego z najzamożniejszych panów krajowych, Ulryka, zebrała się w kościele karmelitańskim walna rada mieszczaństwa, w której miano obmyślić środki złagodzenia losu królewiąt. [11]) Aby tem żywszą obudzić litość, wprowadził Ulryk naszą Elżbietę w pośrodek zgromadzenia, i wstąpiwszy z nią na ambonę zawołał: — „Patrzcie na tę dziewicę dostojną! Patrzcie i przekonajcie się, jak o nią dbają! Jestże jaka mieszczka, nie mówię już w tej stolicy, lecz w najlichszej mieścinie, któraby w takim stroju wyszła na miasto! Odzież na niej — podarta, obuwie — dziurawe, ledwie że głodu nie cierpi“. — Rozżalona królewna rzewnym wtórzyła płaczem. „Od łez i łka-

nia" — opowiada ówczesny sekretarz cesarza Fryderyka III, późniejszy papież Eneasz Sylwiusz Piccolomini [12/1]) — „nie można było dosłyszeć słów, któremi błagała zgromadzonych o pomoc dla siebie i dla brata". Nie były to zapewne pierwsze, jedyne łzy, jakie wycisnęło wychowanie sieroce....

Nie zbywało mu jednakże z drugiej strony na środkach wykształcenia. Pracowali nad niem zacni i światli ludzie. Jeszcze za życia matki wypiastowała Elżbietę kobieta uczona, niejaka Helena Kottaner, autorka pamiętników o swoich czasach, a w tym względzie jedna z najpamiętniejszych niewiast stulecia [12/2]). Później, gdy sieroty Albrechtowe dostały się pod opiekę cesarza Fryderyka, niejaki *mistrz* Hinterbach, „mąż uczony", ułożył umyślnie przepisy, według których miano wychowywać dzieci królewskie. Nie przestał na tem kanclerz i przyjaciel ich ojca, głośny w dziejach ówczesnych Kasper Schlick, piastujący i teraz tęższamą godność kanclerską, i choć zdala nad wychowaniem Albrechtowych potomków czuwający. Na jego prośbę ten sam Eneasz Sylwiusz, który z naocznego świadectwa opowiedział dzieje cesarza Fryderyka, napisał teraz osobną księgę *O wychowaniu dzioci* [13]), poświęconą młodocianemu Władysławowi Pogrobowcowi, królowi Węgier i Czech. Ona to niewątpliwie stała się wzorem pisma podobnej treści, które siostra i współwy-

chowanka Pogrobowca Elżbieta poświęciła później swemu synowi. Znachodzim w niej teżsame rady morały i wcale niezwykłe na one czasy prawidła edukacyjne, jakiemi według życzenia Elżbiety miało kierować się wychowanie jej spodziewanego wnuka czeskiego, a jakie zapewne znalazły już rzeczywiste zastosowanie w poprzedniem wychowaniu jej własnych synów, naszych Jagiellończyków. Lubo ułożone przez Włocha, nie były to bynajmniej miękkie, „włoskie“ prawidła. Z pod nieba Auzonii weszło w wychowawczą księgę Eneaszową jedynie zalecenie poezyi i poetów pogańskich, wybredności w wyborze nauczycieli, wstrętu od hucznych biesiad północy i t. p. Zresztą chce wychowawca włoski mieć z królewicza nie krasomowcę, lecz męża czynu, radzi przyzwyczajać go do znoszenia trudów i niedostatku, każe hartować go grubą strawą, szorstkiem odzieniem Przeznaczone właściwie dla brata Władysława przewodniczyły te przepisy bez wątpienia i wychowaniu siostry Elżbiety. Obaczym je w żywej pamięci u późniejszej królowej polskiej.

Teraz życzono jej jak najprędszego wyjścia z pod pieczy nauczycielskiej. Niewieście w średnich wiekach nie było dość wczesnej pory do oddania ręki mężowi. Dwanaście lat, wiek zwyczajnej podówczas wieloletności żeńskiej, poczytywano powszechnie najstosowniejszą do związku ślubnego chwilą. „Miała już rok piętnasty“ —

mówi z politowaniem o naszej Elżbiecie spółczesny kronikarz austryacki [14]) — „a jeszcze nie wydano jej za mąż". Jakoż było to jedynie winą przypadku. Już bowiem od swego roku czwartego [15]) była Elżbieta zaręczoną Fryderykowi księciu saskiemu, i tylko śmierć narzeczonego zerwała ten pierwszy projekt małżeński. Zdarzył się niebawem nowy projekt i aspirant do ręki, mający jeszcze wcześniejszych starań zasługę. Gdyż jeśli saski Fryderyk zaręczył sobie w czwartym roku Elżbietę, Polski królewicz Kazimierz, syn Władysława Jagiełły, ubiegał się o jej rękę, gdy ona zaledwie na świat przyszła, jeszcze za życia jej ojca, króla Albrechta, w prawdopodobnym roku urodzenia Elżbiety [16]). Zwyczaj nadmiar wczesnych zaślubin, w połączeniu z średniowiecznem rozmiłowaniem w długich przed każdym czynem układach, namysłach, ceremoniach, zniewalał do pospiechu z rozpoczęciem kroków swadziebnych, a polskim Jagiellonom zależało wiele na wyswataniu się w domu rakuzkim. Jeszcze od czasu wydania jednej z córek Kazimierza Wielkiego przez Ludwika, króla Polski i Węgier, w dom rakuzkich hrabiów Cyllejskich, starali się książęta polscy o kolligackie z książęty rakuzkimi stosunki. Toć znane są wczesne zaślubiny królewny polskiej Jadwigi z rakuzkim księciem Wilhelmem. Jego rywal Jagiełło mniemał po śmierci Jadwigi jedynie tem utrzymać się przy tronie, iż poślubił sobie Annę

Cylejkę, córkę owej przez Ludwika Węgierskiego wyswatanej królewny Polskiej, wnuczkę Kazimierza Wielkiego. Ciotka tej Anny, cesarzowa Barbara Cylejka, małżonka cesarza Zygmunta a babka naszej Elżbiety rakuzkiej, zdała się Jagiellonom polskim tak blizką, iż Władysław Warneńczyk po zgonie Zygmuntowym i odjęciu Barbarze wszelkich dochodów w Węgrzech i Czechach, przeznaczył jej zamek, miasto i powiat sędomirski na utrzymanie, „gdzie też była dostatnio, jak długo się jej podobało“ [17]. Cesarski zaś następca jej rakuzkiego zięcia Albrechta, cesarz Fryderyk III. — to potomek Piastów i Jagiellonów, jako urodzony z córki Ziemowita Piasta i Jagiełłowej siostry Aleksandry, z księżniczki Mazowieckiej Cymbarki, poślubionej rakuzkiemu książęciu Ernestowi. Nie dziw więc, iż zgodnie z zwyczajem czasu i kilkudziesięcioletnim kierunkiem koneksyi familijnych, tak wcześnie nasunęła się Kazimierzowi Jagiellończykowi intencya poślubienia Elżbiety.

Pierwsza odezwa o królewnę w kolebce, skierowana do jej dziada, cesarza Zygmunta w Pradze, nie osiągnęła wprawdzie zamiaru. Trwał przecież cierpliwy Jagiellończyk w powziętym raz zamyśle.

Trzema laty po pierwszej prośbie w roku 1439 [18], po śmierci cesarza Zygmunta, zgłosiło się w Wrocławiu u cesarza Albrechta drugie z temże samem przedłożeniem poselstwo, które pozyskawszy już przyzwolenie ojca Albrechta by-

łoby zapewne dopięło celu, gdyby nie blizka potem choroba i śmierć cesarska. Wtedy zamiast Kazimierza polskiego otrzymał przyrzeczenie ręki królewny ów saski książę Fryderyk. Czem jednakże nie zrażony Kazimierz przesyła w dalsze trzy lata, roku 1442, tężsamą prośbę po raz trzeci do matki w Węgrzech [19]. Już zanosiło się na spełnienie życzeń Kazimierzowych, gdy wtem i życzliwa matka umarła. W ciągu kilkuletniej opieki cesarza Fryderyka ustały na jakiś czas dziewosłęby królewicza polskiego, podniesionego teraz po śmierci brata Władysława pod Warną na tron ojczysty. Skoro atoli skutkiem wspomnionego powyżej, rozruchu w Wiedniu opieka nad sierotami Albrechtowemi przeszła od cesarza Fryderyka do spokrewnionego z dziećmi hrabi Ulryka Cyllejskiego, natychmiast (w roku 1452) ponowił król Kazimierz po raz czwarty swe dawne prośby o 15 letnią już pannę Elżbietę, przesłane obecnie do jej brata Władysława i nowego opiekuna Ulryka. Dopieroż tym razem stało się zadość tyloletnim staraniom. Władysław Pogrobowiec i hrabia Ulryk przyjęli uprzejmie poselstwo polskie. Powracającym z życzliwą odpowiedzią dziewosłębom królewskim przydani zostali posłowie z Wiednia, mający zbadać bliżej wolę, osobę i obyczaje Kazimierza [20]. Pomyślna ich relacya pociągnęła za sobą solenny w następnym roku zjazd poselski w Wrocławiu, gdzie stanęła osta-

teczna ugoda ślubna. Kazimierz otrzymał przyrzeczenie stu tysięcy węgierskich złotych posagu, a przyrzekł nawzajem trzy miasta królewskie, Koło, Opoczno i Przedecz, na *oprawę* królowej. Radzono nad tem przez długich dziesięć dni, w kilkudziesięciu z obojej strony posłów, pomiędzy którymi byli książęta, biskupi, kanclerze, wojewodowie i kasztelanów bez liku. Ukończonym obradom pobłogosławił głośny z cudów wymowy Jan z Kapistranu kazaniem pod gołem niebem, którego kilkadziesiąt tysięcy ludu słuchało. Za kilka miesięcy, na początku roku 1454, miała młodociana oblubienica stanąć osobiście w Krakowie.

III.

Uroczystości przy wjeździe królewny do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem liczą się do najwystawniejszych obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzedniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniej dwa tysięcy koni, powitało oblubienicę przed granicami państwa, w Cieszynie. Przed stolicą krakowską spotkał ją z całym dworem sam król Kazimierz, młody, ledwie 26 letni mężczyzna, przyjemnej twarzy, wesołego wejrzenia, błyszczący od złota i klejnotów. Obok króla, w bogato przyozdobionej kolebce, jechała matka Kazimierzowa, stara królowa Zofia. Za nimi ciągnęli dostojnym

rzędem arcybiskupowie, biskupowie, książęta szląscy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjęły wjeżdżających procesye wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiący odgłos dzwonów i trąb. Tak król jak i panowie wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów końskich. Rząd samego rumaka królewskiego szacowano na 40000 złotych. Podobnież i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity i złotogłowy. Młoda królewna mogła mniemać, że wjeżdża do kraju złotych gór. A to tylko chęć uczczenia jej przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich.

Nazajutrz przy ślubie w kościele katedralnym przyjaźne młodej parze współubieganie się o zaszczyt dopełnienia obrzędu wywołało pomiędzy dostojnikami kościoła spór: kto ma ślub dawać. Pierwsze do tego prawo przyznawał sobie kardynał i biskup krakowski Zbigniew, jako gospodarz miejsca. Wyższe odeń prawo rościł sobie arcybiskup gnieźnieński, jako prymas królewstwa. Prawem rozjemcy i pośrednika chciał zaślubić oblubieńców ów świętobliwy mąż, Jan Kapistran, którego cudotworcza od kilku miesięcy misya kaznodziejska w Krakowie i obecność przy tym akcie zaślubin stała im za najpiękniejszą ozdobę. Zgodzono się na wniosek rozjemcy, lecz gdy nieznajomość polskiego i niemieckiego języka nie dozwoliła świętemu mężowi dokoń-

czyć rozpoczętego obrzędu, wyręczył go w daniu ślubu kardynał, a prymas namaścił i ukoronował królowę. Przez cały tydzień trwały gody weselne, odprawowano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach liczny orszak węgierskich i czeskich panów i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczyście, i hojnie od króla polskiego obdarzony wrócił nad Dunaj.

Pozostawiona w Polsce córka cesarska znalazła przy boku króla Kazimierza godne swoich cnót i przymiotów pożycie. Młody małżonek kochał ją „gorącą miłością“[21]) i był wzajemnie od niej kochanym. Kraj okazał się Elżbiecie w ogólności ubogim, lecz dwór opływał zawsze w dostatki, a i pospolici ludzie mieli sposobność gromadzić niemałe skarby, które wieśniaczym zwyczajem onego czasu po różnych zagrzebywano kryjówkach[22]). Naród tchnął jeszcze poniekąd rubaszną wieśniaczością, raził wykwintność zagraniczną widokiem swoich zgiełkliwych biesiad, swoich gminnych nałogów; lecz pod tą prostaczą powierzchownościa było zdolne wzniosłych uniesień serce, płonął chciwy nauki umysł. Toć właśnie tymi czasy, kiedy cnota rycerska mniej niż w innych latach płużyła, zdarzył się przykład heroicznego natchnienia, dany przez księcia na Zbarażu, który od przemagającej siły Tatarstwa oblężony w swym zamku, „samsonowym“ jak kronikarz o nim mówi — „duchem przejęty“,

wolał sam spalić się w grodzie z żoną i dziećmi niż na czas jakiś pójść w niewolę pogańską[23]). A chęć nauki tak dalece ożywiała wszystkie stany narodu, że tysiące uczniów cisnęły się zewsząd pod sklepienia głównej szkoły krakowskiej[24]); że dla zapobieżenia grożącemu stąd wyludnieniu siół, brakowi rąk w rolnictwie, musiano stanowić prawa, aby tylko pewnej liczbie synów włościańskich wolno było wydalać się na naukę[25]), Owszem nawet kobiety pałały tak gorąco chęcią do nauk, iż niektóre, jak mianowicie pewna młoda dziewczyna, później na ksienię wyświęcona[26]) z niemałem w obec duchownych sądów niebezpieczeństwem, w męski przebierały się strój, aby w krakowskim przybytku nauk zaczerpnąć wiedzy uczonej. Potrzeba było tylko zacnej, umysłowej podniety, a wszystkie szlachetniejsze popędy gotowe były bujnie rozwinąć się. Ile tej podniety wyjść mogło od światłej i cnotliwej królowej, tyle Elżbieta szczodrze udzieliła jej narodowi. Uczyniła to zaś przykładem swego cnotliwego żywota i staraniem o również przykładne później życie swych dzieci, służących tem za wzór całemu pokoleniu nowoczesnemu.

Własny żywot Elżbiety upływał śród ciągłych trosk macierzyńskich i czynów bogobojności. Najpoważniejsze głosy spółczesne, znane nam już z wzmianki poprzedniej, nazywają królowę „dziwnie pobożną, świętą“. Przywiązana osobli-

wie do najsłynniejszego podówczas zakonu św. Franciszka, miała ona nawet przyjąć dozwolony świeckim osobom stopień tercyarki[27]). Tejże czci ku św. Franciszkowi przeszło dwadzieścia klasztorów franciszkańskich i bernardyńskich, jużto przez samą królowę, jużto za jej staraniem przez króla zbudowanych, zawdzięczało Elżbiecie swój początek[28]). Oprócz tego pozostały po niej inne jeszcze zakłady bogobojne. Jest np. takim kaplica św. krzyża, poprawej ręce przy wstępie do katedry krakowskiej, uposażona funduszem na dziewięciu duchownych; jest nim podobnaż fundacya ośmiu, mansyonarzów w kościele św. Michała Archanioła w Krakowie, jest niejeden szpital dla ubóstwa okolicznego[29]). A chcąc nawet w każdej powszedniego żywota chwili, codziennem zajęciem ręki, służyć Bogu i kościołowi, wypracowywała królowa mnogie przybory kościelne, szyła komże, tkała ornaty bogate[30]).

Toteż wynagrodził ją pan Bóg hojnem zato błogosławieństwem domowem. Dozwoliło jej niebo dochować się sześciu synów i pięciu córek[31]), oprócz dwojga za młodu ze świata wziętych. Nieraz dwanaścioro dzieci — chwali się Elżbiecie u ówczesnych wierszopisarzów i kronikarzy — spoczywało razem dokoła matki. Najmilszym jej sercu, jak naoczni upewniają świadkowie[32]), był średni z synów Olbracht, młodzieniec wesół, śmiały, rycerski, pełen wyniosłych zamysłów

i przedsięwzięć. Starszy odeń dwoma laty Kazimierz, i najstarszy Władysław, ujmowali dziewiczą skromnością i potulnością. Młodsi: Aleksander, Zygmunt i Frydryk, dziwili przyjemnie swoją dziecinną powagą i wczesnym statkiem. Te ich osobiste zalety rozwijało od pieluch bardzo troskliwe prowadzenie. Synowie matki, która tak wysoce pokładała skuteczność edukacyi, iż osobne o niej pismo pozostawiła, otrzymali wszyscy rozumne, pracowite wychowanie.

Już między szóstym i siódmym rokiem życia wychodziły dzieci Kazimierzowe z pod pieczy niewieściej w ręce wychowawców męskich[33]). Głównym nauczycielem królewiczów był Jan Długosz, kanonik krakowski, człowiek uczony i pobożny, bezwzględny prawdomowca, ojciec dziejopisarstwa naszego. Obok niego wymieniają spółcześni jeszcze pedagogiem chłopiąt królewskich niejakiego Jana Welsa, mistrza z Poznania[34]). Trzecim wychowawcą został później słynny Filip Kalimach Buonacorsi, uczony przybysz włoski, autor kilku szacownych pism o Polsce i Polakach, umysł nadobny i przybiegły, a dla swojej polerowności, dla swego bystrego sądu w przedmiotach polityki, nadzwyczajnie ceniony u dworu, a zwłaszcza od królowej.

Z tymi nauczycielami przejeżdżali się wychowańcy koronni co kilka lub kilkanaście miesięcy z jednej strony królewstwa w drugą, z jednego

zamku na drugi. Widzimy ich pod wyłącznym nadzorem wychowawców, zdaleka od rodziców królewskich, jużto w Tyńcu, jako w najbezpieczniejszem miejscu schronienia się od grasującego naówczas powietrza morowego[35]), jużto w Krakowie, pod bokiem szkoły uczonej[36]), jużto w Starym Sączu[37]), w pośrodku zdrowej natury górskiej, jużto wreszcie w zamku lubelskim[38]). Wszędzie owa męska surowość, jaką przed dwudziestą laty w swoich przepisach edukacyjnych Eneasz Sylwiusz zalecał rodzonemu bratu naszej królowej Elżbiety, służyła za główną podstawę wychowania. W tej mierze starali się rodzice królewscy przedewszystkiem o wpojenie królewiczom uszanowania dla wychowawców. „Macie dwóch ojców“ — mawiał król Kazimierz do swoich dzieci — „jednego mnie, którym was spłodził, drugiego księdza Jana (Długosza), który wam umysł rozwinął“[39]). A gdy cudzoziemcy przypadkiem weszli w progi mieszkania królewiczów, pierwszą rzeczą, która ich uwagę na się zwracała, była uległość uczniów dla swoich mistrzów[40]). Tak poważany nauczyciel mógł w razie potrzeby nawet do bolesnych uciec się środków. Gdy bywało lament dzieci karanych dolatywał uszu królewskich, mawiał ojciec uradowany: „Niech płaczą! Niemasz dla mnie milszej muzyki nad płacz moich dzieci pod rózgą nauczycielską“[41]). Toteż nie tylko łzy, lecz

i głód i mróz i wszelkie trudy ręczne nie były obce wychowankom królewskim. Przyodziani latem w grubą odzież sukienną, zimą zaś w proste kożuszki koźle; jadając poślednią zwyczajnie strawę[42]); dalecy od wszelkich wygód i pieszczot, oswajali się oni z wszelkiemi dolegliwościami żywota, uczyli się wchodzić w niedolę każdego z najniższych poddanych swoich.

Wszakże ta szorstkość wychowania fizycznego nie wykluczała wytworności umysłu. Młodzieńcy królewscy przykładali się nawet do takich umiejętności, które podówczas miano jeszcze powszechnie za cale nowe i niezwyczajne. Mianowicie język i literatura klasyczna stanowiły ważną gałęź nauki.

Po dziś dzień można (pomiędzy rękopismami zakładu Ossolińskich) widzieć grubą starożytną księgę, zawierającą wyciągi z najlepszych autorów klasycznych, zebrane przez Długosza dla królewiczów[43]). W ważniejszych okolicznościach, bądźto przy powrocie rodziców królewskich po dłuższej niebytności do stolicy i do bawiących tam właśnie synów, bądź to przy uroczystym podejmowaniu u dworu dostojnych gości zagranicznych, występowali uczniowie Długoszowi z przemową, ułożoną w niezwykłym dla świeckich uszu języku łacińskim, budzącą nim powszechny podziew dla młodocianych mowców[44]). Wtedy i powierzchowność królewiczów nabierała świetności. Zamiast kożuszków koźlich świeciły na nich adamaszki i zło-

togłowy, zamiast szarych sukień jaśniał karmazyn; a gdy owi goście zagraniczni usłyszeli oracyę synów królewskich, gdy się przypatrzyli ich ujmującym, strojnym teraz postaciom, ich nadobnemu zachowaniu się przy boku ojca — trudno im było później zapomnieć miłego widoku królewiąt polskich, i opisując swoje po północnych i wschodnich stronach wędrówki, barwili radzi ten opis obrazem synów Kazimierzowych, nim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu. Oto np. poseł ówczesnej rzeczypospolitej weneckiej, *signor* Ambrosio Contarini, kreśli swoją przez Polskę do Azyi odbytą podróż, i nadmieniwszy o odwiedzinach u króla Kazimierza w Łęczycy[45]), gdzie mu zwyczajem wschodnim nadesłano przed audyencyą suknię adamaszkową do przedstawienia się w niej królowi — dodaje następnie: „Dnia 19-go (kwietnia r. 1474) przybyłem do ziemi, która się zwie lubelska. Jest ona dość uprawna, z porządnym zamkiem, w którym bawili czterej synowie królewscy. Najstarszy mógł mieć około lat piętnastu, i tak stopniowo coraz niżej o rok. I mieszkali tam na zamku z bardzo światłym nauczycielem, który ich wychowywał. Chciano (a mniemam, że działo się to na rozkaz ojca), abym ich poszedł odwidzić, co też rad uczyniłem. Jeden z nich powitał mię krótką przemową, tak zacną i rozsądną, jak tylko żądać można. A okazują nadzwyczajną

rewerencyę swemu mistrzowi. Odpowiedziałem jak należało, i złożywszy Ich królewiczowskim Mościom słuszne podziękowanie za łaskawe przyjęcie, pożegnałem się".

Wracając po trzech latach przez Polskę z Persyi, wstępuje Contarini znowu na dwór królewski. Bawił Kazimierz Jagiellończyk tym razem z królewiczami na Litwie, w Trokach. Królewicze znacznie podrośli. Widział ich Contarini teraz przez kilka godzin przy boku ojca, przy stole. „Dowiedziawszy się o mojem przybyciu" — opowiada podróżny Włoch[46]) — „wyprawił Jego król. Mość dwóch kawalerów dworskich, aby mi powinszowali szczęśliwego powrotu i zaprosili mię na dzień jutrzejszy do stołu królewskiego. A następnego dnia (byłoto 15-go lutego 1477) rozkazał król Jegomość dać mi suknię z adamaszku karmazynowego, podbitą sobolami, i zawezwał mię przed siebie. I chciał, abym wjechał do dworu saniami, uprzężonemi sześcią rzadkiej piękności końmi, w towarzystwie czterech panów, którzy stali zewnątrz sań, i wielu innych, z wielką okazałością. Tak wjechaliśmy do pałacu Jego król. Mości, gdzie wysiadłszy, zostałem wprowadzony do komnaty królewskiej. Siedział tam król Jegomość w wspaniale przyozdobionem miejscu, mając przy sobie dwóch synów swoich, ubranych w strzyżony karmazyn, młodziuchnych i pięknych, że wyglądali jak

dwa anioły. W którejto komnacie było jeszcze bardzo wielu panów i kawalerów znamienitych i innej szlachty. I postawiono dla mnie ławeczkę tuż naprzeciw Jego król. Mości, który przyjął mię tak mile i łaskawie, jak tego opisać nie jestem w stanie, i chciał abym jego dwóch synów ścisnął za ręce — jednem słowem, wyrządzał mi tak wielką ludzkość i uczciwość, że gdybym jego własnym był synem, nie mógłby mi był większej wyświadczyć. Chciałem mówić do niego klęcząc, i wszelkiemi na to nastawałem siłami; lecz król Jegomość nie chciał żadną miarą dopuścić, abym zaczął mówić do niego, aż póki pierwej nie wstanę. I żądał koniecznie, abym usiadł, czegom ja żadnym sposobem uczynić nie chciał. Wszakże nakoniec z posłuszeństwa dla częstych jego rozkazów, wypadło mi usiąść na chwilę. I tak siedząc, opowiedziałem Jego król. Mości z wszelką dokładnością całą moją podróż do Persyi...... Poczem kazał mi król wstąpić do innej sali, gdzie były już stoły nakryte, a miałem zawsze liczne towarzystwo około siebie. Po krótkiej chwili wszedł Jego król. Mość z synami przy odgłosie trąb i z wielką okazałością. I usiadł sam przy jednym stole, a przy nim po prawej ręce siedzieli pomienieni synowie jego, po lewej zaś najpierwszy z jego biskupów, a ja tuż za nim, niedaleko Jego król. Mości. A panowie, których było tam wielu, siedzieli także przy

stole, ale nieco opodal, a było wszystkich, jak sądzę, około czterdzieści osób. Potrawy przynoszono na stół śród coraz nowego odgłosu trąb, na wielkich półmiskach i w wielkiej obfitości. A do stołu służyli pachołkowie, jak u nas. Siedzieliśmy tak przy stole ze dwie godziny; w którym to czasie Jego król. Mość zadawał mi znowu wiele pytań względem mojej podróży, na co ja należycie odpowiadałem. Po skończonej uczcie, gdy uprzątniono stoły, zabrałem się do pożegnania Jego król. Mości i stojąc zapytałem, czy ma jeszcze co do rozkazu. Natenczas król zlecił mi, abym prześwietną Signioryę (wenecką) pozdrowił od Jego król. Mości, i wiele uprzejmych wyrazów dodał, i kazał synom swoim, aby przemówili do mnie w tenże sam sposób. Zaczem oddawszy powinne uszanowanie, pożegnałem króla Jegomości i jego synów.“

Niemasz tu żadnej wzmianki o królowej Elżbiecie. W XV. wieku i w Polsce, klasztornie pobożna niewiasta, a zwłaszcza tercyarka zakonna, jak matka naszych królewiąt, bywała bardzo rzadko widziana w gronie męskiem, w obec podróżników cudzoziemskich. Podczas gdy król z starszymi synami przyjmował gości z stron obcych, gdy młodsi synowie pod przewodnictwem swych mistrzów w zacisznem kształcili się ustroniu — ona śród dworu niewieściego czuwała nad swojemi córkami, równie starannie

i szczęśliwie wychowanemi. Obyczajowe oddalenie od synów wynagradzało się jej radością z pomyślnych skutków starań około moralnej ich przyszłości. Edukacyjna troskliwość królowej, dzięki której młodzi Jagiellończykowie wyglądali w oczach cudzoziemców „jak aniołowie,“ przyniosła już za życia Elżbiety błogie dla nich, dla kraju i dla niej samej owoce.

IV.

Synom królewskim wychowanie wzorowe daleką jednało cześć. Lubo narody ówczesne nie żyły z sobą w tak blizkich jak dziś stycznościach, wiedziano przecież w jednym kraju, czem się odznaczał drugi. Przez usta podróżników jak ów poseł wenecki, rozchodziły się po zagranicy, a zwłaszcza po przyleglejszych krajach, Węgrzech i Czechach, najpomyślniejsze o młodych Jagiellonach powieści. Stąd gdy w zaburzeniach ówczesnych trony tych ludów niejednokrotnie opróżniały się, szły od nich wzajem prośby o królów do Polski. Skutkiem takiej odezwy Czechów, został najstarszy z wnuków Jagiełły i cesarza Albrechta, dobrotliwy Władysław, jeszcze za życia i za przyzwoleniem czeskiego króla Jerzego z Podjebradu, obrany królem czeskim. Mało-co później znaczna część Węgrów powołała drugiego, świętobliwego Kazimierza, na tron węgierski[17]).

Własna Jagiellonów ojczyzna Polska, zniewolona patrzeć, jak narody sąsiednie wydzierają sobie jej królewiczów, musiała na młodszych przestawać braciach. Są poszlaki piśmienne, uwiadamiające nas o przechylaniu się korony szwedzkiej na skroń trzeciego Jagiellończyka[48]. Owszem, czwartemu z braci przeznaczała Fortuna jeszcze nierównie wspaniałszy los.

W tymsamym roku, kiedy jeden poseł wenecki dążył przez Polskę do Azyi, przybył stamtąd do Polski inny ambasador wenecki, niejaki Caterino Zeno, niosący królowi Kazimierzowi ważne od cesarza Persyi poselstwo. Szukając w Europie *sprzymierzeńców przeciw zdobywcom Grecyi*, Osmanom sułtana Mahmuda, któremu potężna podówczas Persya zagładę poprzysięgła, kazał cesarz perski Hussen-Kassan oznajmić królowi polskiemu: „Mam ja dwie córki dorodne, z których jedną, w wiarę chrześcijan ochrzczoną, chcę wydać za twego syna, i przeznaczam mu w posagu całe cesarstwo greckie, zdobyte wspólnym trudem *na Turkach*“[49]. Król Kazimierz uśmiechnął się. Miał on dość trudów w utrzymaniu synom Węgier i Czech.

Zaprosiny królewiczów Jagiellońskich na trony sąsiednie świadczyły na wszelki wypadek o dobrej ich sławie za granicą, lecz dalsze ubezpieczenie napływających koron przechodziło niekiedy w rzeczywistości dotychczasową materyalną

potęgę domu Jagiellońskiego. Koronę węgierską osiągnął później Jagiellończyk Władysław, łącząc ją z berłem czeskiem. Teraźniejsze powołanie do niej królewicza Kazimierza pozostało tylko bezskutecznem świadectwem czci, jaką synowie Elżbiety posiadali w domu i za granicą.

Zamiast węgierskiej uśmiechała się Kazimierzowi inna korona. Dziewicze obyczaje, gorące ćwiczenia duchowne przy wątłem ciele, i owa żarliwość religijna[50]), którą spostrzegamy zarówno w uczniu i kronice Długosza, zwracały nań wcześnie oczy pobożnego podziwu. Po zgonie w kwiecie młodości zaczęły krążyć pogłoski o cudach u grobu królewicza. Myśl wydania na świat *świętego* jakąż błogą rozkoszą musiała macierzyńskie przenikać serce! Ułatwił spełnienie się tej myśli przez kanonizacyę św. Kazimierza, przedostatni z synów Elżbiety, mądry Zygmunt. Tysiące dusz zasmuconych, cierpiących, znachodziły odtąd rokrocznie nadziemską ulgę u trumny nowego orędownika w niebiesiech. Sam podejrzany w prawowierności Bielski przyświadcza, jako „wiele pomocy uznają ludzie chorzy przy jego grobie."[51]).

Oprócz tego błogosławieństwa niosło wychowanie Jagiellońskie jeszcze mnogie inne, pomyślne krajowi skutki. Uszanowanie dla nauk, głoszone jawnie tak pilnem przykładaniem się do nich synów królewskich, wpajało się coraz głę-

biej w wyobrażenia i obyczaje całego społeczeństwa. Wzbudzona tem wychowaniem potrzeba światłych nauczycieli, nakazująca otwartemi ramiony przyjmować wszystkich uczonych mężów z stron obcych, przeszczepiona z dworu królewskiego na dwory pańskie, napełniała u schyłku XV. i w pierwszej połowie XVI. stulecia cały kraj znakomitymi cudzoziemcami, którzy z wielu względów wpłynęli dobroczynnie na dziwnie szybki postęp narodu w oświacie i uobyczajeniu. Zacząwszy od Kallimacha, dziejopisa Warneńczykowego, aż do Jodoka Decyusza, opisywacza dziejów i rodziny Zygmunta, iluż innych jeszcze gości uczonych, jak ów Konrad Celtes, poetyczny wielbiciel Wisły, jak Vadian i Schraeter, pierwsi pisemni rozsławiacze kopalń krakowskich, jak Hartman Szedel, opisywacz stolicy Jagiellońskiej, jak Zainer, Lotter, Haller, pierwsi drukarze polscy, powiększyło umysłowy ruch tego czasu, w którym Jan Ostroróg pisał o *poprawie* rzeczypospolitej[52]), Mikołaj Kopernik przysposabiał się do swoich odkryć astronomicznych a Wit Stwosz pracami dłuta swego ozdabiał Kraków. Ileż wreszcie przybyszów i ruchu naukowego w uczonej szkole krakowskiej! Jakoż najlepszym dowodem zbawiennego wpływu wychowania dzieci królewskich na oświatę powszechną jest ówczesna liczba uczniów tej szkoły. Zgromadzało się ich niekiedy, przy uroczystych obchodach, jak

np. na pogrzebie Filipa Kallimacha, do piętnastu tysięcy. Donosi o tem przyjaciel Kallimachów, naoczny świadek pogrzebu, w liście z Krakowa do Włoch[53]). A kto się zastanowi nad zwyczajnym pod koniec średnich wieków natłokiem uczniów po akademiach, skutkiem którego np. w Pradze, kilkudziesiecią laty przed królową Elżbietą, tylko jedna cząstka ludności akademicznej, emigrująca z niechęci ku Hussowi do Lipska, liczyła po 5.000 głów — przeciw któremu natłokowi, jak już wspomniano, musiały względem synów kmiecych stanowione być prawa, aby całkowicie nie opuszczali pługa — ten ową liczbę uczniów krakowskich nie znajdzie zbyt przesadzoną. Za niedawnym przykładem starownego wychowania synów królewskich jął teraz kraj cały tłumnie wychowywać się i oświecać.

Patrzyła na to królowa Elżbieta z powagą uznanej przez wszystkich matki i wychowawczyni pokolenia młodego. Rzadko kiedy widzimy ją za życia króla Kazimierza, jakoteż po owdowieniu, mieszającą się w sprawy publiczne: lecz ile razy zdarzy się to, zawsze szanowna małżonka i matka królewska stanowczy w rodzinie wywiera wpływ. Oto np. węgierski król Maciej Korwin żąda królewny Jadwigi w małżeństwo i ofiaruje pod tym warunkiem pokój Polakom, a król Kazimierz skłania się już do wydania mu córki. Wtedy królowa Elżbieta, zawzięta nieprzyjaciółka

Korwina, nieprzyjaciela jej brata Pogrobowca — „słowa na to“ — jak kronikarz się wyraża[54]) — „nie dała rzec, mówiąc: iż Matyasz chłop, kurczek Wołoszyn, niegodzien jej!“ — przeco zerwały się układy. Podobnież gdy później król Aleksander drugą siostrę Elżbietę zaślubić chciał Bohdanowi, hospodarowi wołoskiemu, „stara królowa“ znowuż — słowa na to nie dała rzec[55]), ponieważ był innej wiary, szyzmatyk. Gdy po śmierci Kazimierza następstwo tronu, już wówczas na los elekcyi zdane, chwiało się pomiędzy dwoma synami, królowa Elżbieta nadesłaniem kilku chorągwi zbrojnych starszemu i ulubionemu synowi Olbrachtowi, rozstrzygnęła sprawę na jego korzyść. Widząc zaś po zgonie Albrechtowym, jak przy podobnież wątpliwej elekcyi syn Aleksander przemocą oręża zamyślał zdobyć sobie koronę, umiała matka powstrzymać go od wybuchu i ułatwić mu tem spokojne posięście tronu. „Tak więc“ — mówi światły jej dziejopis dzisiejszy[56]) — „po raz drugi wybawiła Elżbieta Polskę i Litwę od wojny domowej.“ Jeśli kto, tedy nasza matka Jagiellonów, ta (jak z podziwieniem powtarzali o niej spółcześni) „córka królewska, siostra królewska, małżonka królewska, matka trzech (później nawet czterech z kolei) królów“[57]) — zasłużonej używała powagi.

W takiem też uczuciu rzeczywistej wyższości umyśliła królowa Elżbieta udzielić synowi

Władysławowi, już królowi czeskiemu, w lat dziesięć po owdowieniu, jako matrona siedmdziesięcioletnia, swoich wyobrażeń i doświadczeń edukacyjnych. Po skreślonym tu szkicu jej życia będziemy zapewne mniej skorzy odmawiać Elżbiecie głównego udziału w piśmie, które wypłynęło z tego zamysłu. Wypiastowana na ręku pismiennej wychowawczyni, autorki, owej Heleny Kottaner — sławiona przez spółczesnych jako główna uczestniczka w staraniach około wzorowego wychowania synów Kazimierzowych[58]) — surowa karcicielka wychowania zaniedbanego i obyczajów prostaczych, rażących ją w osobie bądźto owych wzgardzonych spółzawodników o rękę córek królewskich, bądź własnej synowej W. księżniczki Heleny, małżonki Aleksandra, którą mąż w przechowanych dotąd listach do matki musiał usilnie uniewinniać w tej mierze[59]) — osobliwie zaś mając przed sobą wzór rozprawy edukacyjnej, napisanej przez sławnego autora dla rodzonego brata królowej — była Elżbieta ze wszech miar usposobioną do przesłania synowi listu podobnej treści. Ma Elżbieta zupełne prawo do pisma, które naraz ze wszelkiemi warunkami autentyczności zewnętrznej, pojawia się niespodzianie pod jej imieniem.

W zakończenie wglądnijmy w osnowę tego ciekawego i znamienitego zabytku historyi Jagiellońskiej.

V.

„Słyszę, synu najukochańszy!“ — rozpoczyna królowa swoją mowę do Władysława, — „co daj Panie w niebiesiech! iż Anna, małżonka twoja, powije ci w rychle małego Kazimierza. Jak niezmierną radością i pociechą przejęła mię ta wiadomość, możesz już z tego powziąść, iż żadną miarą powstrzymać się nie mogłam, aby nie ułożyć na piśmie dla ciebie i Anny twojej nauk niektórych, mogących zdaniem mojem przyczynić się do należytego wychowania dziecka naszego. Jakież bowiem pożądańsze i radośniejsze może nam Pan Bóg wyświadczyć dobrodziejstwo, jak dać ci syna, który......

„A wychowania królewskiego naukę ktoż kiedy w czasach dawniejszych, któż za dni naszych, owszem któż w przyszłych (śmiałabym wyrzec) wiekach zbadał dokładniej *odemnie*, która będąc córką i małżonką dwóch najzacniejszych królów, mając dziada i rodzonego brata królami, zostawszy matką trzech królów, jednego W. księcia (litewskiego) i kardynała jednego — wydałam na świat sześciu synów i tyleż córek, wypiastowałam ich, wychowałam, i nieraz z nimi, ku osobliwszemu zdziwieniu i radości ludzkiej, u jednego zasiadywałam stołu. Jakoż (co także do szczęścia mego policzyć trzeba) blizko ośmdzie-

sięciu lat już dochodząc, a do dnia dzisiejszego najczerstwiejszych i w niczem nienadwątlonych używając zmysłów, jestem od całego świata poczytywana za szczęśliwą, sławiona jako taka. Bo masz wiedzieć, synu najdroższy, że znamienite talenta pismienne wielbią już imię moje. W dowód swojej szczególnej życzliwości ułożył pewien włoski poeta niepośledni o mojem szczęściu wiersz, który zapewne chętnie odczytasz.....

„Wybaczysz, sądzę, tej wzmiance o samej sobie. Starzy ludzie, jak wiesz, chętnie powtarzają swą chwałę. Zwłaszcza wobec dzieci, które mają być naśladowcami ich cnoty..."

Po tym wstępie obejmującym 5 stronic, radzi królowa Elżbieta najprzód, aby synowa Anna swe przyszłe dziecko ile możności sama karmiła. Tylko gdyby to żadną miarą stać się nie mogło, niech mu da mamkę szlachetną, obyczajną a osobliwie wymowną. Ku poparciu tego następują na dalszych 5 stronicach zgodne z wyobrażeniem królowej zdania innych osób w tej mierze, stwierdzone różnymi przykładami.

Drugą radą jest również wymowne zalecenie pobożności, sprawiedliwości a przedewszystkiem odwagi, po których idzie zaraz pochwała wstrzemięźliwości w jedzeniu, zakończona przepisem oswajania dziecka z grubą niekiedy strawą.

Żadna zaś cnota, mniema matka następnie, nie zdoła zajaśnieć bez wymowy. O tę więc na-

leży rodzicom królewskim starać się usilnie dla swego dziecka, a to przez wynalezienie mu znamienitych nauczycieli, nad których niemasz nic pożądańszego i zacniejszego w tem życiu, jak tego dowodem przemnogie przykłady starożytnych mędrców i bohaterów.

Zaczem kreśli Elżbieta, na blizko dwudziestu stronach, aż do połowy dziełka, zajmujący obraz codziennego trybu życia i edukacyi przyszłego wnuka! Rano do wczesnego obiadu trwają nauki. Potem swobodna, nie natężająca pogadanka, albo, co bardzo użytecznem dla dzieci bywa, przysłuchiwanie się muzyce, spiewom. Po południu znowuż do książki, z której teraz nauczyciel czytać może uczniowi ustępy z poetów starożytnych, mianowicie z Wirgiliusza, tego Homera rzymskiego. Aby nie znużyć chłopięcia, ma wkrótce nastąpić chwila spoczynku, poświęcona rozrywce, ćwiczeniom ciała a zwłaszcza takim grom i zabawom, w których popłaca więcej zręczność niż siła albo przypadek. Poczem ostatnim do nauki nawrotem, weźmie chłopiec przed się studyum retoryki, ułatwione tłumaczeniami z języka ojczystego na łaciński, jakoteż wykładem celujących w tym zawodzie pisarzy klasycznych, jak np. Cycerona albo (według zdania Kalimachowego) Ksenofonta, autora Cyropedyi. — W dnie świąteczne niech królewicz pod należytym nadzorem idzie na łowy, rozumie się mniej niebezpieczne,

jak np. sarn, zajęcy, kóz dzikich i tp. Jeśli natenczas w drodze, w lesie, podczas spoczynku, zdarzy mu się spotkać się z ludźmi ubogimi, otrzymać zwyczajem krajowym jakiś podarek, zażądać przypadkowo pomocy, powinien okazywać wszystkim uprzejmość, rozmawiać z każdym łaskawie i wesoło, nie skąpić oznak przychylności. — Przy ucztach świątecznych, w których będzie miał udział królewicz, godzi się jaknajwiększą zachować skromność. Wystarczą cztery rodzaje potraw, jeden gatunek wina, i to, jeśli być może, acz obyczaj krajowy srodze temu sprzeciwia się, a nawet wielki upatruje w tem g r z e c h — wodą rozpuszczonego. Jako dowód złych skutków, wypływających z zaniedbania tych przepisów skromności biesiadniczej, przytoczone są różne przykłady, między innemi Macieja Korwina, króla węgierskiego, który w ogóle służy nieprzyjaźnej Elżbiecie za obraz przywar edukacyjnych. Nakoniec czytamy tu zalecenie starań około przyozdobienia powierzchowności, o zręcznie trefiony włos, co także w danych okolicznościach pomyślne dla dzieci królewskich sprawia wrażenie.

Druga połowa dziełka zapełniona jest morałami ogólniejszymi. Zalecają one wstręt od pochlebstwa i pochlebców, chronienie się ambicyi, „tej plagi królestw i królów." Natomiast niech wychowanek przyszły będzie dla wszystkich uprzejmym i przystępnym, niech miłuje stałość,

wierność i prawdę, a osobliwie niech dba o wstrzemięźliwość zmysłową, która z tylu względów uświetnia osobę królewską. Za umiarkowaniem w życiu codziennem nastąpi sama przez się równowaga moralna, umiejąca zawsze czyto w pomyślności czy w nieszczęściu, należytą zachować miarę. W tem też, w ludzkości, w szczodrobliwości, zwłaszcza względem uczonych, bez których pomocy nawet najzasłużeńszych monarchów pamięć zgasłaby w dziejach bez śladu, w ujmowaniu sobie serc ludzkich dobrocią i łaskawością, polega od dawna główna domu Jagiellońskiego zaleta, i w niejto powinien królewicz czeski celować.

Na ostatnich kartach podane są niektóre przepisy względem zewnętrznego udostojnienia osoby, przez przyswojenie sobie pewnej naturalnej majestatyczności, dalekiej od wszelkich gminnych objawów podziwu, śmiechu, zniecierpliwienia. Da ona nabyć się wczesnem przyzwyczajeniem królewicza do okazalszych uroczystości dworskich, do przemawiania wobec licznych słuchaczów, a nie wyklucza bynajmniej również potrzebnej biegłości fizycznej we wszystkich ćwiczeniach rycerskich, jakoto w szermowaniu orężem, robieniu kopią i lancą, używaniu strzelby i łuku.

Kończy się całe pismo zwięzłą rekapitulacyą wszystkich zawartych w niem rad i przestróg,

które mimo swoją zwyczajną ogólnikowość, mają przecież wiele cech szczegółowych, tylko swemu odrębnemu przeznaczeniu, swemu do potomka Jagiellonów skierowaniu, właściwych. I tak obok tłumu przykładów historycznych, udowadniających każdą radę podaną, branych pospolicie z klasycznej starożytności a temsamem nietyle zapewne z wspomnień Elżbiety, ile z erudycyi stylizatora listu pochodzących, napotykamy z radością bardzo wiele podobnych wzmianek, wziętych z obrębu rodziny i rodzinnego pożycia Jagiellonów. Nie dowiadujemy się z nich wprawdzie o żadnym nowym wypadku historycznym; ograniczają się one prawie wyłącznie na powtórzenie pewnego w ustach Jagiellońskich zwyczajnego morału, pewnego rysu charakteru członków rodziny królewskiej; lecz bliskość i autentyczność źródła tych podań nadawa im nadzwyczajnie wiele powabu i nowości. Można złożyć z nich następujące obrazki pojedyńczych Jagiellończyków.

Sam **król Kazimierz**, ojciec rodziny, którego królowa nigdy bez łez przypomnieć sobie nie może, okazuje się przedwszystkiem najpobożniejszym z monarchów tamtoczesnych. Wrodzona majestatyczność czyni go małomownym. Pomyślność o tyle tylko przejmuje go radością, o ile podaje mu sposobność składać za nią dziękczynne modły niebiosom. Żądza powiększania władzy i posiadłości jest w jego oczach zguba

ństw wszelkich. Umiarkowanie w używaniu uciech i przyjemności codziennych robi go wielkim przyjacielem zwyczaju biesiad włoskich, przy których trzy lub najwięcej cztery rodzaje potraw stoją na stole, a wino bywa mieszane z wodą. Za to hojność królewska posuwa się w nim tak daleko, że ledwie nową przywdzieje szatę, zaraz nią któregoś z dworzan obdarza. Za największe zaś szczęście poczytuje sobie król Kazimierz obecność ludzi uczonych, mianowicie Filipa Kallimacha, dla którego cała rodzina królewska nie może dość pochwalnych znaleść wyrazów. — Po królu świeci w wspomnieniach królowej najjaśniej pamięć ulubionego syna Olbrachta. „Jakże niewysłowioną radością rozpływało się serce moje, o Boże!“ — woła matka wzruszona — „gdym w Olbrachcie moim widziała wszystko zebrane, co tylko potrzebne jest majestatowi królewskiemu! Zda się, jakoby sama natura stworzyła go do korony! Bo i powaga i ludzkość i hojność, nawet względem takich, którzy się jej nie spodziewali, walczyły w nim o pierwszeństwo, wzbudzając powszechną dlań cześć i miłość. A jak szczodrobliwym i łaskawym okazywał się Olbracht dla Kallimacha, swego dawnego mistrza a późniejszego doradcy! Nie lubiąc jednakże szumnemi popisywać się słowy, powtarzał on zwyczajnie, iż dlatego natura dała ludziom dwoje uszu a jedne usta, aby

więcej słuchali niż mówili. — Również ludzkim i szczodrym jest Aleksander, panujący właśnie po zmarłym bracie Olbrachcie, gdy matka Elżbieta układała swe przepisy edukacyjne. Ile razy wypadnie mu być w podróży lub na łowach, nie minie kmiotka żadnego, aby z nim nie pomówił, a nawet nie wzdryga się napić z czarki ubogiej, i owszem wychyli ją aż do dna. Pewnemu zaś młodzieńcowi, który 24 wiersze na jego pochwałę złożył, uradowany Aleksander darował tyleż sztuk złota i jeszcze konia w dodatku. — Młodo zgasły Kazimierz, którego świętobliwość już za życia matki wróżyła mu przyjęcie w poczet świętych, nie miewał tyle środków do folgowania hojności, co starsi bracia. Wszakże i to, czem rozrządzał, pozwalało mu zjednać sobie chwałę rzadkiej dobroczynności. Jakkolwiek przecież miłował ludzi, najwyższym po Bogu przedmiotem czci i względów była u niego prawda. Zły książę wydawał mu się podobnym do przetaka, z którego wszystko wycieka.—Podobnież i najmłodszy z braci, późniejszy kardynał Frydryk, miał wysokie wyobrażenie o powołaniu książęcem. Uczoność cenił on jako jedną z podrzędnych zalet królewskich. Ludzkość, dobroć, uchodziła w jego oczach za wyższą na wszelki wypadek cnotę. — Zygmunt mało jeszcze wówczas był znanym. Z daleka, pisze matka, wygląda on surowo, na-

wet ponuro. Wszyscy atoli, którzy z blizka otaczają go, nie mogą nachwalić się jego uprzejmości, dobroci, przystępności i wielce stąd rozmiłowani są w nim. — Zdanie macierzyńskie sprawdziło się później miłością całego narodu, długich wieków.

Oprócz wzmianek o członkach rodziny królewskiej obfituje rękopism królowej w charakterystyczne rysy innych osób spółczesnych, jak, np. króla węgierskiego Macieja, Kallimacha, wielu w Czechach i w Polsce bawiących legatów rzymskich, niektórych dostojników dworu syna, Władysława czeskiego i tp. Jeśli te ostatnie przykłady mogły równie snadno wypłynąć z pióra królowej jakoteż jej kanclerza; jeśli przeplatające całą rozprawę reminiscencye klasyczne przyznamy całkowicie temuż stylizatorowi urzędowemu: tedy przynajmniej w przywiedzionych tu wzmiankach rodzinnych, mianowicie w owem wezbraniu uczucia przy wspomnieniu ulubionego Olbrachta, w owem wylaniu się dumy macierzyńskiej, jakie zaczyna rękopism, niepodobna zdaniem naszem zapoznać bezpośredniego udziału matki. Zresztą należy jeszcze wymienić jeden szczegół, popierający przypuszczenie autorstwa Elżbiety. Zalecając wnukowi swojemu przedewszystkiem l u d z k o ś ć, odzywa się królowa do syna Władysława: „Jakoż, mam-li otwarcie z tobą mówić, więcej dotąd sławy odniósł ród nasz z ludzkości niż z czynów znamienitych“[60]).

Tak skromnego wyznania nie mógł, sądzimy, dopuścić się kto inny, jak tylko samaż matka rodziny, najmniej zaś pisarz urzędowy, dworski, pochlebca, jakim bez rzeczywistego wpływu Elżbiety, musielibyśmy uznać podrabiacza rozprawy.

Mamy wreszcie w samem pismie skazówki tej pomocy, która ułatwiła pracę królowej. Są niemi ślady blizkiego podobieństwa, zachodzącego między rozprawą Elżbiety a owem edukacyjnem pismem Eneasza Sylwiusza ułożonem dla jej brata i spółwychowanka, służącem jej następnie za wzór do własnej pracy. Uderzają te znamiona powinowactwa osobliwie w zaleceniu mamki w y m o w n e j, pożywienia grubego, znamienitych nauczycieli, przykładania się do poezyi klasycznej, w szczególności zaś do tworów Wirgilego. Tak niepowszednie na ową epokę rady bywają niekiedy prawie temiż samemi dawane słowy. I tak np. przy zachwalaniu dobrych nauczycieli używa jedna i druga rozprawa tegoż samego przykładu Tymoteja, starogreckiego nauczyciela muzyki, który od uczniów mających już pierwsze początki wymagał dwójnasób większej nadgrody niż od innych, ponieważ musiał o d u c z a ć ich naprzód tego, co im źli nauczyciele wpoili.

Jak samo dziełko stawia oczywisty dowód staranności królowej około wzorowego wychowania rodziny, tak też w s z y s t k i e okoliczności zgadzają się na przyznanie jej daleko istotniej-

szego w niem uczestnictwa, niżby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło. Nasza matka królów, córka i wnuka cesarzów, pozostanie na wszelki wypadek główną wychowania Jagiellonów mistrzynią.

Pamiętano też przez długie wieki to wychowanie. W sto lat po przyjściu Elżbiety do Polski, w mowie na cześć Zygmunta starego, wychwala je szerokiemi słowy głośny w narodzie Orzechowski[61]). W blizko dwieście lat przypomina je z uwielbieniem żywociarz Władysława IV. Wazy, Kobierzycki[62]). W roku, w którym to piszem, upływa właśnie czwarty od zaślubienia Elżbiety wiek.

Zdarzone tymi czasy wydobycie jej nieznanej księgi edukacyjnej powinno w tem jaśniejszem świetle przedstawić jej piękną rolę w historyi.

Przypiski.

1) Porównaj spółczesnego Dubravii *Hist. Boh. Han.* 1602. str. 265. „*Caetera in illo jure optimo laudaveris.*"

2) Piękny artykuł Alexandra hr. Przeździeckiego w Bibliotece Warszawskiej, 1852, I. 524.

3) Dubravii *Hist. Boh.* p. 265.

4) Klose *Von Breslau Doc. Gesch.* V. 757.

5) Porówn. datę urodzin w Jodoc. Dec. *De Jagiell. fam.* (Pistorii *Corpus* II 289 1 marca 1456.) z datą śmierci w Dubrav. *Hist.* p. 265 — 15 marca 1515.

6) „*Tamen de filiabus non curatur*" — *Senatorium Martini Abb.* w Pez. *Script. rer. austr.* II. 659.

7) Dług. *Hist.* XIII. 570.

8) Gołębiowski Dzieje polskie pod panow. Jagiell. III.263.

9) *Oratio in fun. Sigism.* przy Kronice, w wyd. Koloń. 1589. str. 462.

10) Udzielona przez Al. Przeździeckiego (Bibl. Warsz. 1852 I. 528) wiadomość o urodzeniu się Elżbiety około r. 1436 potwierdza spółczesny kronikarz austryacki Ebendorfer de Haselbach, zażyły na dworze króla Albrechta, a donoszący nam (Pez. *Script. rer-*

austr. II. 1853) że Elżbieta około szesnastego roku zaręczoną została swemu polskiemu małżonkowi. który ostatecznie w r. 1452 zgłosił się o jej rękę.

11) Aen. Sylv. *Hist. Imp. Frid. III.* w Kollara *Anal. med. aevi* II. 207.

12/1 Tamże.

12/2 Przeździecki. Bibl. Warsz. 1852. I. 530. Część Pamiętników Heleny wyszła z druku w Lipsku r. 1846.

13) Aen. Sylv. *Opera omnia.* Basileae 1554. p. 964. *Tractatus de liberorum educatione. Ad Ladislaum Ungariae et Bohemiae regem.*

14) *„Quae jam quintum decimum agens annum perstitit innupta."* — Ebendorfer w Peza *Script. rer. austr.* II. 1853.

15) Ob. intercyzę z r. 1440 w Herrgott *Monum. dom. Austr.* III. p. I. str. 82.

16) 1436. Długosz *Hist.* XII. 693. 700.

17) Długosz *Hist.* XII. 708.

18) Tamże XII. 711. 712. Kurz *Oesterreich unter K. Albrecht* II. Tom II. 300 — gdzie dokument plenipotencyi, dany posłom polskim w Krakowie *feria 3 ante ascensionem Domini 1439.*

19) Wapowski Dzieje kor. Pol. Tłum. Malinowski. II. 410. — Długosz *Hist.* XII. 771.

20) Długosz *Hist.* XIII. 101.

21) Miechovita u Pistor. II. 224.

22) Porównaj Długosz Hist. XI. 661. Gołębiowski Dzieje Jagiellończyków II. 381. — Miechovita o samym królu Kazimierzu — w Pistor. Corp. II. 223.

23) Długosz *Hist.* XIII. 516.

24) Wiszniewski Hist. literat IV. 450.

25) Ustawa z r. 1496. *Vol. Leg.* I. 259. 260. *Statuimus quod tantummodo unus filius de villa*

a patre recedere possit ad studia literarum aut artificiorum.

[26]) Pez *Scriptor. rer. austr.* II. 629.

[27]) Herrgott *Monumen. dom. Austr.* III. LXXXIII., według Lequileusa.

[28]) Tamże.

[29]) Miechov. *Chron.* w Pistor. Corp. II. 257.

[30]) Tamże.

[31]) Dwie córki umarły w latach dziecięcych. O kolei, w jakiej przychodziły na świat dzieci królewskie ob. Jodok Decius *De Jagiell. fam.* W. Pistor. Corp. II. 300.

[32]) Miechovita.

[33]) Długosz *Hist.* XIII. 411. Królewicze Kaźmierz i Olbracht urodzili się w l. 1458 i 1460. a już w r. 1467 obejmuje Długosz nadzór nad nimi.

[34]) Miechovita str. 246.

[35]) Długosz *Hist.* XIII. 411.

[36]) Tamże XIII. 437.

[37]) Kobierzycki *Histor. Vladisl.* p. 23.

[38]) *Viaggio del Mngr. M.* Ambrosio Contarini w *Secondo Vol. delle Navig.* et. *Viaggi.* Venetia 1574. str. 113.

[39]) *Vita Dlugossi*—przy lipsk. wyd. Hist. Długoszowej.

[40]) Ambr. Contarini — str. 113.

[41]) Orzechowski *Orat. in funere Sigism.* Pistor. III. 37.

[42]) Kobierzycki *Hist. Vladisl.* p. 23.

[43]) Nadmienia o tym rękopiśmie August. Bielowski w wydanych świeżo Fragmentach Troga str. XI.

[44]) Długosz *Hist.* XIII. 437.

[45]) *Secondo vol. delle Navig. et Viaggi, raccolte da* Giov. Batt. Ramusio. Venetia 1574 str. 113.

[46]) Tamże *fol. 124. p. vers.*

[47]) Długosz pod latami 1469 i 1471.

[48]) Gołębiowski Panowanie Jagiellonów III. 433.

[49]) Długosz *Hist.* VIII. 509.

[50]) Porówn. *Ferreriusza* Vita B. Casimiri Thorun. 1521, str. Aiiy. Szyzmatyków *eo sancto insectaret odio...*

[51]) Kron. wyd. Gałęz. VI. 19.

[52]) *Monum. pro Reipubl. Ordinatione* w Pamiętn. Warsz. r. 1818. T. XII.

[53]) Wiszniewski Hist. Liter. IV. 450.

[54]) Bielski wyd. Gałęz. V. 224.

[55]) Bielski VI 82.

[56]) Aleksander Przezdziecki. Bibl. Warsz. 1852. I. 541.

[57]) Miechowita Pistor. II. 257.

[58]) Obacz cytaty 8 i 9.

[59]) Gołębiowski. Panowanie Jagiell. III. 453.

[60]) Kopia Zakł. Oss. str. 75. *„Et ut verum coram te loquar: hactenus plus laudis ex humanitate quam rebus excellenter gestis nostra domus est adepta.“*

[61]) Pistor *Corpus. Hist. Pol.* III. 36. 37.

[62]) *Vita Vladisl.* p. 23.

BRODY KRZYŻACKIE.

Jesteśmy w roku pańskim tysiącznym pięćsetnym i dwunastym, na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło, gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny jeszcze ruch w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom boży ku jutrzejszej koronacyi pierwszej małżonki króla Zygmunta Starego, cnotliwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami, drudzy wynoszą ze skarbcu złote i srebrne naczynia kościelne, i według zwyczaju zdobią niemi ołtarze, inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze ozdobę tego świętego miejsca, zawieszone u grobowca św. Stanisława *vota* pobożne, chorągwie nieprzyjacielskie w zwycięskich bitwach zdobyte i mnogie inne przeróżnego kształtu pomniki bogobojnej wdzięczności dawnych pokoleń.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna w bogatym węgierskim stroju, druga w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się bezczynnie, przynajmniej bezczynnie ciałem, śród tego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną i koronacyjną uroczystość książąt sąsiednich, Naderspana — wojewody wę-

gierskiego i Fryderyka, margrabi na Brandenburgu. Pragnąc jak najspieszniej obaczyć słynne wówczas na całą północ miejsce cudowne, zwrócili obaj pierwsze swe kroki po przybyciu do miasta ku świątyni, i weszli niepostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich z pod Grunwaldu ocieniało trumnę świętego patrona Polski, malowała się ciekawość przeświadczenia się naocznie o mnogich groźnych dziwach, jakie w Niemczech słyszał o tym grobowcu. Podczas gdy Węgier pobożnie u wnijścia klęczał, Krzyżak nie umaczał ręki w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet u wstępu, lecz z nader światową skwapliwością zdążał naprzód, szukając oczyma pomnika męczeńskiego. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeżli już sposób jego zbliżania się do tego miejsca szłuszne wzbudzać mógł podziwienie, jeszcze dziwniejszym był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. Byłto wzrok wyraźnego oburzenia i przestrachu. Zmarszczył brwi, owinął się cieśniej w swój biały płaszcz o znanym czarnym krzyżu i chwycił się machinalnie za długą rudą brodę — ową brodę, która tak istotną cechę Krzyżaka stanowiła, że ich wszystkich zwano u nas poypolicie tylko „brodaczami o czarnym krzyżu — *barbati nigra cruce signati.*“ Mniemałby może kto, iż ten wzrok gniewny wyrażał patryotyczną zniewagę na widok wiszących tu

proporców grundwaldskich i tannenberskich. Bynajmniej. W tych czasach żaden Krzyżak nie czuł już upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń — celem, który w istocie za lat kilka zrzuceniem płaszcza zakonnego szczęśliwie miał osiągnąć — był kufel z piwem, były kostki szulerskie, żona dorodna i wszelkie podobne rozkosze spokojnego żywota. Wszakże i przy tych rozkoszach, i właśnie przy nich bardziej niż w jakiemkolwiek innem położeniu, — chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, o całość swojej „skóry“, o swoją — brodę. A tu przed nim, przed jego żywemi oczyma, wisiały obok krzyżackich choręgwi pooddzierane Krzyżakom pod Grunwaldem, pooddzierane Wielkiemu mistrzowi i pobitym komturom, pooddzierane ze skórą czarne, rude i jasnowłose brody. Co dotąd za granicą tylko z niepewnej tradycyi gminnej, tylko z kronikarskiej znał wieści, to ujrzał teraz przed sobą w niewątpliwej, w namacalnej rzeczywistości. I ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brodę ze skórą oddziera i w kościele jako pobożne zawiesza *votum*. Miłe odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnej, aby.... Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku. Zimnym dreszczem drżący, wyszedł obok klęczącego

a drzwi Węgra z kościoła, i dopiero na dworze, pod bożem niebem wolniej odetchnął.

Jak nasz Krzyżak w tej chwili, tak wielu Krzyżaków przed nim, tak wielu gościną w Krakowie bawiących Niemców, zwłaszcza Prusaków, opuszczało co roku z oburzeniem katedrę na Wawelu. Domowe podanie o brodach w Krakowie ciągnęło ich za przybyciem tamże ciekawie do kościoła, a doznany w kościele widok, opisywany z przestrachem rodzinie i przyjaciołom w domu, dodawał coraz więcej wiarogodności podaniu. Niebawem stało się ono świętym artykułem wiary „ludowej“. A zakorzeniwszy się w ludzie, w życiu przeszło ono także w literaturę, w kroniki. Jaki tylko kronikarz pruski opisywał odtąd bitwę grunwaldzką, każdy miał się święcie do obowiązku przytoczenia szczegółu, iż zabitym, mistrzowi i komturom, brody ze skórą odcięto i w Krakowie na zamku w ofierze zawieszono. Znajdziesz tę wiadomość we wszystkich głównych pisarzach z końca piętnastego i pierwszej połowy szesnastego stulecia, w szczególności: w Szymona Grunaua Kronice pruskiej, *Tract.* XIV. C. XII. §. 3. (Voigt Histor. Prus. VII.), w Kaspra Schütza Historyi pruskiej, str. 102, w Kaspra Hennebergera Opisaniu Prus, str. 300.

Nie dość na tem. Jużto swoją ustną, jużto pisemną drogą, rozeszło się straszne podanie niemieckie poza granice swojej ojczyzny, po stro-

nach okolicznych. I tak np. doszło ono aż na Ruś, do uszu albo oczu autora wydanej niedawno przez szanownego Teodora Narbutta kroniki ruskiej z 15-go lub 16-go wieku, zwanej powszechnie: „Kroniką litewską Bychowca.“ Jakby od naszego przerażonego Krzyżaka oświecony, lub jakby wiadomość swoją dosłownie z przytoczonych powyżej kronikarzów pruskich przepisał, opowiada ten latopisiec litewski (wydanie z r. 1846 str. rękop. 77—78):

„*Połowicu choruhwej nemeckich i borody Mistrowu i wsich kuntorów jeho zmertwych obodrawszy, połowicu wziali do Polski i połowicu do Litwy, hde toje borody i choruhwi w zamku krakowskom w cerkwi św. Stanisława, a w Wilni także u św. Stanisława zawieszony sut.*“

Wreszcie, rozpleniwszy się tym sposobem po przestrzeni świata, rozprzestrzeniła się wieść nasza również w przestrzeni czasu. Wiek 16-ty podał ją 19-mu; Grunau, Schütz, Hennenberger — Kotzebuemu. I ten w swojej „Dawniejszej historyi Prus“ tom III. str. 372. nie pominął krwawej pamiątki w kościele katedralnym krakowskim, nie omieszkał wzdrygnąć się nad okrucieństwem Polaków. Jeszcze tylko potrzeba było, aby podanie pruskie, podbiwszy sobie tyle zdań, tyle ziem, tyle wieków, zhołdowało ostatecznie wiarę samych Polaków. I owo zdarzyło się przed kilkunastą laty, iż zacny Teodor Narbutt, autor 9-tomowej historyi Litewskiej, jedynego w swo-

ım rodzaju a w naszych stronach, ze wstydem wyznać przychodzi, prawie wcale nieznanego dzieła, pracował właśnie nad tomem szóstym, a w nim nad historyą bitwy grundwaldzkiej. Opisując śmierć wielkiego mistrza Ulryka, nie wiedział zrazu, czy ma przyjąć wiadomość o jego i komturów brodach odciętych: gdy wtem przypomniał sobie zdarzenie swojej własnej młodości, które rozstrzygnęło jego niepewność. Dla zabawnej treści tego młodocianego wspomnienia przytaczamy je tu własnemi słowy autora, jak ono w jego „Historyi Litwy,“ w 6. tomie, 6. dodatku, na str. 45—47 jest umieszczone.

„Pamiętam“ — mówi czcigodny dziejopis Litwy — „gdym jeszcze chodził do szkół w Wilnie, jak opowiadał przed ojcem moim ksiądz Korzeniewski, proboszcz kościoła św. Jana, i zawiadowca przy fabryce kościoła katedralnego, mój krewny po matce: Po przeniesieniu nabożeństwa, mówił on, z tego kościoła do św. Jana, skarbiec kościelny, ulokowany w jednym ze składów kapitulnych, pod ostatnie czasy zamieszań krajowych i po zgonie księdza biskupa Massalskiego, przyszedł w wielki nieporządek. W końcu, gdy wejście do miasta wojska rossyjskiego zagrażać poczęło, rozmaici urzędnicy kapitulni, obawiając się o reszty bogactw kościelnych roztratę, pobrali do przechowania paki i kufry, będące

w skarbcu. Jeden z niższych tych urzędników, rozumiejąc, że to jest skryty podział, prawem własności, gdyż w nocy poprzewożono te rzeczy dla ukrycia przed okiem niepotrzebnych ciekawców, starał się coś na swoją część dostać. Trafił do składu pod ciemny wieczór i tam znalazłszy jeszcze ogromną szkatułę, okutą sowitemi sztabami żelaza, kazał ją wydźwignąć z miejsca i zanieść nie bez trudności najętym drągalom do swojego mieszkania. Skarb ten zapomniany zapewne od bardzo dawnego czasu nabawiał ciekawością swego lokatora. Zwierzył się swej troski jednemu przełożonemu zakonnikowi i uradzili oba, że w tej szkatule musi być coś nadzwyczajnego. Ona śni się we śnie, zjawia się w myśli czuwającego nieustannie i zajmuje do tego stopnia wyobraźnię, że zdaje się wszędzie za nim biegać, latać, przesuwać się.

„Ależ pamiętaj, księże“—mawiał przełożony—„iż dawniej Twardowski mieszkał w Wilnie i wiele po nim rzeczy tu pozostało. Być mogło, że i ta skrzynia do tej kollekcyi przeklętej należała. Przy miejscu świętem stała sobie spokojnie, dziś kto wie, co z niej wykłuć się może. Lepiej gdzie przy kościele postawić, lub odesłać *ad locum priscum.*“

Ksiądz na drugie przystał. Lecz miejsce skarbcu już było zajęte na skład gipsów, marmurów połomanych i różnych podobnych rzeczy. Zdarzył się wkrótce i trzeci powierzeniec. Ten

wysłuchawszy opowiadań o dziwnej szkatule zrobił wniosek, że przełożony przesadzone rzeczy wymyślił, zapewne, aby się w jego ręce dostał ten skarb zaklęty. Wnet więc doradził odbić i obaczyć, co jest w środku.

„Nie, nigdy na to nie zezwolę“ — rzekł ksiądz. „Mogliby do mnie urościć pretensyą. Przełożony, jak widzę, paplacz wielki. Dowiedziawszy się o tem, wprowadziłby mię w kłopoty.“

„On paplacz?“ — zapytał powierzeniec. — „Alboż to WPan dziś o tem się dowiedziałeś? Wiedzże, że ja od szóstej czy od siódmej osoby już wiem od tygodnia o wszystkiem i tylko szukałem zręczności wybadania u WPana bliżej o tem.“

Przyszło więc do tego, że ksiądz udał się do biskupa Wołczackiego, zarządzającego dyecezyą podówczas, wyznał rzecz całą i prosił o przyjęcie szkatuły. Biskup długo wypytywał, śmiał się z księdza, w końcu zebrawszy kilku z oświeceńszych duchownych kapituły, kazał przywieźć szkatułę i w oczach swoich odbić.

Jakież było zdziwienie nasze, mówił ksiądz Korzeniewski, obecny przy tem, kiedyśmy oprócz niezmiernej ilości pyłu, przykrywającego zawinięcie, nic więcej nie znaleźli. W rzeczy samej to zawinięcie zdawało się magicznem — lekkie, obwiązane porwanemi sznurami kolorowego jedwabiu rozmaitej grubości; najcieńszy był jak palec, inne splecione po szmuklersku. Po rozwi-

nięciu postrzegliśmy, że to były szczątki chorągwi i chorągiewek. Inne miały ślad frędzlów złotych, srebrnych i kutasów, na innych były naszyte jakieś znaki, niewyrozumiałe dla dawności i zepsucia. Ten zaś cały pęk gałganów obejmował w sobie rzecz dziwną. Był to sznur pleciony z jedwabiu czerwonego, długi więcej sążnia, do którego wplecione były na długości około półpięta łokcia, b r o d y l u d z k i e rozmaitej długości i barwy, prosto jakby ze skóry odarte, siwe, czarne, ryże itd. Nikt nie umiał objaśnić, coby ten feston z bród znaczył. Jedni wnosili, że to jakiś zabytek z czasów poganizmu; drudzy, że żydom kiedyś za jakieś świętokradztwo odarto po pół brody ze skórą żywym i te na pamiątkę zachowane być musiały przy kościele razem z trofeami zwycięstw, których szczątkiem były owe chorągwie.

„Rzecz poszłaby w zapomnienie wieczne" — kończy szanowny Narbutt — „gdybym nie znalazł w kronice rękopisnej litewskiej Bychowca str. 77—78 wyraźnego śladu o brodach krzyżackich podczas bitwy pod Grunwaldem z poległych przełożonych zdartych. B y ł y w i ę c t e b r o d y w kościele katedralnym wileńskim zawieszone razem z chorągwi połową. Lecz tak już dawno zdjęto pamiątki te, że nikt o nich nie pamiętał. Nawet podanie poszło w zapomnienie. Stało się to zdjęcie zapewne podczas przerabiania kościoła po pożarze, w r. 1610 przy-

darzonym. Przeto mogły leżeć w skrzyni okutej sto ośmdziesiąt i kilka lat. Gdzieby się podziały, nie wiem, gdyż i ksiądz Korzeniowski już nie żyje. Może w składach kapitulnych czy katedralnych znalazłby się ślad jaki jeszcze.“

Mamyż teraz nielitościwie rozwiać cały urok tego młodocianego wspomnienia, które zacny historyk Litwy w tak szczęśliwą godzinę „zapomnieniu wiecznemu“ wydarł? Mamyż świętokradzką ręką targnąć się na utwierdzoną już wszelkimi warunkami nieomylność tego gminnego podania, uszlachconego wykazaną powyżej genealogią tylu stopni, uświęconego wiarą tylu pokoleń, już nawet za udowodniony fakt w historyę ojczystą przyjętego?

Nie. Jesteśmy nieśmiali. Wolimy wtomiast dokończyć naszą przerwaną powieść o przestraszonym Krzyżaku.

Wybiegłszy z kościoła, zapragnął on koniecznie żywej duszy, przy której mógłby utulić swą niespokojność, ogrzać dreszcz przelęknienia. Zlitowanie niebios sprowadziło go wkrótce z rodakiem i znajomym. Był to Jodok Ludwik Decyusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych niegdyś w Polsce dzudzoziemców, którzy doznane w nowej ojczyźnie łaski szczerą miłością ku narodowi, a znaleziony tu chleb nierzadko przyniesionem z sobą światłem odwdzię-

czali. Decyusz, jak wiadomo, prócz kilku pism pomniejszych, zostawił rys pierwszej połowy rządów Zygmunta, szacowny zabytek do historyi panowania Jagiellończyków. Duszą i ciałem rozmiłowany w swoich przybranych spółziomkach, miał on zawsze słowo pochwały dla nich, słowo przygany i skarcenia zasłyszanych przypadkiem cudzoziemczych oszczerstw na ustach. Znał go nasz Krzyżak z tego względu i przeto nie śmiał wystąpić do razu z wybuchem swego gniewu. Owszem, gdy się po pierwszem przywitaniu ciągła zawiązała rozmowa, począł z krzyżacka, obłudnie, chwalić obyczaje narodu, bogactwo panów i mieszczan, gościnność wszystkich.

„Tylko jedno“ — dodał spoglądając z ukosa na towarzysza — „obraża tu oko przybylca i szkodzi samym Polakom. Szkodzi, bo rozjątrza umysły cudzoziemców, skąd dla Polski wielkie z czasem niebezpieczeństwo wyniknąć może.“

„Nie rozumiem“ — przejął Decyusz. — „O czem to mówisz?“

„A o brodach naszych w kościele·“

„O jakich brodach?“

„Toć o brodach Wielkiego Mistrza i komturów grunwaldzkich, co wiszą u grobowca św. Stanisława.“

Decyusz począł śmiać się z całego gardła. Krzyżak spojrzał nań jadowitem spojrzeniem i rzekł po chwili: „Nie myślę, abyś szydził z krwi twoich ziomków...“

Decyusz wciąż jeszcze śmiał się.

Krzyżak zdawał się być nieco zmieszanym tą wesołością i dodał: „Może zechcesz wmówić we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem pewnym tego przed półgodziną. Lecz teraz naocznie się przekonałem. Cóż to innego być może, jeźli nie brody.?“

„Co?“ powtórzył Decyusz, ocierając sobie oczy, zaszłe łzami od śmiechu. „Co? To buńczuki tatarskie. Buńczuki tatarskie i zwyczajne u tatarskich hanów i murzów ozdoby rzędów końskich, złożone z włosieni końskich a przyczepiane rumakom książąt tatarskich wzdłuż szyi od uzdy aż do siodła. Co Polacy po każdem zwycięstwie nad pogaństwem wraz z zdobytymi buńczukami Bogu i św. Stanisławowi, patronowi królestwa, w Krakowie i w Wilnie w ofierze składać zwykli.“

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na przyjaciela. Ten wstrzymując się od nowego przystępu śmiechu, ciągnął dalej: „Mogę cię o tem zapewnić. Toć w moich własnych oczach niejeden taki buńczuk, niejedną taką różnowłosą taśmę u św. Stanisława zawieszono. Niema jeszcze lat sześciu, jak ich co niemiara pod Kleckiem na Tatarzynie zdobyto. A i teraz, jeźli (da Bóg) sprawdzą się świeżo nadeszłe wieści o walnem nad Tatarami zwycięstwie pod Wiśniowcem, przybędzie tryumfalnych ozdób świątyniom. Więc nie frasuj, miły bracie, i płochem, ba, śmiesznem podejrzeniem

nie krzywdź uczciwego narodu.... Ale widzisz ówdzie tego dziewięćdziesięcio-letniego staruszka? To pan Betman, żupnik krakowski, także niemieckiego rodu. Pójdź, on ci prawdę słów mych potwierdzi.“ —

Opisane tu spotkanie się dworzanina margrabskiego z Decyuszem, jego pomyłkę na widok buńczuków i rzędów tatarskich w kościele, wreszcie szczęśliwe wyjaśnienie mu całej rzeczy, opowiada sam Decyusz w swojem piśmie: „*De Jagiellonum familia*“, w Pistoryusza Zbiorze dzieł do historyi polskiej służących, w tomie II., na str. 288.*)

*) Oto początek i koniec własnych słów Decyusza: „*Ridebam ego facetam in proximis Sigismundi regis nuptiis mihi injectam a Marchiano milite quaestionem.... quod in templis vidisset Marianorum olim caesorum militum crines atque barbas certis hastis ad Divi Stanislai tumulum affixas apparere. Verum ego quod* Tartarorum signa essent et caudae, quae Turcorum Tartarorumque imperatorum atque ducum equorum collis affiguntur ex partis victoriis.... *docui et animo a me pacato dimisi.*“

KAROL SZAJNOCHA.

SZKICE HISTORYCZNE.

III.

Jan Sobieski banitą i pielgrzymem.
Wnuka króla Jana III.

W Złoczowie.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

Jan Sobieski banitą i pielgrzymem.

Ledwie nie każda z znamienitszych postaci historyi naszej ma jeszcze wiele nieznanych rysów. Za lada potrąceniem starych aktów, listów, zapisków, nastręczają się nowe o niej szczegóły. Miło nam z takich nieznanych dotąd materyałów przydać dwa ciekawe rysy do dziejów króla Jana, przedstawiające go w nieznanym dotąd charakterze banity i pielgrzyma.

Wiadomość o królu Janie III, jako banicie znajdzie niestety mniej trudną wiarę niżby właściwie należało. Przyzwyczailiśmy się bowiem mieć nader niepochlebne wyobrażenie o jego charakterze i postępkach w młodości. I nie dziś dopiero urosło to mniemanie, lecz panowało już powszechnie za jego życia. Ledwie nie wszystka szlachta współczesna jak z jednej strony widziała w nim jedynego obrońcę od nieprzyjaciół i zbawcę kraju, tak z drugiej żywiła ku niemu głęboką

od dawna niechęć. Było w tem daleko więcej uprzedzeń niż słuszności, lubo uprzedzeń z bardzo ważnych powodów.

Początki publicznej służby młodego starosty jaworowskiego przypadły w porę najnieszczęśliwszą. Okropne klęski wojen kozacko-tatarskich za Chmielnickiego rozkołatały do gruntu cały gmach społeczeński. Sromota ucieczki pilawieckiej otarła wstyd z promiennego niegdyś oblicza szlachty. Niespodziewany pogrom batowski nauczył drżeć na lada wieść o chłopstwie i Tatarach. Uświęcona przez Sicińskiego wolność pogrążania Rzeczypospolitej za lada zachceniem w otchłań nierządu rozzuchwalała do wszelkich bezpraw i gwałtów. Powszechne wiarołomstwo w początkach wojny szwedzkiej oswoiło z najsroższemi zbrodniami publicznemi. Spadły te wszystkie plagi na Polskę w niespełna ośmiu latach, między rokiem 1648 a 1655. Miał Jan Sobieski u wstępu tej strasznej pory lat niespełna 18, u jej końca mało co więcej nad lata pełnoletności.

Wyobraźmyż sobie młodzieńca gorącej duszy, rzuconego na falę burzy ówczesnej. Do tego był to młodzian bez ojca, bez przewodnika, bez znanej nam poważniejszej opieki męskiej. Ojciec już przed kilku umarł latami, a znakomita wysokim umysłem matka lgnęła więcej ku starszemu z synów, Markowi, powszechnie wyżej cenionemu od Jana. Upośledzony od matki, stracił brat nieba-

wem i tegoż brata starszego, jedyną zapewne moralną podporę swoją. Sam jeden, namiętny, powszechnym porwany wirem, jakże daleko mógł młody wartogłów dać się unieść prądowi!

Jan Sobieski uniósł się mniej daleko niż się można było obawiać, ale nie uniknął śladów powszechnego zepsucia. Skażona nimi młodość tem niepochlebniejszą ustaliła o nim opinię, im większe uszanowanie otaczało pamięć zmarłego ojca i brata. Przybyła niebawem jeszcze ważniejsza pobudka do publicznej niechęci. W ostatniem niebezpieczeństwie ojczyzny po opanowaniu kraju przez Szwedów poruszona została kwestya następstwa po Janie Kazimierzu. Dla uzyskania pomocy albo pokoju w Wiedniu, Siedmiogrodzie i Moskwie, okazano tym wszystkim dworom nadzieję zapewnienia sobie tronu polskiego jeszcze za życia Jana Kazimierza. Rozpoczęły się w tym celu żywe zabiegi dyplomatyczne, które w istocie posłużyły do rozerwania zawieszonej nad Polską burzy. Gdy jednak niebezpieczeństwo minęło, zamierzył dwór warszawski położyć koniec dalszym nadziejom i intrygom tego rodzaju, a to przez podniesienie projektu całkiem nowej elekcyi. Wszyscy senatorowie nietylko zgodzili się na wybór jednego z książąt francuskich, ale jak najgorliwiej dopomagali królewstwu w tym zamyśle. Popierał go mianowicie w. marszałek kor. Lubomirski, w niedawnej wojnie szwedzkiej nie-

skończenie zasłużony ojczyźnie, i królowi, a teraz walny promotor następcy francuskiego. Są nawet wszelkie poszlaki, iż sam Lubomirski poddał królowej pierwszą myśl takiej elekcyi.

Ale zamysły magnatów jak Lubomirski dziwnie subtelnemi poruszały się sprężynkami. Lada zadraśnięcie miłości własnej nadawało inny obrót ambicyi, czyniło adwersarzem stronnika. I pan marszałek w. kor. z nader maluczkich przyczyn stał się przeciwnikiem własnego elekcyi francuskiej planu. A ponieważ i dwór wiedeński przez swego posła w Warszawie pracował gorąco nad usunięciem Francuza od następstwa, więc zawiązało się blizkie porozumienie między marszałkiem w. kor. a gabinetem wiedeńskim.

Ajenci cesarscy i marszałkowscy rzucili się do podburzania szlachty przeciw projektowi elekcyi, przedstawiając ją zamachem na swobody szlacheckie, niecąc wszędzie gwałtowny entuzyazm dla tych swobód. Wybuchła w całym kraju niezmierna agitacya umysłów, na pozór republikancko-narodowa, w istocie marszałkowsko-cesarska. Marszałek w. kor. poczytany został głównym obrońcą swobód, i wraz z całą szlachtą coraz głębiej w austryacką brnął matnię. Austryaccy rozesłańcy układali dla szlachty łacińskie śpiewki na cześć złotej wolności, a szlachta na teatrze w Warszawie strzelała z łuków do aktorów fran-

cuskich, którzy śmieli przedstawiać zwycięstwo Francuzów nad cesarzem.

Można więc pojąć, w jaką niechęć publiczną popadli wszyscy stronnicy dworu i jego planów. Między tymi był także młody Sobieski, od czasu wojny szwedzkiej rzetelnie zasłużony królewstwu, i już chorążym koronnym mianowany. Wraz z całym prawie senatem pozostał on wiernym projektowi elekcyi, i ze wszystkimi też senatorami doznawał za to gniewu opinii. Dalsze owszem wypadki uczyniły go wybraną ofiarą jej zawziętości. Gdy bowiem w coraz sroższym rozterku między dworem i rokoszującym marszałkiem przyszło do złożenia Lubomirskiego z hetmaństwa polnego i marszałkowstwa w. kor., stał się młody chorąży poniewolnym następcą w obu jego urzędach. Buławę polną przeznaczono najpierwej Czarnieckiemu, ale po jego razem prawie z nominacyą przypadłej śmierci przeszło i hetmaństwo tuż po lasce na Jana. Stało się to nietylko bez jego starań i zabiegów u dworu, ale nawet przeciw jego życzeniom. Zamiast cieszyć się ze swojej nagłej promocyi, użala się on na nią w swoich listach poufnych, i zarówno laskę jak i buławę przyjmuje sercem niechętnem, raczej z posłuszeństwa dla dworu niż dla dogodzenia ambicyi.

Nie ocaliło to przecież reputacyi Sobieskiego u szlachty. Widziano w nim spadkobiercę dosto-

jeństw marszałkowskich, a to wystarczało do zadania mu śmiertelnego ciosu u szlachty. Jako przyjaciel zamysłów dworskich, mniemany ciemięzca niewinnego marszałka, opressor swobód publicznych, stał się Jan Sobieski celem nienawiści powszechnej. Że uciemiężony marszałek za cesarskie pieniądze wojnę podniósł domową, o cesarskie pieniądze raz poraz błagające do Wiednia pisywał listy, nie zwracało na się uwagi, albo uchodziło za rzecz godziwą. Że zaś młody chorąży w powszechnem skażeniu obyczajów nie był świętszym od reszty młodzieży i niemłodzieży, że nadskakiwał paniom u dworu, i przez lat dziesięć kochał się wiernie w wydartej sobie przez Zamojskiego francuskiej pannie dworskiej, poczytano mu za grzech nieprzebaczony.

Zamiast cenzurować coraz sroższą swawolę szlachty na sejmie, w trybunałach i wojsku, zajęto się niezmiernie żarliwą cenzurą modnych obyczajów u dworu, niezwyczajnych tam rozrywek i galanteryi, a osobliwie miłostek młodego chorążego. Podawano sobie ustnie i na piśmie, wierszem i prozą, najpotworniejsze o nim pogłoski. Według tych plotek byłto pierwszy rozpustnik swojego czasu, niebezpieczny wszystkim mężom zwodziciel, prawdziwy Kaligula. Pełne takich baśni rękopisy owej epoki, a jedna z niedrukowanych dotąd satyr na senat tamtoczesny, przystępując do kreślenia obrazu Sobieskiego,

zaczyna w istocie temi słowy: „Ot i ten Kaligula w pludrach rękę trzyma....“ i t. d.

Do niepochlebnych pogłosek tego rodzaju możemy dorzucić jeszcze jedną, zapewne najdotkliwszą ze wszystkich. Jan Sobieski tak dalece owymi czasy zboczył z toru słuszności, iż musiał karanym być banicyą. I to nietylko raz jeden, ale dwukrotnie obwołało go prawo banitem. Jakże ciężkie powody zniewoliły sędziów do wymierzenia tej surowej kary przeciwko synowi tak zasłużonego w narodzie ojca, pierwszego niegdyś senatora Rzeczypospolitej! Posądzenia nasze nabierają tem większej wagi, gdy nam przyjdzie usłyszeć dalej, iż jedną z tych banicyi ukarany został młody Sobieski za przewinienie względem klasztoru panien Karmelitanek we Lwowie. Nie należąc nawet do oszczerców albo łatwowiernych bajarzy, możnaby z wątku tamtoczesnych pogłosek najdziksze roić domysły.

Ale uspokójmy się o pamięć króla Jana. Sława jego nie poniesie wielkiego uszczerbku z przyczyny tych banicyi. Byłyto jedynie wyroki sądowe za niedopełnienie nakazanej wypłaty długów. Głównem też źródłem wiadomości o tych banicyach są własne pozwy Sobieskiego o zniesienie z niego tej kary, po uskutecznionem już zaspokojeniu przeciwników. Oto co z zapisków urzędowych możemy podać w tej mierze.

W czerwcu r. 1653 kończył Jan Sobieski

24 rok życia. Już atoli zwyczajnie od 21 lat wstępował każden szlachetny młodzian w niektóre prawa obywatelskie, mianowicie w prawo piastowania urzędów, pełnienia funkcyi poselskiej, rozporządzania majątkiem za przyzwoleniem krewnych i t. p. Nim też jeszcze młody starosta jaworowski zupełną osiągnął wieloletniość, zapozwał go niejaki Mikołaj Askmanicki o dług 40.000 złp. Procesów takich przejął młody starosta jaworowski niemało wraz z fortuną ojcowską, jak wszystkie majątki tamtoczesne znacznymi obciążoną długami. W sumaryuszach aktów ówczesnych napotykają się nader często przesyłane Sobieskiemu upomnienia do wypłaty dawniejszych należytości. Sam też Sobieski użala się na to wielokrotnie w listach do żony. Zapewne więc i pan Mikołaj Askmanicki upominał się długu dawniejszej daty.

Na wszelki wypadek był to pozew znanego w swoim czasie pieniacza. Pan Mikołaj Askmanicki ustawicznie prawował kogoś albo był prawowanym. Nie zna go wprawdzie historya owych czasów, niemasz go nawet w herbarzu Niesieckiego, ale tem częściej spotkać go można w aktach sądowych. Wszystkie księgi ziemskie i grodzkie województwa ruskiego z tej pory pełne są jego imienia, jego pozwów, jego procesów i krwawych zwad z sąsiadami.

Samo nazwisko pana Askmanickiego mogłoby

dać powód do sporu, gdyż brzmiało jak się zdaje dwojako, Askmanicki i Jaskmanicki. Ksiądz Niesiecki ma tylko Jaskmanickich herbu Leliwa, osiadłych w ziemiach przemyskiej i sanockiej, a że i nasz Mikołaj Askmanicki był posesionatem ziemi przemyskiej, i posiadał tam prawdopodobnie wsie Bruchnal i Nikłowice, więc będzie to zapewne jedno i tożsamo nazwisko.

Z tym więc Askmanickim czy Jaskmanickim o pretensyę dawną czynową zaniosło się na sprawę trybunalską. Przypadło to jakoś w samo przedjutrze nowej tegoż roku wojny kozackiej i tatarskiej, zakończonej w zimie ugodą z Tatarami pod Żwańcem. Właśnie kiedy młody starosta jaworowski wyprawiał się do obozu, przycisnęła go niebezpieczniejsza dlań walka z głośnym na całe województwo warchołem. Według pozostałych o niej zapisków urzędowych i zwyczajnego w podobnych wypadkach procederu prawnego musiała ona następujące przebiedz koleje.

Pierwszy pozew strony żałującej czyli *powodu* zawezwał Sobieskiego przed sąd ziemski we Lwowie. Ten zawyrokował na korzyść Mikołaja Askmanickiego. Jan Sobieski skazany został na wypłatę 40.000 złp. Egzekucya wyroku należała zwyczajnie do starostwa grodzkiego. Udał się więc pan Askmanicki z wyrokiem ziemskim do grodu i zażądał wykonania sprawiedliwości. Posłuszny temu gród przydał zgłaszającemu się sę-

dziego z podstarościm, dwoma woźnymi i kilką szlachty, którzy stronę powodową wwiązać mieli w jedną z posiadłości dłużnika.

Ale wwiązanie takie rzadko kiedy brało skutek od razu. Strona obżałowana okazywała się pospolicie oporną i nie dopuszczała wiązania. W takim razie sąd grodzki ze stroną pokrzywdzoną wydawały dłużnikowi pozew do trybunału. Ten rozpoznawał jeszcze raz sprawę, a przekonawszy się o słuszności powoda, wydawał wyrok banicyi. I bawiący właśnie na wojnie starosta jaworowski został w ten sposób banitem.

Była to atoli tylko banicya mniejsza, czyli tak zwana cywilna, zwyczajnie bez infamii. Nie pozbawiała ona gardła ani wywoływała z kraju, nie czyniła nawet uszczerbku dalszej służbie w obozie, ale odejmowała władzę piastowania nadal urzędów i pełnienia jakichkolwiek funkcyi publicznych. Udzielony sądowi grodzkiemu wyrok trybunalski nakazywał prócz tego wprowadzić oskarżyciela przemocą w jedną z posiadłości strony przeciwnej. W przeciągu ośmiu miesięcy od ogłoszenia banicyi musiało nastąpić ostateczne wykonanie wyroku.

Dla uniknięcia tak przykrych następstw banicyi należało czynić rychło staranie o jej kassacyę. Jeżeli przed upływem dwunastu niedziel po ogłoszeniu wyroku nie nastąpiły potrzebne ku temu kroki, banicya stawała się wieczystą.

Były zaś takimi krokami najpierwej zaspokojenie strony skażącej, następnie zapozwanie jej do trybunału o zniesienie banicyi.

Otrzymawszy poświadczenie zapozwania takiego, potrzeba było uwiadomić o nim sąd grodzki, w którym uzyskana była banicya. Uwiadomienie to musiało nastąpić w przeciągu tygodnia od pozwu do trybunału, i wymagało zwyczajnie osobistego stawienia się strony przed sądem grodzkim. Tym razem atoli z niewiadomej przyczyny obeszło się bez takiej osobistej obecności Sobieskiego przed grodem, i czytamy w aktach jedynie o wniesieniu pozwu przeciw Askmanickiemu za pośrednictwem woźnego.

Nazajutrz po niedzieli *Oculi* w wielkim poście, tj. dnia 17. marca r. 1653 stanął przed sądem grodzkim woźny nazwiskiem Michał Olszowski ze wsi Brzuchowic, i w imieniu pana starosty jaworowskiego Jana Sobieskiego oznajmił nie tylko jeden ale owszem dwa pozwy o zniesienie banicyi, tj. pierwszy przeciw panu Mikołajowi Askmanickiemu z powodu długu 40.000 złp., drugi przeciw ówczesnemu staroście grodu lwowskiego, jako poprzednio z obowiązku swojego popieraczowi i wykonawcy uzyskanej przez Askmanickiego banicyi.

Po oznajmieniu obudwóch pozwów we Lwowie następowała sprawa z zapozwanymi w Lublinie. Tam za okazanym przez Jana Sobieskiego

noświadczeniem, iż Mikołaj Askmanicki otrzymał należącą mu sumę 40.000 złp., skasowany został poprzedni wyrok z powodu nieuiszczenia tej kwoty, i upadła sama przez się banicya[1]).

Odtąd w żadnym z znanych nam aktów urzędowych do historyi prywatnych króla Jana stosunków nie powtarza się nazwisko Askmanickiego. Sobieski zaś właśnie w roku pierwszej banicyi swojej wstąpił na szersze pole zasług w ojczyźnie. Aż potąd pełnił on tylko zwyczajne obowiązki każdego z obywateli; odtąd rozpoczął się zawód prac i ofiar nad miarę powinności codziennej.

Jeszcze jako banicie w mocy Mikołaja Askmanickiego, jeszcze przed zniesieniem wyroku w trybunale lubelskim, przyszło Janowi wyprawić się na tegoroczną wojnę kozacką i tatarską, która wraz z całem wojskiem królewskiem podała go nakoniec w niebezpieczeństwo oblężenia pod Żwańcem. Ona też nastręczyła młodemu sposobność odznaczania się nietylko męstwem i dzielnością jak dotąd, lecz zarazem ochotą do ofiar z wolności i dostatków.

W połowie grudnia 1653 powiodło się oblężonemu pod Żwańcem królowi nakłonić Tatarów do ugody. Dla większego bezpieczeństwa traktatów potrzeba było zakładników z obojej strony. Tatarzy wysłali w tym celu Murtazę Agę, w obozie ofiarował się do tego młody Sobieski. W ciągu jego zakładniczej niewoli u Tatarów stanął

szczęśliwie pokój, pomyślny wprawdzie dla nieprzyjaciół, ale jeszcze pomyślniejszy zagrożonym zgubą Polakom.

Po zawartej dnia 17. grudnia ugodzie przyszło wyprawić posła od Rzeczypospolitej do Carogrodu. Najprzydatniejszym ku temu okazał się chorąży lwowski Mikołaj Bieganowski, mąż biegły w sprawach poselskich, lecz niezamożny. Pożądaną więc było rzeczą, aby przynajmniej które z przedniejszych paniąt królestwa podjęło się towarzyszyć mu z pocztem świetniejszym. Ofiarował się do tego znowuż młody Sobieski, okryty niedawno banicyą za niemożność uiszczenia się z długu, a gotów teraz nadwerężyć fortunę dla przydania świetności poselstwu ojczystemu. Wdzięczne przyjęcie usługi pozwoliło mu przypatrzeć się wcześnie z najbezpośredniejszego pobliża temu potworowi ottomańskiemu, z którym przez całe życie tak głośne staczać miał boje — i już w rok po swojej pierwszej banicyi wrócił młody starosta jaworowski pełnym znaczenia obywatelem w strony ojczyste. — —

Drugą sprawę tego rodzaju miał Jan Sobieski w roku 1659 z klasztorem panien Karmelitanek bosych we Lwowie. Znane nam zapiski urzędowe nie wykazują wprawdzie przyczyny uzyskanego wówczas wyroku wywołania, ale wiele niemniej pewnych skazówek zgadza się

na to, że i tym razem szło tylko o nieuiszczoną wypłatę długu.

Klasztor Karmelitanek bosych z kościołem Oczyszczenia N. Panny wznoszący się niegdyś w miejcu dzisiejszego seminaryum obrz. łacińskiego przy pałacu arcybiskupim we Lwowie, był fundacyi Sobieskich. Założyłi go w r. 1642 oboje rodzice Jana, ojciec Jakób, wojewoda podówczas ruski, i Teofila Daniłowiczówna. Akta grodzkie i ziemskie z tego czasu zawierają wiele dotyczących tej fundacyi zapisów obojga fundatorów, między innemi Teofili Sobieskiej zapis rocznego czynszu 1050 złotych od sumy 15000 zabezpieczonej klasztorowi na dobrach Zboiska i Grzybowice, tudzież Jakóba Sobieskiego zapis rocznego czynszu 420 złotych od sumy 6000, zabezpieczonej na dobrach Glinna, Złoczówka i Kaplińce i t. p. i t. p.

Pozostało Janowi po rodzicach mnogo zobowiązań podobnych. Mimo najlepszej atoli chęci trudno było czasem uczynić zadość obowiązkowi. Jak wszyscy możniejsi panowie owej epoki tak i starosta jaworowski doznawał niekiedy najdotkliwszego braku gotówki. Byłoto zwyczajną podówczas rzeczą, która zwłaszcza przy kilkokrotnem zniszczeniu całej fortuny Sobieskich podczas niedawnych wojen kozackich i tatarskich nie zadziwiała nikogo.

Mianowicie też rok 1659 okazał się przy-

ciężkim szkatule naszego Jana, już teraz chorążym koronnym mianowanego. Wraz z mniszkami N. Panny pozywał go w tym roku także proboszcz oleski ksiądz Krzysztof Kłoński, i wygrawszy sprawę w pierwszych instancyach, groził kollatorowi swojemu uzyskaniem banicyi. Przedmiotem sporu była summa 5000 złp., którą jeszcze nieboszczyk pan kasztelan krakowski Sobieski zapisał kościołowi w Olesku, a z której ani ojciec ani syn nie uiścili się do tej pory. Przeco wydany został we Lwowie w dniach 21 i 22 lipca r. 1659 wyrok starościński w drugiej instancyi, nakazujący niezwłoczną egzekucyę należytości, a to prawnem zajechaniem czyli rumacyą dziedzicznych dóbr chorążego.

Takąż a nie inną pretensyę miały bez wątpienia także Panny Karmelitanki bose we Lwowie. Tażsama trudność zaspokojenia słusznych żądań klasztoru we Lwowie jak i kościoła oleskiego nadała tenżesam obrót sprawie. Ani w pierwszym ani w drugim terminie nie znalazły się pieniądze do wypłaty, aż nakoniec za dojściem sprawy przed trybunał koronny wypadł wyrok banicyi.

Przyszło więc znowu starać się przed upływem dwunastu niedziel o kassacyę wyroku. Pierwszym do tego krokiem było jak zawsze uspokojenie strony skarżącej, następnie pozew o unieważnienie uzyskanego przez nią wyroku.

Jednemu i drugiemu stało się tym razem z większą jeszcze dokładnością zadość niż w poprzednim zatargu z Askmanickim.

Panny Karmelitanki odniosły żądaną sprawiedliwość, a przy oznajmieniu wydanego im pozwu o kassacyę banicyi sam Jan Sobieski według litery prawa winien był stanąć osobiście w progach grodu lwowskiego i podpisać się własnoręcznie w księgach sądowych. Opiewał dotyczący paragraf konstytucyi sejmowej z roku 1616 jak następuje: „Powinien sam *jure victus* a) stanąć w grodzie przy woźnym, i *personaliter* b) pisany ma być. A ktoby tego sposobu nie zachował, takiego pozew i proces *ad cassandam bannitionem* c) otrzymany, ważny nie będzie, ale bannicya w mocy zostanie, którą starosta miejscowy exekwować powinien.“

Czego więc w sprawie z warchołem Askmanickim żadnego śladu w księgach grodzkich nie spotykamy, to z jaknajwiększą ścisłością dopełnionem zostało w pojednaniu z szanownym klasztorem Panien Karmelitanek we Lwowie. Wyszedł w imieniu chorążego pozew do trybunału o zniesienie banicyi, a w przepisanym przeciągu jednej niedzieli, t. j. we czwartek dnia 26 czerwca 1653, stanął Jan Sobieski w towarzystwie woź-

---

a) przekonany prawem — *b)* osobiście — *c)* o kassacyę banicyi.

nego przed sądem grodzkim we Lwowie dla oświadczenia pozwu. Woźny, imieniem Łuczka, syn kmiecy z Wołczyszczowic, wniósł stosowną relacyę, a trzydziestoletni chorąży koronny położył na akcie własną ręką czytelny dotąd podpis: „Jan Sobieski chor. kor.“[2]).

Takiem jedynie upokorzeniem kończyły się banicye niewinnie osławionego „Kaliguli“ żółkiewskiego. Kwit Panien Karmelitanek zniósł w trybunale tak groźną dla wyobraźni dzisiejszej karę. Wszakże nawet jako nierozgrzeszony jeszcze banita nie był Jan Sobieski mniej przykładnym i pobożnym obywatelem niżby może przystało. W tym samym roku 1659, kiedy probostwo oleskie i klasztor panieński we Lwowie tak uporczywymi gniotły go procesami, założył Sobieski we Lwowie dla wysłużonych wojskowych kościoł i klasztor Bonifratrów, wznoszący się niegdyś przy ulicy łyczakowskiej, w miejscu dzisiejszego szpitalu wojskowego.

W porównaniu z doraźną wypłatą kilkunastu tysięcy złotych w gotówce było to dziełem nieskończenie łatwiejszem, gdyż wymagało zwyczajnie tylko zapisu ziemi, o wiele obfitszej i tańszej podówczas od pieniędzy. Dlatego nie szczędzono nigdy darowizn zapisowych, a w niedostatku gotówki przyszło nieraz zostać banitem.

Toż nie uwłaczając pobożnemu charakterowi takich wywołańców niewinnych, nie uwłaczało to

również dawnym stosunkom przyjacielskim z stronami, które tak surowych kar nabawiły. Z mniszkami lwowskiemi pozostał Jan Sobieski nadal w najlepszem porozumieniu, nazywał je zwyczajnie „naszemi Karmelitankami“, pamiętał troskliwie o ich bezpieczeństwie w czasie niepokojów wojennych, przemieszkiwał chwilowo w ich klasztorze. Jego też staraniem i kosztem przyszła do skutku fundacya tego klasztoru, zaczęta według napisu na istniejącej dotąd tablicy przez rodziców Jakóba i Teofilę w r. 1642 a dokończona przez króla Jana III. w r. 1692.

Mówią o tych Karmelitankach w kilku miejscach listy Jana Sobieskiego do żony, wydane tymi czasy w Krakowie. W nich też jakby o rzeczy całkiem zwyczajnej natrąca się wzmianka o trzeciej i najsurowszej banicyi, bo nawet z infamią połączonej. Spadła ona na Sobieskiego w r. 1667, we dwa lata po osiągniętych już dostojeństwach w. marszałka i hetmana w. kor., w siedem lat przed osiągnięciem korony. Uzyskał ją był na Sobieskim chorąży sędomierski Marcin Dębicki, mający do pana marszałka i hetmana znowu pewną pretensyę pieniężną, a wrogi mu przytem jako przeciwnik tak zwanej fakcyi dworskiej.

Pod tym ostatnim względem należała sprawa pana chorążego sędomierskiego z marszałkiem w. i hetmanem koronnym do najciekawszych sporów

swojego czasu. Byłato walka dwóch stronnictw politycznych tej pory, przeniesiona z bojowiska zakończonej właśnie wojny domowej na pole rozpraw sądowych. Jak w Janie Sobieskim widziano powszechnie jednego z najpotężniejszych obrońców dworu, tak przeciwnie chorąży sędomierski Dębicki liczył się do głównych popleczników strony przeciwnej, gardłujących najgłośniej w obronie mniemanych swobód narodu. Lubo słusznie dziś zapomniany, napotyka się on w tym charakterze dość często na kartach kronik i pamiętników ówczesnych, zwłaszcza w początkach panowania Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. Możnaby owszem podziwiać w nim niezbyt zaszczytny przykład obywatela, który niczem innem jak tylko gardłowaniem urósł znacznie pomiędzy swymi i narzucił się pamięci

Przypominając sobie niektóre z charakterystyczniejszych jego wystąpień, widzimy go w r. 1651 po bitwie beresteckiej hersztem nieszczęsnego rokoszu obozowego, który zniweczył wszelkie skutki zwycięstwa. W następnym roku 1652 na sejmie po skazaniu Radziejowskiego, popierał Dębicki, wówczas dopiero podczaszy sędomierski, najżarliwiej sprawę wywołanego podkanclerzego, i mieszając coraz bardziej obrady, dopomógł do fatalnego zerwania sejmu. Na ostatnim zaś sejmie za Jana Kazimierza protestuje chorąży sędomierski przeciwko abdykacyi, i paragrafami

paktów konwentów chce zmusić króla do zatrzymania korony. W roku nareszcie 1670 przy scenie pojednania króla Michała z arcybiskupem Prażmowskim, naprzykrza się chorąży arcybiskupowi uszczypliwemi raz po raz przymówkami, które go nabawiają surowej odpowiedzi arcybiskupa i śmiechu wszystkich przytomnych.

Marszałek w. Sobieski uchodził za spólnika arcybiskupa w nieprzyjaźnych królowi Michałowi zamysłach. Z niemniejszą też zawziętością popierał chorąży zapewne wytoczoną mu sprawę sądową. Chodziło zaś o kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy złotych, w których Jan Sobieski zapisał się chorążemu za Hieronima Radziejowskiego. Bawił już Radziejowski od lat pięciu w ojczyźnie i broniony niegdyś tak żarliwie przez chorążego na sejmie, winien mu był teraz znaczną sumę pieniężną. Że jednak nie miał z czego zapłacić, wyręczył go zapisem marszałek i hetman w. Sobieski, blizkiem pokrewieństwem związany z Hieronimem.

Urodził się bowiem Radziejowski z Katarzyny Sobieskiej, córki wojewody lubelskiego Marka, i był przeto ciotecznym bratem Janowi. Wszakże za swoją gotowość do podania ręki krewnemu nabawił się Sobieski ciężkich kłopotów od chorążego. Nieubłagany przeciwnik fakcyi francuskiej zażądał wypłacenia pieniędzy, których niedostatek przywiódł do sprawy w try-

bunale. Zawarte o niej wzmianki w listach Sobieskiego do żony podają w tej mierze, co następuje.

Dnia 19 maja r. 1666 uwiadamia pan marszałek w. kor. swoją „najśliczniejszą duszy i serca pociechę,“ iż mu grozi wielka sprawa z chorążym sędomierskim. W kilka miesięcy później, dnia 23. września tegoż roku czytamy: „A. Mr. Radziejowski proszę racz Wć. mówić moja panno, że nam Pielaskowice przyjeżdżano znowu żajeżdżać z dekretu trybunalskiego, a to w sprawie z panem chorążym sędomierskim.“ Przez cały rok następny toczyła się sprawa dalszą koleją, a dnia 15. grudnia 1667 pisze Sobieski, iż chorąży przewiódł na nim prawo w Lublinie. W skutek tego wypadł wyrok banicyi i infamii, dla której marszałek i hetman w. kor. według listu z dnia 10. kwietnia 1668 nie mógł pierwej jechać na sejm i zająć tam miejsce w senacie, dopóki nie wypłaci 12.000 chorążemu.

Owoż wiadoma z historyi obecność Sobieskiego na sejmie w początkach roku 1668 przekonywa o dopełnionem poprzednio zaspokojeniu wymagań chorążego, o zniesionej temsamem banicyi i infamii. Była zaś obecność Sobieskiego na tym sejmie niezbędną z tej przyczyny, iż miał zdawać sprawę z ukończonej właśnie wojny i ugody z Ordą pod Podhajcami. Jednocześnie bowiem z rzuconą nań w trybunale infamią

okrył się Sobieski sławą najpierwszego ze swoich wielkich tryumfów nad pogaństwem i wstąpił właśnie na tę drogę chwały i przeznaczenia, która w tak krótkim czasie doprowadziła go do tronu i nieśmiertelności. W połowie października r. 1667 zmusił Sobieski prawie cudem powstrzymanych Tatarów do opuszczenia ze stratą obozu podhajeckiego i całej ocalonej Rzeczypospolitej, i w tychże właśnie tygodniach odniósł nad nim chorąży sędomierski swoje zwycięstwo trybunalskie, odsądzające Sobieskiego od praw obywatelskich i czci.

Takim sposobem wszystkie banicye Sobieskiego nietylko żadnego moralnego wykroczenia w nim nie karały, lecz jakby umyślnem zrządzeniem losu łączą się zawsze z jakimś czynem chwały lub pobożności. Pod wyrokiem pierwszej banicyi naraża się młodzieniec dobrowolnie na niebezpieczeństwo zakładu u niewiernych; gdy druga banicya na nim ciężyła, funduje chorąży kor. klasztor z przytułkiem dla starości i nędzy; trzecią przyciśniony banicyą ocala kraj i dopełnia całkiem nieznanego dotąd aktu bogobojności, t.j. odbywa dawno ślubowaną pielgrzymkę do stolicy świętego Piotra. O tym to czynie pobożnym mowa nam teraz.

Nie znalazłszy w Janie Sobieskim żadnej winy jako w banicie, znajdujemy w nim tem więcej

zasługi jako w pielgrzymie. Odbył on swoją zapomnianą dziś drogę rzymską w wieku późniejszym, zniewolony do tego ślubem lat młodych. Byłto ślub wdzięczności za podwójne ocalenie od śmierci, bo naprzód od ciężkiej choroby we Lwowie na wiosnę roku 1652, a zarazem od pewniejszej jeszcze zguby w strasznej o tymżesamym czasie rzezi tatarskiej pod Batowem, której młody starosta Jaworowski jedynie tem uniknął, iż złożony długą chorobą w domu, nie mógł towarzyszyć bratu na wojnę.

Dwudziestoczteroletni brat Marek zginął na krwawych polach batowskich, młodszy o piętnaście miesięcy Jan odzyskał szczęśliwie zdrowie i miał nadto podziękować Bogu za poniewolną nieobecność w bitwie morderczej. Owszem od niewielu miesięcy byłto już trzeci znak jawnej łaski Bożej nad Janem, również cudownie ocalonym w zeszłorocznej bitwie pod Beresteczkiem. Oto kilka spółczesnych wyrazów o tym podobnież nieznanym dotąd szczególe. Skreślił je człowiek niedługo potem zmarły, a temsamem niezdolny przewidzieć jeszcze losów młodzieńca, o którego uratowaniu tak pożądaną zostawił wzmiankę.

„Trwał *conflictus acerrimus a)* niemal dwie godziny“ — czytamy w dyariuszu Stanisława Oświecima o wtórym dniu bitwy beresteckiej

---

a) bój krwawy

czyli dnia 29. czerwca 1651 — „z wielką naszych szkodą, których ochota rycerska trochę dalej niżeli było potrzeba bez posiłków *provexerat b)* i siła ich na placu legło..... Jan Sobieski, starosta jaworowski, już od pogan był zagarniony, ale cudownie od nich eliberowany.......... i wzięto jednego znacznego murzę młodego, który zajeżdżał pana starostę jaworowskiego, jegoż towarzystwo żywcem pojmało.“

W rok później, tegożsamego miesiąca czerwca, w którym Jan pośród trzasku piorunów przyszedł na świat w zamku oleskim, i którego stoczoną została bitwa pod Beresteczkiem, uszedł on także śmierci na łożu we Lwowie i w obozie batowskim. Widoczny w tem wszystkiem palec Boży przeniknął do głębi myśl i serce młodego wojownika. Od najwcześniejszych lat nauczył się Jan Sobieski wierzyć w osobliwszą opiekę niebios i upatrzone w tem przeznaczenie do niezwyczajnie wielkiej przyszłości.

Okazuje się to n. p. ze słów samego króla Jana III., który w znanym urywku o rodzie i życiu swojem powiada, iż go *fata c)* albo raczej wola Boża od tej zguby zachowały“ — a w dyalogowym pamiętniku spółczesnego autora, pod tytułem „Rozmowy zmarłych Polaków“ jeszcze charakterystyczniej dodaje: „I to był pierw-

---

b) uniosła — *c)* losy.

szy znak woli i Opatrzności boskiej, że mnie destynowała na wielkie rzeczy, kiedy mi chorobę przysłała i do łóżka przykowała. *Alias d)* zdrowy poszedłbym ochotnie tak jako i brat mój i zginąłbym był tak jako i brat."

Wśród takich okoliczności nic powszedniejszego w onem stuleciu jak zobowiązać się Bogu pewnym ślubem dziękczynnym. Młody starosta jaworowski ślubował pielgrzymkę do progów apostolskich. Nastąpiło to przyrzeczenie jakoś w porze zimowej między rokiem 1652 a 1653. Wpłynęła na nie zapewne rada pobożnej i ukochanej ciotki Doroty Daniłowiczówny, ksieni klasztoru panien Benedyktynek we Lwowie, która niezbyt czule od matki pieszczonemu Janowi stała się najdroższą osobą w całej rodzinie, prawdziwą powiernicą najskrytszych uczuć. Zaledwie też młody Sobieski doszedł tymi czasy pełnoletności, pierwszym czynem jego zupełnej samowładzy znamy bogatą darowiznę na rzecz ukochanej ciotki Doroty i jej klasztoru panieńskiego we Lwowie, zeznaną w aktach ziemstwa lwowskiego pod dniem 26. czerwca roku 1653.

Łatwiej wszakże było młodemu ślubować wówczas pielgrzymkę rzymską niż znaleźć porę do jej podjęcia. Tuż po ślubie złożonym przyszło Janowi odbyć półroczną wojnę żwaniecką

---

d) Inaczej.

i towarzyszyć następnie wielkiemu poselstwu królestwa do Carogrodu. W samej porze jego legacyi carogrodzkiej wybuchła r. 1654 wojna moskiewska, do której roku 1655 przybyła najstraszniejsza ze wszystkich — szwedzka. Gdy zaś po ośmiu latach ciągłego poszczęku broni i ciągłych obowiązków wojennych stanął w roku 1660 traktat oliwski ze Szwecyą a r. 1664 chwilowy rozejm z Moskwą, zaniosło się w roku następnym na dwuletnią wojnę domową z Lubomirskim, wymagającą aż po koniec r. 1666 ciągłej obecności Jana Sobieskiego przy boku króla.

Takim sposobem szło w coraz dalszą odwłokę spełnienie ślubowanej pielgrzymki rzymskiej. Już lat czternaście mijało, a cudownie zachowany brat Marka chodził jeszcze w swoim ślubie pobożnym. Już znaczna część spodziewanych znaków łaski niebieskiej ziściła się na Janie, a dług dawnej wdzięczności ciężył jeszcze niewypłacony niebiosom. W ostatnim lat dziesiątku pobłogosławił Pan Bóg Janowi dalszem zachowaniem go od wszelkich niebezpieczeństw wojennych, przychyleniem mu najwyższych dostojeństw kraju, wysłuchaniem najgorętszych próśb jego serca.

Owszem jak w całem życiu Sobieskiego pełno znamion kierującej nim cudownie Opatrzności, tak i te nader cenne dla niego dary spłynęły nań razem, niespodziewanie, jakby cudownem zrządzeniem niebios. Jednego i tegosamego 1665

roku zostaje dotychczasowy chorąży koronny najprzód marszałkiem wielkim, następnie hetmanem polnym koronnym, wreszcie po dziesięcioletniej beznadziejnej miłości małżonkiem świeżo owdowiałej wojewodziny sędomierskiej Maryi Kazimiry Zamojskiej. Zdało się, jakby niebo po długiem oczekiwaniu utrudnionej przeciwnościami pielgrzymki chciało obsypać go szczęściem na próbę, czy teraźniejsze upojenie rozkoszami ziemskiemi nie przytępi mu do reszty uczucia obowiązku względem sprawcy wszelkich cudów i wszelkich łask.

Ale Jan Sobieski okazał się godnym ręki, która go prowadziła. Odroczywszy tak długo pielgrzymkę rzymską dla pełnienia tymczasem wiernych usług ojczyźnie, nie ociągał się dłużej z wypełnieniem obowiązków dla dogodzenia szczęściu swojemu. Pierwsza chwila wewnętrznego i zewnętrznego spokoju kraju przeznaczoną została do uiszczenia zaprzysiężonej od tak dawna ofiary.

Była to niedługa chwila między upływającym właśnie rokiem 1666 a wiosennymi wypadkami w roku następnym. Nie brakło wprawdzie i pod tę porę niebezpieczeństw nad krajem, lecz po nieskończenie sroższych doświadczeniach niedalekiej przeszłości można było patrzeć na nie bez trwogi. Ucichła właśnie burza nagłego zagonu Tatarstwa aż pod Kamieniec i dalej, o której listy warszawskie z dnia 1. i 8. sty-

cznia 1667 mówią jako o minionej już rzeczy Wtedy też zakończył się rozpoczęty roku zeszłego sejm, w miejscu którego miał na wiosnę odbyć się nowy. W tejże nareszcie porze rozpoczęły się traktaty ostatecznego pokoju z Moskwą, zawartego istotnie w Andruszowie pod koniec stycznia roku 1667.

Mógł więc marszałek w. kor. znaleźć chwilkę swobody do spełnienia obietnicy pobożnej. A co przez tak długie odwlekało się czasy, to nakoniec wcale niespodziewanym sposobem przyszło do skutku. Zamiast odbyć pielgrzymkę obyczajem swojego czasu i stanu, t. j. dworno, uroczyście, powolną i okazałą podróżą, wypadło Sobieskiemu użyć jak największego pośpiechu, a temsamem zrzec się wszelkiej wystawności i pompy. Za lada trawką wiosenną mogli Tatarzy okazać się na nowo w dzikich polach, a w takim razie pobożność hetmana polnego w odległych stronach wcale niepożądaną cerkwiom ukraińskim i całemu chrześcijaństwu była przysługą.

Słusznaby nawet mniemać, iż dla omylenia czujności nieprzyjaciół umyślił Jan Sobieski odbyć swoją podróż całkiem kryjomo. Odpowiadał pospiechowi i tajemnicy najlepiej sposób podróżowania pocztą, nieużywany wprawdzie dotąd przez pobożnych magnatów polskich, ale nader dogodny w położeniu obecnem. Jedynie też taką jazdą pocztową można było stanąć w Rzymie

na termin naznaczony od dawna wykonaniu pielgrzymki. Pragnął bowiem marszałek w. kor. nawiedzić stolicę apostolską w uroczystość katedry św. Piotra, przypadającą ówczesnym zwyczajem na dzień 18. stycznia, a jeszcze w drugiej połowie grudnia r. 1666 bawiąc we Lwowie, jakimże innym sposobem zdołałby był Sobieski dopiąć życzenia?

Zgodził się tedy na niezwyczajny rodzaj pielgrzymki pocztą, i zjechawszy około 20 grudnia 1666 r. do stolicy województwa ruskiego, zajął się w milczeniu najpotrzebniejszemi przygotowaniami do drogi. Tak wielki przytem panował pospiech, iż nie pozostało nawet czasu do zażądania woli królewskiej. Musiał wystarczyć list marszałka w. kor. do króla, oznajmujący jego nieodzowną podróż do Rzymu, z przyrzeczeniem rychłego powrotu do dalszych usług. Zwyczajnym Janowi Sobieskiemu duchem bogobojności natchnione, brzmiało to pismo jak następuje.

List do króla JM. od Jaśnie Wielmożnego JEMci Pana Marszałka wielkiego kor. wyjeżdżając do Rzymu 1667 roku.

„Uczyniwszy od lat prawie czternastu *Votum* a) po mojej wielkiej chorobie *Ad Limina Apostolorum* b), nie przyszło mi do wykonania tego

---

a) ślub — *b)* do progów apostolskich

winnego Bogu i stolicy świętej długu dla consideracyej samej usługi W. K. M. na przeszłych sejmach tak potrzebnych, na których *versabantur cardines gloriæ c)* wielkiego imienia W. K. M. *et Salutis Publicæ d)*, o których niejeden wieki długo mówić będą. Teraz niechcąc dłużej odkładać com Bogu obiecał, ani przewalać *in graviorem ætatem e)* usprawiedliwienia się winnego, a widząc czas wolny, biorę Posztę, abym w kilku niedzielach mógł to *explere f)*, i na Wielką noc do usługi W. K. M. powrócić, założywszy sobie terminu stawienia się w Rzymie *pro Festo Cathedræ Sancti Petri g)*. Ufam tedy mocno że W. K. M. Pan mój miłościwy jako wielkiej pobożności pan miłościwie *indulgere h)* będziesz raczył *tam piæ nec temnendæ necessitati i)* wiernego i uniżonego sługi swego, ani poczytasz *vitio j)*, że sam *in persona k)* nie upadam pokornie do nóg jego pańskich dla krótkości terminu mego. Wszakże i tam jeśli gdzie *suspiria l)* moje będą: *effundere ł)* onych nie przestanę, za Conservatią wielkiego Imienia,

---

c) wisiała sława — *d)* i dobra publicznego — *e)* do lat podeszlejszych — *f)* wykonać — *g)* na uroczystość katedry św. Piotra (w Rzymie 18. stycznia.) — *h)* przebaczyć — *i)* tak pobożnej i godnej uwzględnienia potrzebie — *j)* za winę — *k)* osobiście — *l)* westchnienia — *ł)* wylewać.

Osoby i szczęśliwego panowania W. K. M. Którego jestem wszędy, zawsze i dożywotnie..... [3])

Stało się też niezawodnie według zamysłu pobożnego. Za wiedzą jedynie kilku poufnych osób znikł Jan Sobieski na kilka tygodni z Polski, goniąc w dojrzałym wieku za ziszczeniem ślubu młodzieńczych lat. Podczas gdy wszyscy mniemali go w Żółkwi lub Jaworowie, u boku niedawno pojętej żony, on po wybornie znanej Polakom drodze cwałował pocztowymi końmi na Wiedeń, Friul, Weronę do wiecznej Romy. Po uderzeniu tam czołem o progi apostolskie, po jednem z owych gorących westchnień piersi pobożnej, jakie oprócz niego niewielu zapewne przyszłych królów wysyłało w niebiosa, również szybka podróż wróciła bohatera ojczyźnie. Dnia 21 grudnia 1666 roku widzimy go jeszcze urzędującym we Lwowie [4]), a w połowie maja 1667 r. dowodzi on znowuż wojskiem w pobliżu Lwowa [5]), przygotowując się do sławnej wojny podhajeckiej w tym roku.

Wierne bowiem spełnienie dawnego ślubu odwdzięczyło się hojnem błogosławieństwem Janowi. Właśnie w porze jego podróży rzymskiej zawakowała w. buława koronna, opróżniona śmiercią hetmana Stanisława Rewery Potockiego dnia 23. lutego 1667 r. Z wziętą po nim buławą w ręku stanął Sobieski tuż za powrotem ż pielgrzymki do pierwszego z tych wielkich bojów z pogaństwem, które przez lat przeszło dwadzieścia roz-

nosiły odtąd sławę jego imienia po całym świecie, rozbijały i rozbiły pęta niewoli ottomańskiej nad Europą. Podhajce, Kałusz, Chocim, Żurawno, Wiedeń — obok tych wawrzynów w zwycięskiej walce o swobodę i bezpieczeństwo półświata, czemże sama korona polska, którą już w 7 lat po nagłej drodze rzymskiej uwieńczył naród swego pielgrzyma?... Tylko przywiązany do niej charakter nagrody za ocalenie ojczyzny może postawić ją na równi z owymi wawrzynami w obronie chrześcijaństwa.

U Podhajec, pod Chocimem i Wiedniem widział Sobieskiego z zdumieniem świat wszystek — w Rzymie u progów apostolskich tylko Pan Bóg nań patrzył. A przecież nie urojeniem będzie uwierzyć, że ta chwila wywiązania się z dawnej niebiosom obietnicy, ta chwila złożenia u podnóża ołtarzów rzymskich ciążącego na nim od tak dawna długu wdzięczności, przyczyniła się potężnie do rozwinięcia w nim owych skrzydeł natchnienia, które później wznieść go miały tak wysoko na polach chocimskich i wiedeńskich.

Ale dla oczu ziemskich minęła niedostrzeżenie ta chwila. Żaden z dotychczasowych biografów Jana Sobieskiego nie zna jego dorywczej pielgrzymki rzymskiej. W żadnem ze znanych źródeł owego czasu nie przypomina się nam najdalsza wzmianka w tej mierze. Tylko ów przypadkiem natrącony list Sobieskiego do króla, tak przeko-

nywujący swojemi znamionami autentyczności i zgodą wszelkich zawartych w nim szczegółów życiorysu i wypadków bieżących pozostał jedynem, lecz dostatecznem świadectwem.

Nie zwrócono na nie żadnej dotąd uwagi, ponieważ w ogólnym nadpisie dokumentu „List w. marszałka kor. do króla o drodze rzymskiej r. 1667.“ — nie uderzyło od razu nazwisko Sobieskiego, nigdy z jakiemkolwiek wspomnieniem podróży do Rzymu nie łączone. Oprócz bijącej zaś z samego listu prawdy zdarzenia poświadcza ją naszem zdaniem najlepiej to, co na pozór mogłoby osłabiać wiarę w rzeczywistość wypadku — t. j. zupełny brak wiadomości o Janie Sobieskim w trzech pierwszych miesiącach r. 1667. Zbywa wprawdzie na wszelkich bliższych wskazówkach o drodze rzymskiej w tej porze, ale niema też zarazem śladu jakiejkolwiek czynności jego natenczas w Polsce. — Jan Sobieski był nieobecnym podówczas w Polsce, pielgrzymując pocztą do progów rzymskich.

Tak w jednym i tymsamym czasie r. 1667 widzimy naszego Jana pobożnym wędrowcą do stolicy św. Piotra, pogromcą pogaństwa na polach podhajeckich, wywołańcem w trybunale lubelskim. Tylko główny z tych trzech wypadków bogdaj częściowo jest oceniony, dwa podrzędne świeżo z ukrycia wyszły, a wszystkie razem dotyczą ledwie nie

najgłośniejszej w dziejach naszych postaci, na pozór tak dokładnie już znanej. Ileż równie ciekawych niespodzianek czeka nas jeszcze w coraz jaśniej rozwidniającym się mroku tych dziejów — w nieprzejrzanym lesie tych aktów, listów, zapisków pamiętnikowych, które niezliczonymi stosami i plikami rozrzucone po wszystkich kątach, ukrywają w sobie całą drugą połowę historyi naszej, całą historyę społeczną, rodzinną, obyczajową. Dopiero po zupełnem przeniknięciu tych gęstwin leśnych, po przekorczowaniu tych nieprzejrzanych zarośli, odsłonią się nam tysiące nowych widoków na przeszłość naszą, nabędą wyrazu i świeżego wdzięku widoki dotychczasowe, zrozumiemy niejedno, co dotąd zagadką lub złudzeniem. Do archiwów więc, do aktów i rękopisów po światło! — do pracy żmudnej i długiej, ale jakże bogatej w plony oku zdrowemu, jeźli zagonowem mówiąc przysłowiem — i ślepej kurze dogrzebać się nią ziarnka czasami.

Przypiski.

[1]) Wszystkie szczegóły według zapiskow w zbiorze dawnych aktów grodzkich i ziemskich w klasztorze OO. Bernardynów we Lwowie — tudzież według przepisów postępowania sądowego w sprawach podobnych, w Zbiorze konstytucyj sejmowych. *Ex actis castrensibus Leopoliensibus Relationum 1652 et 1653. Liber 402. Prot. 639. 640. pag. Prot. 674. — Voll. Leg.* II. 33. r. 1564. III. 135. r. 1616. Żeglicki Inwentarz str. 30 i t. d. i t. d.

[2]) *Ex actis terrestribus Leopoliensibus Inscriptionum 1645 ad 1732. Lib. 71. 72. 80. Prot. 106. 107; pag. Prot. 502.*

[3]) Rękp. Ossol. pod L. Inw. 723 k. 205 *p. v.*

[4]) X. Sadok Barącz. Pamiętnik dziejów polskich str. 72. List Jana Sobieskiego ze Lwowa dnia 21 grudnia 1666 r.

[5]) Załuski. *Epistolae historico familiares.* I. str. 2. W liście z dnia 20 maja 1667 r. wiadomość o rúchach wojennych Jana Sobieskiego w pobliżu Glinian.

Wnuka króla Jana III. *)

Po śmierci króla Jana III. rozprószył los w dziwny sposób jego rodzinę. W niespełna 20 lat od zgonu ojca każda z pozostałych sierót w innej żyła ustroni. Wdowa królewska, Marya Kazimiera, przeszło siedmdziesięcioletnia matrona, spędziwszy kilkanaście lat w Rzymie, oczekiwała śmierci we Francyi, w zamku Blois. [1]) Najmłodszy z synów, Konstanty, pozostał w ojczystem gnieździe, w Żółkwi. Średni, Aleksander, żywy obraz zmarłego króla, gasł w Rzymie w klasztorze Kapucynów. Najstarszy wreszcie, królewicz Jakób, zaślubiony z księżniczką Palatyńsko-Neoburską Jadwigą, mieszkał na Szlązku, w mieście Olawie, [2]) wypuszczonem mu ugodą familijną od szwagra, cesarza Leopolda.

*) Głównie według rękopismu w zbiorach Zakładu Ossolińskich pod napisem: *Lettres et Memoire, concernans l'évasion de la Princesse Royale Clementine Sobieska, promise au Prétendant d'Angletterre en 1719. — Copié du manuscrit original à la Bibliothèque publique de Petersbourg par Henri Prince Lubomirski.* 1845. fol. p. 44.

Oprócz młodo zmarłego syna Jana nie dał Pan Bóg męskiego potomstwa dworowi oławskiemu. Przyozdabiały go za to trzy piękne córki, Kazimiera, Karolina i Klementyna. Najstarsza z księżniczek, Kazimiera, wychowana przy babce w Rzymie i w Blois, miała w porze naszego opowiadania lat dwadzieścia i trzy; młodsza Karolina, poślubiona później z kolei dwóm z królewskim domem Francyi spokrewnionym książętom de Bouillon, liczyła lat dwadzieścia; najmłodsza Klementyna zaczęła rok siedmnasty. Przez swoją matkę Jadwigę, której jedna rodzona siostra była za cesarzem Leopoldem, druga za hiszpańskim królem Karolem, trzecia za Piotrem portugalskim, zostawały wszystkie trzy wnuczki Jana III w stosunkach blizkiego powinowactwa z najpierwsyzmi dworami europejskimi. Z tym blaskiem urodzenia łączyły wszystkie najpiękniejsze przymioty duszy. Najstarsza siostra zdołała już w latach dziecięcych wzbudzić swoją bystrością umysłu podziwienie papieża Klemensa XI. Najmłodszą z sióstr Klementynę, bohaterkę szkicu naszego, córkę chrzestną tegoż papieża, od którego także otrzymała swe imię chrzestne, obaczym w końcu wzorem cnót chrześcijańskich. W obecnej porze młodości nie umiano nachwalić się jej wdzięków. Nie był więc bez powabu książęcy dwór w Oławie.

Owoż do tego dworu przybył w lipcu roku 1718 nieznany nikomu cudzoziemiec, irlandzki

szlachcic Murray, niosący ważną domowi wieść. Zawierała ona prośbę młodego Jakóba Stuarta, uważanego w całej zachodnio-południowej Europie za prawego króla W. Brytanii, o rękę najmłodszej z księżniczek, Klementyny. Lubo Stuartowie żyli obecnie na wygnaniu, czyniła ta odezwa wielki zaszczyt Sobieskim. Królewski ród Stuartów był dla całego katolickiego świata przedmiotem najgłębszej czci. Nad wielkość światową, nad blask trzech okazałych koron, świeciła w nim rzadka gorliwość religijna. Już piękną a nieszczęśliwą Maryę Stuart, surową katoliczkę, prześladowaną i zgubioną przez stronnictwo protestanckie, otaczał poniekąd urok męczeństwa religijnego. Jej wnuk, angielski król Karol I., ścięty w rewolucyi z roku 1649, przypłacił życiem swoją przychylność ku wyznaniu katolickiemu. Młodszy syn tegoż Karola, późniejszy król Jakób II., wróciwszy do korony, wolał na nowo pójść na wygnanie, niż ostygnąć dla swojej wiary. Żyjąc na ziemi francuskiej, wychował on w tych samych zasadach swojego syna Jakóba, naszego przyjaciela Sobieskich. Młody Stuart, po śmierci ojca przez wszystkie prawie katolickie dwory prawym monarchą Anglii uznany, nie odrodził się od swoich przodków. Pobożny, łagodnego usposobienia, słodki w pożyciu [3]), trwał on wiernie w katolicyzmie. Na tronie angielskim siedziała jego rodzona siostra Anna, oddana wyznaniu anglikańskiemu. Gdy mu ze strony

siostry zaofiarowano następstwo tronu, byle zmienił wyznanie, Jakób wzgardził ofiarą. To podwoiło powszechne dlań uwielbienie, lecz nie przebłagało losów przeciwnych. Po niedawnem zawarciu pokoju między Anglią a Francyą utracił młody Jakób dyplomatyczną opiekę Ludwika XIV. Pozostały mu jeszcze spółczucie stolicy apostolskiej, życzliwość katolickiej Hiszpanii i wierność starodawnego stronnictwa w Anglii i Szkocyi. Polegając na tej podporze, umyślił młody Stuart, dwoma laty przed ślubnem poselstwem do Olawy, wystąpić z swojem prawem przeciwko następcy królowej Anny, Jerzemu Hanowerskiemu, dalekiemu bratankowi domu Stuartów. Nie sprzyjało mu przecież szczęście tym razem. Stronnictwo króla Jerzego przeważyło szalę na swoją stronę. Jakób musiał wrócić do Francyi. Przylgnęła mu odtąd smutna nazwa pretendenta. Opuszczony od Burbonów, udał się wygnaniec królewski pod opiekę dworu rzymskiego. Panujący jeszcze Klemens XI. zaprosił go naprzód do Awinionu, potem do Włoch. Przyjęty tam z wszelkimi honorami królewskimi, otrzymał młody Stuart zapewnienie corocznych sum ze skarbu papiezkiego i świetną rezydencyę w Urbino. Nim zaś przyszłe wypadki miały mu ułatwić powrót do tronu, zależało opiekunom i stronnikom Jakóbowym na zabezpieczeniu potomków sprawie królewskiej. Wszczęły się więc zabiegi o wyswatanie młodego króla. Wchodziły

w to rady i propozycye różnych dworów przyjaznych. Stolica apostolska oświadczyła się za rodziną Sobieskich, mianowicie za młodszą z córek królewicza Jakóba, księżniczką Klementyną. [4]) Obraz, jaki o niej zrobiono Jakóbowi, wzbudził w nim szczerą skłonność. Późniejsze okoliczności zamieniły to uczucie w najżywszą z obojej strony miłość. Przekonują o tem wszelkie kroki Jakóba, wszelkie wyrazy jego listów, całe domowe pożycie obojga w latach następnych, osobliwie zaś upewnienia świadków naocznych, nawet takich, którzy byli przeciwni połączeniu się młodego króla z Sobieską, a których zdaniem można mu było tylko jedną zarzucić wadę t. j. zbytnie przywiązanie do Klementyny. [5]) Z prawdziwą tedy obawą serca, wyprawił Jakób z Urbino (24 czerwca 1718 roku) do rodziców księżniczki Klementyny i do niej samej, listowną prośbę o rękę. „Dawno już“ — pisze Stuart do księżniczki w tym pierwszym liście [6]) — „przymioty twoje, Pani! i twa osoba, są celem uwielbienia mojego. Pochlebstwa i próżne słowa nie umiałyby zadowolnić duszy jak twoja. Mam jednak błogą nadzieję, iż nie odrzucisz ofiary serca, które Ci się oddaje bardziej z skłonności niż z obowiązku, a które nie zna innego życzenia, jak tylko widzieć Cię zawsze szczęśliwą. Twoje cnoty, Pani! ściągną nowe błogosławieństwa na słuszność sprawy mojej i podwoją gorliwość i przywiązanie moich wiernych

poddanych. Oby ten domiar osobistego szczęścia mojego stał się początkiem tej dalszej pomyślności, którą dzieląc wraz z tobą, ceniłbym tylko o tyle, o ile ona Ciebie dotycze..."

Żadne przeszkody nie przeciwiły się życzeniom Jakóbowym ze strony książęcego dworu w Oławie. Ojciec księżniczki, królewicz Jakób Sobieski, dawał mu od lat wielu dowody szacunku i życzliwości. Matka, księżniczka Palatyńska Jadwiga, na mocy dawnego skolligacenia rodziny Palatyńskiej z domem Stuartów, kuzynka Pretendenta, gotowa była wspierać go wszelkim swoim wpływem u córki. I taż córka nareszcie, nie mogła prawdopodobnie zachować się obojętnie. Jej nadzwyczajna żywość uczucia,[7]) cechująca ją w całym dalszym przeciągu życia, jej młodociana wyobraźnia i poświadczona późniejszym życiem wzniosłość umysłu, musiały upodobać sobie w obrazie tego rycerskiego, nieszczęśliwego młodzieńca, przynoszącego jej w darze berło trzech królestw a proszącego ją o przychylność, jako o jedyną łaskę i pociechę w niedoli. Wiszący nad nim oręż prześladowania, wspaniała gra Fortuny, do jakiej zniewalały go losy, tem głośniej za nim w szlachetnem a śmiałem mówiły sercu. Głębokość i trwałość uczuć, jakiej księżniczkę później zdolną ujrzymy, wzmogły początkową przychylność z przeciągiem czasu w przywiązanie bez granic. Odpowiadając tedy wzajemnością królowi, poświęcała

mu księżniczka całą duszę, na zawsze. A odpowiedź jej wypadła w istocie pomyślnie dla Jakóba. Księżniczka Klementyna została zaręczoną solennie Stuartowi.

Tak szczęśliwym początkom groziło przecież niemałe nadal niebezpieczeństwo. Przeciwne Jakóbowi mocarstwa, zwłaszcza W. Brytania, widziały z niechęcią zamysł jego zaślubin. Dwór austryacki, wspierany od Anglii w świeżo ukończonej wojnie hiszpańskiej, pozostawał w najściślejszym przymierzu z królem Jerzym. Królewicz Jakób Sobieski, tak swojem zamieszkaniem w austryackim podówczas Szlązku, jakoteż swoją familijną zawisłością od dworu cesarskiego, obowiązany był nie postanawiać o ręce córki, bez rady i zezwolenia w Wiedniu. Niezasięgnięcie zdania cesarskiego, wraz z sprzeciwieniem się całą sprawą widokom Anglii naraziły projekt ślubny na gniewny opór Austryi i Anglii. Tak potężna opozycya była w stanie zgruchotać nierównie większe zamiary. Zamysł oblubieńców oławskich, jeśli nie chciał rozbić się o tę skałę, musiał niezwykłej używać ostrożności, musiał najgłębszą osłaniać się tajemnicą. Stąd jeden skromny oddawca listu, Irlandczyk Murray, wierny towarzysz wygnania Jakóbowego, starczył za całą ambasadę swadziebną. Pakiety wiezionych przezeń listów musiały być niegrube, aby w razie potrzeby dały się ukryć z łatwością. Nakoniec uznano za rzecz stosowną,

nie kłaść nawet podpisu w listach. Taka tajemniczość ubarwiła cały stosunek kolorytem romantyczności. Przeszkody zaostrzały moc pożądania. Najżywsze też wzruszenie serca przebija się we wszystkich listach Stuarta. „Jestem uszczęśliwionym“ — pisze on do księżniczki w 6 tygodni po pierwszym liście (3. sierpnia), odpowiadając na otrzymane już przyzwolenie z jej strony — „jestem pełen radości, jaką tylko ty, Pani, wzbudzić możesz, lecz jestem oraz pełen niepokoju i trwogi. To niech maluje Ci stan, w jaki wprawiłaś mię twoim listem, w którym wyczytuję zapewnienie szczęścia mojego. Lecz szczęście to pozostanie tak długo niezupełnem, aż póki nie przyjdzie chwila, w której przy moim boku Cię ujrzę. Nie zwlekaj więc, (zaklinam Cię, o Pani!) dopełnić szczęścia mojego, i ponieważ wszystko, co tylko ma pozór niedoskonałości, byłoby niedogodnem Ciebie, dokończ, coś tak błogo zaczęła. Potrzeba, abyś nietylko zezwoliła na rychły wyjazd, lecz abyś go owszem sama przyspieszyć chciała. Tylko to jedno może uskromić cierpienia twego wiernego sługi i wielbiciela. Przebacz otwartości listu mojego. Pochodzi ona z serca, wylanego dla Ciebie, Pani! A dając ten jedyny raz powodować się prośbą i radą moją, staniesz się na zawsze (że śmiem użyć tego wyrazu) panią swojej własnej i mojej woli...“

Również gorące prośby zasyłał Jakób rodzi-

com. Stało się zadość w niedługim czasie. Mając wzgląd na niepodobieństwo przybycia Stuarta do Oławy, wyjechała królewiczowa Sobieska z córką do Włoch. Podróż odbywała się *incognito*. Miano ominąć Wiedeń. Dla uniknienia uwagi zaniechano wszelkiej wystawności w podróży. Kilku przybocznych dworzan składało całą służbę. „Skromna biała suknia“ — pisze narzeczony do ojca — „dostateczną jest w wielkiej żałobie mojej.“ Wyprawiony naprzeciw damom poufnik Stuartów, niejaki p. de Hay, służył za przewodnika. Sam młody Stuart oczekiwał oblubienicy w Bolonii.

W tem po całotygodniowej przerwie w korespondencyi doszła go wiadomość, iż obiedwie damy zostały powstrzymane w Insbruku. Nie chciano im żadną miarą pozwolić dalej do Włoch. Wracać z wstydem do domu nie chciały damy. Pozostawiono je więc w mieście pod strażą. Wypadek ten nie był zupełnie niespodziewanym. Nie przeszkodziło to przecież, iżby nie zabolał gwałtownie. „Pozwalam ci, Pani, wyobrazić sobie“ — przemawia Jakób w liście do narzeczonej, nazajutrz po otrzymaniu wieści bolesnej — „jak mnie dotknął ten cios. Nie chcę atoli szerzyć tu skarg i lamentów, na których zaprawdę nie zbywa, które przecież ani są godne, aby ci je składać w ofierze, ani w czemkolwiek przyniosłyby Ci ulgę. Tylko tę jedną niech mi wolno będzie zrobić uwagę. Oto teraz właśnie mamy sposobność

okazać, iż obopólnie jesteśmy godni siebie. Okażmyż to naszą nieugiętą stałością i wytrwałością, którą przy łaskawej pomocy niebios złomiemy niewątpliwie wszelkie zawady, stawiane szczęściu naszemu. Serca nasze stworzone są dla siebie. Boskie i ludzkie prawa mówią za nami. Tylko nasza własna małoduszność byłaby w stanie rozerwać, co Bóg złączyć zamierzył. Błagam cię, Pani! więc i zaklinam: bądź stałą! Nie zezwól nigdy na bezowocny powrót do domu. Najmniejsza uległość w tej mierze wszystkoby zniweczyła. A stałością swoją, swoim (że tak powiem) uporem, wszystko pokonasz! Ale czemuż całe brzemię tego smutnego położenia spada na Ciebie samą!... Jeśli mniemasz, Pani! że obecność moja może być użyteczną, racz tylko skinąć! Bedę miał skrzydła, skoro przemówisz. Gdy idzie o przysłużenie się Tobie, niczem trudy, niczem niebezpieczeństwa. I wolałbym być więźniem razem z Tobą, niż panować bez Ciebie..."

„List W. K. Mości" — odpowiada księżniczka w pięć dni później — „przyniósł mi wielką pociechę w smutku. Zatrzymują nas bez przyczyny. Mam przecież nadzieję, iż Bóg nie pozwoli dręczyć nas długo. Bądź więc cierpliwym, Panie! Przedewszystkiem nie narażaj się na daremne niebezpieczeństwa. Księżna matka moja, nie ustąpi w niczem, bądź pewien. Co do mnie, czuję zanadto mocno, iż tu idzie o szczęście moje i honor mój, abym nie miała naśladować jej wytrwałości.

Zresztą i serce moje tak każe. Cokolwiek tedy stanie się, będę upartą do ostateczności i nie oddam ręki mojej nikomu, oprócz w. Król. Mości.“

Wszakże i przeciwnicy umieli być wytrwałymi. Nie pomogły najusilniejsze starania o uwolnienie księżniczek. Napróżno domagały się tego przesłane do Wiednia przedstawienia oblubieńca i ojca. Daremnie udał się Pretendent spiesznie do Rzymu, prosząc papieża o protekcyę. Klemens XI., główny skojarzyciel związku ślubnego, nie omieszkał wstawić się u dworu. Po zasięgnięciu listowych dowodów, iż księżniczka Klementyna z własnej, nieprzymuszonej woli uczyniła Jakóbowi przyrzeczenie małżeństwa i trwa stale w postanowieniu, nastąpiła powtórna odezwa papiezka. Wszelkie atoli zabiegi i przedłożenia pozostały bez skutku. Niewola księżniczek w Insbruku przeciągała się od miesiąca do miesiąca, przez całą zimę, aż do wiosny roku 1719.

W takim składzie okoliczności pozostawała tylko myśl o ucieczce. Powziął ją rychło Pretendent. Już w kilka tygodni po uwięzieniu nadmienił on o tem w liście do narzeczonej. Jednocześnie stanął w Insbruku śmiały powiernik Stuartów, Irlandczyk Wogan, mający wykraść księżniczkę. Ta jednak oznajmiła, iż tylko za zezwoleniem rodziców opuści Insbruk. Rodzice zaś, z bardzo zrozumiałych skrupułów, czynili zrazu trudności. Chodziło więc naprzód o nakłonienie

księstwa obojga. Użył Jakób najusilniejszych ku temu środków. W poufnej audyencyi u papieża Klemensa XI., okazał listy księżniczki, przekonujące o ścisłości zawartych pomiędzy nimi ślubów. Ojciec św. uznał, iż w obec tak solennych z obojej strony zobowiązań się, żadne przeszkody nie powinny utrudniać drogę do błogosławieństwa u stóp ołtarza. Wyszedł zatem w tej myśli jeden nowy list do cesarza, żądający wolności dla narzeczonej; drugi zaś (10 grudnia) do jej ojca, królewicza Jakóba, przedstawiający mu, iż nie tylko nie ma prawa wzbraniać córce drogi do Włoch, lecz owszem ma powinność dopomódz jej do połączenia się jakimkolwiek sposobem z oblubieńcem. Podziękowała za to księżniczka swemu ojcu chrzestnemu Klemensowi XI. (25 grudnia), oddając się jego opiece i ponawiając przyrzeczenia wierności narzeczonemu. To dało powód do listu samegoż papieża (13 stycznia r. 1719) do księżniczki, w którym Ojciec św., obok nader łaskawych upewnień przychylności, utwierdził ją najmocniej w zamiarze dopełnienia coprędzej zobowiązań, będących w istocie, jak list papiezki wyraża się, „takiej wagi, iż uczyniwszy je raz, należy z narażeniem wszystkiego starać się o jaknajrychlejsze przywiedzenie ich w skutek. Co do nas“ — kończy papież — „możesz W. Książęca Mość liczyć na to, iż nie przestaniemy wspierać ją w tej ważnej sprawie całą naszą powagą i usil-

nością, jako tego żądają po nas niezrównane zasługi króla angielskiego około kościoła i religii, tudzież owe niemniej wielkie zasługi, jakie około obojga położył nieśmiertelnej pamięci król Jan III., dziad W. Książęcej Mości.“ — Dopiero tak rozstrzygający głos uchylil wątpliwości rodziców. Przystali oboje na projekt ucieczki córki do Włoch. Siedmnastoletnia heroina tej niebezpiecznej przygody, gotowa poświęcić wszystko dla swoich ślubów, pragnęła jak najspieszniej ulecieć z więzów. Nim jednak przyszło do czynu, zdarzył się niespodzianie wypadek, który ofierze Klementyny jeszcze nierównie wieksza nadać miał wartość.

W czasie jej siedmiomiesięcznego więzienia zaniosło się na wojnę między Hiszpanią a Anglią. Każde przeciwne Anglii mocarstwo starało się o zawiązanie stosunków z Pretendentem. Hiszpania oświadczyła przed całą Europą zamysł przywrócenia go na tron przodków. W tym celu, śród najskrzętniejszych zabiegów o uwolnienie księżniczki, zaproszony został Stuart na dwór madrycki. Czekało go tam nadzwyczajnie świetne przyjęcie, czekała go korona. Młody Jakób nie mógł nie korzystać z pomyślnego zbiegu okoliczności, którym lada zwłoka groziła zgubą. Wszakże niezwłoczne udanie się z Włoch do Hiszpanii oddalało go od kochanki i to właśnie w tej chwili, kiedy ona z narażeniem życia

i czci spieszyła do jego boku. W tak trudném położeniu tylko wspaniałomyślna wyrozumiałość z strony księżniczki mogła ocalić sprawę tronu i serca. Nie wiedząc, czy Klementyna uniesie się tem uczuciem, przebywał oblubieniec najboleśniejszą walkę między obowiązkami polityki a szczerem życzeniem serca. Maluje się ona w niespokojności, z jaką Stuart w długim nieśmiałym liście zapowiada księżniczce (7 lutego 1719) swój wyjazd do Hiszpanii. „Jakże smutną i okropną dla mnie wiadomość“ — opiewa początek listu — „muszę Ci donieść, moja najdroższa Klementyno! I w jakiż sposób potrafię oznajmić Ci, iż w tej właśnie chwili, kiedy Twój ojciec bezprzykładnie szlachetnem postępowaniem daje mi najwyższy dowód heroicznej przyjaźni i wytrwałości — kiedy Ty pełną trudów i niebezpieczeństw ucieczką chciałaś dopełnić miary swoich łask dla mnie — kiedy stałość twoja miała zajaśnieć tak wielkim blaskiem i objawić się w tak czuły i zniewalający mię sposób — że w tejże właśnie chwili opuszczam Cię niejako, porzucam Cię na pozór, aby się w inny prawie świat udać. Oto nowina, której Ci mam udzielić. Zbierz, błagam Cię, całą odwagę swoją, i słuchaj mię z cierpliwością. Nie chcę tu rozwodzić się w rozumowaniach politycznych. Jakoż uwierzysz mi (jestem pewien) na słowo, gdy Ci powiem, iż zostaję pod władzą tak przemocnej i nagłej

konieczności, że nie uledz jej, byłoby zrzec się rozumu. Miłość moja dla Ciebie nie zna granic... Ale jakkolwiek Cię kocham, wolałbym stracić Ciebie, niż stać się niegodnym serca Twojego, nie spiesząc śmiało na stanowisko, które mnie wzywa.— Z takiemto uczuciem poddaję się surowym wymaganiom wypadku, który ma wszelkie cechy romansu, wyjąwszy swoją wielką rzeczywistość...“

Nie mogąc powierzać listowi bliższego wyjaśnienia powodów tak nagłej podróży do Hiszpanii, rozpisuje się Jakób następnie o dalszych szczegółach spodziewanej ucieczki oblubienicy do Włoch. Celem jej podróży ma być Rzym. U granic państwa kościelnego spotka ją pan Murray, ów pierwszy poseł swadziebny do Olawy, mający upoważnienie zaślubić Klementynę w imieniu Jakóba Stuarta. Wszelkie warunki tej prokuracyi służą do zapewnienia bezpieczeństwa, przyszłości i posagu księżniczki. Sporządzony na jej korzyść testament przyszłego małżonka ma zastąpić przynależną z jego strony oprawę wdowią. Jako obrączkę ślubną pozostawia narzeczony księżniczce pierścień, jakiego niegdyś przy podobnymże akcie używał ojciec Jakóba, król Jakób II. Przybywszy do Rzymu obierze sobie księżniczka mieszkanie albo w pałacu swego małżonka, albo w którymkolwiek klasztorze, jako miejscu wolnem od wielu niegodności ceremonialnych. Do usług swoich znajdzie księżniczka w Rzymie

kilka znakomitych pań angielskich, między temi księżnę de Mar, małżonkę jednego z głównych przewódzców sprawy Jakóba, hrabinę de Nithsdail i panią de Hay. Panowie Murray i Wogan mają czuwać nad jej ucieczką i dalszym pobytem we Włoszech. W razie niepowiedzenia się ucieczki, sama tylko przyszłość okaże, co dalej czynić wypadnie. — „Zdaje mi się" — kończy Jakób— „że nie mam nic więcej dodać do tego przydługiego już listu, jak tylko, pożegnać Cię, droga Klementyno! z całą miłością, jaką czuję dla Ciebie, i pozostawić Cię w ręku tej Opatrzności, której i ja z mojej strony powierzam się z ufnością. Twoja niewinność i cnoty Twoje (mam tę pewną nadzieję) otoczą mię błogosławieństwem niebios, na które ja sam nie zasłużyłem. Gdziekolwiek będę, jestem Twoim na wieki. Stałość Twoja będzie moją pociechą; niechże moja wierność będzie wzajem podporą Tobie. Byłem Ciebie posiadał: dość dla mnie szczęścia. Bez Ciebie wielkość, nawet korona byłaby mi ciężarem. Obowiązek nakazuje mi ubiegać się za niemi; w istocie jednakże mają one tylko tyle dla mnie powabu, o ile je z Tobą podzielać mogę. Przebacz temu wylaniu serca, które nie oddycha tylko Tobą, nie kocha jak tylko Ciebie, i tylko u Twoich kolan spoczynek znajdzie — co niebawem (tuszę) nastąpi. Odjeżdżam za chwilę, i żegnając

Cię jeszcze raz, błagam, zaklinam Cię: spiesz czemprędzej do Rzymu i ufaj mojej miłości.“

Potrzeba było zaiste tak czułych słów, aby pokrzepić serce księżniczki. Obarczyły ją bowiem młodą, prawie jeszcze dziecinną, ciężkie smutki i przeciwności, zdolne dojrzalszą rozbroić duszę.— Coraz ściślejszy związek z świetnem, ale nieszczęśliwem imieniem doprowadził ostatecznie do potrzeby narażenia się na dwuznaczną, trudną przygodę. W chwili przygotowań do tej ofiary przedmiot, dla którego ponieść ją chciała księżniczka, znikał jej z oczu. Wszystkie niebezpieczeństwa tej ucieczki, podjętej przez 17 letnią dziewczynę, samą jedną śród obcych ludzi, wystawioną na długie trudy, na możność śmiertelnych zniewag, nie miały nawet tej jedynej nagrody, iżby ją nakoniec zaprowadziły w dom oblubieńca. Ustały nawet listy od niego, ustały wieści o nim. Wszelkie widoki osobistego z nim połączenia rozpływały się w cale mglistą niepewność. Owszem, nie obeszło się bez złośliwych pogłosek, utrzymujących za rzecz pewną, iż zaręczyny z Stuartem w nic się obrócą. ile że narzeczony przed swoim wyjazdem do Hiszpanii rozkochał się w Bolonii, w córce możnego domu Caprara, i miał już nawet układać się o jej rękę. Ledwie wyraźne w tej mierze, zaprzeczenie, uczynione przez oblubieńca w jednym z poprzednich listów do ojca narzeczonej, niejaką sprawiło ulgę.

i trwał ten smutny stan niepewności przez długie trzy miesiące. Żaden przecież z tych wielu dni nie zachwiał stałości Klementyny. Codziennie oczekiwano przybycia tajnych wysłańców Jakóbowych, mających uwieźć skrycie więźnia pięknego. Różne przeszkody nie dozwoliły im zgłosić się prędzej w Insbruku. Musimy zapoznać się z nimi bliżej.

Jeszcze przed półroczem zlecił był Pretendent (jak wiemy) swojemu towarzyszowi wygnania, p. Wogan, sprawę uwolnienia księżniczki. Ówczesny opór rodziców nie odjął nadziei dopełnienia później życzeń królewskich. Tymczasem zwidzał Wogan z kolei różne dwory książęce, szukając pomocników do swego trudnego a zwłaszcza podrzędnym sprawcom srodze niebezpiecznego dzieła. Znalazł on ich wreszcie w Alzacyi, w poblizkiem Strasburgowi miasteczku Szelstadt, pomiędzy oficerami francuskiego pułku Dillon, rodowitymi Irlandczykami. Byli to kapitanowie Toul, Misset i major Gaydon, autor pamiętnika o ucieczce księżniczki, z którego głównie wiadomości nasze czerpiemy.[8]) Ponieważ ułożony przez nich plan przedsięwzięcia wymagał spólnictwa dwóch kobiet, więc wciągniono w spisek małżonkę jednego z kapitanów, panią Misset, która przybrała do pomocy swą pokojowę. Wszyscy byli całą duszą oddani sprawie Stuartów, a myśl, iż zręcznością i odwagą swoją przysłużą się swemu pra-

wemu monarsze, przyczynią się do ustalenia prawej dynastyi, do przyszłego dobra ojczyzny i religii, nadawała całemu dziełu nieskończenie wielkiej w ich oczach wagi. Dobre podówczas porozumienie Anglii z Francyą i państwami Rzeszy niemieckiej nakazywało wszędzie największą tajemnicę. Przedewszystkiem chodziło o przyzwolenie rodziców. Skoro tego w opisany powyżej sposób dopięto, zażądali powiernicy Stuartowscy od ojca narzeczonej w Oławie naprzód formalnego upoważnienia i pełnomocnictwa do uwiezienia córki, a zarazem listów do księżniczki i matki, zalecających posłuszeństwo radom głównego kierownika projektu, p. Wogan. Po nadejściu żądanych pism z Oławy wyprawił je Wogan do Insbruku, wraz z zapytaniem, kiedy dzieło wykonane być ma. Poczem całe grono sprzysięgłe wyruszyło (6. kwietnia) różnemi drogami i pod różnymi pozory z Szelstadu do Strasburga, gdzie miano czekać odpowiedzi z Insbruka. Jakoż po dniach dziesięciu przybył w istocie list od p. de Chateaudoux, poufnika księżniczek w Insbruku, wzywający jak najrychlej na stanowisko. Sprawiwszy sobie tedy mocny berliński powóz, za opatrzywszy go w wszelkie przybory stosowne, wybrano się ostatecznie w podróż ku górom tyrolskim. Dla ostrożności rozdzielili się wszyscy sześcioro w kilka pomniejszych grup. Kapitan Misset jechał zwyczajnie przodem, w towarzy-

stwie kamerdynera Stuartowskiego, imieniem Mitchel, obaj za kupców włoskich przebrani. Major Gaydon uchodził w paszporcie za hrabiego de Cernesse, pani Misset za jego żonę, pokojowa za jej siostrę, a kapitan Toul towarzyszył hrabiemu jako rządca dóbr jego. Wogan, mogący najprędzej obudzić podejrzenie, podróżował pospolicie z osobna. Wybierano zwykle różne popasy i noclegi, a zjechawszy się przypadkowo na jednej stacyi, udawano, że się nie znają. W ten sposób przybyli wszyscy po tygodniowej podróży w granice tyrolskie, do pierwszego prowincyi tej miasteczka, Nazaretu. Kapitan Misset i Michtel pospieszyli przodem do poblizkiego Insbruku, uwiadomić tamże p. Chateaudoux o przybyciu orszaku. Co uskuteczniwszy, wyjechali obaj o trzy dalsze stacye pocztowe do wioski Brenner, leżącej na szczycie góry tegoż nazwiska, i zatrzymali się tam pod pozorem słabości, aż do spodziewanego przybycia reszty towarzystwa z księżniczką. Tymczasem główny korpus przysięgły w Nazarecie, powziął wiadomość z Insbruku, iż księżna-matka pragnie jeszcze odroczenia dzieła o jeden dzień, tj. do czwartku 27. kwietnia. Byłoto bardzo zrozumiałem życzeniem serca macierzyńskiego, pragnącego bogdaj kilku godzinami opóźnić ostatnie pożegnanie się z córką, przeznaczoną do przebycia ciężkiej, może śmiertelnej drogi. Mimo coraz groźniejszego w takiem pobliżu niebezpie-

czeństwa, dozwolono matce tej ostatniej pociechy a wynikłej stąd zwłoki użyto do oswojenia pokojowej pani Misset, Joanny, z rolą, jaką miała odegrać. I oto, podczas gdy w więziennym domu insbruckim, srodze stroskana matka, nie mogąc nawet okazać żalu po sobie, prawdopodobnie nazawsze rozstawała się z córką — w gospodzie w Nazarecie przyjaciele księżniczki musieli w zabawny sposób łudzić wiejską dziewczynę, mającą nieświadomie dopomódz do jej ucieczki. Aż dotąd wiedziała Joanna tylko tyle, iż dla pewnych, nie znanych jej bliżej przyczyn, ma przedstawiać siostrę swej pani. Czyniła ona to nie bez ochoty, z wyjątkiem chwilowych niekiedy narowów, które natychmiast ustępowały, skoro ją rozśmieszono. Teraz jednakże, wymagając od niej należytego znalezienia się w chwili stanowczej, wypadało koniecznie oświecić ją pozornie względem celu tej maskarady. Udano więc przed nią, iż chodzi tu o wykradzenie młodziutkiej a niezmiernie bogatej panny, z rąk starego srogiego wuja, zmuszającego ją do oddania ręki innemu sześćdziesięcioletniemu, szkaradnemu starcowi. Panna przeciwnie kocha się w swoim dawnym znajomym, kapitanie Toul, i za tajnem przyzwoleniem ciotki, u której mieszka, postanowiła uciec z nim. Nie może atoli dokonać tego inaczej, jak tylko zostawiając w nocy kogoś innego, tj. właśnie Joannę, na swojem miejscu. Za to przyobiecano jej

zabezpieczenie losu na całe życie, przedstawiono biednej dziewczynie w tak jaskrawych kolorach niebezpieczeństwo wszystkich jej towarzyszów, zagrożonych utratą gardła w razie rozbicia się projektu, iż poczciwa Flamandka na wszystko zezwoliła. Zaczem ubrano ją natychmiast w bogatą adamaszkową suknię, pani Misset zaczesała ją z pańska, a Wogan dał jej otwarty list pod adresem pana de Chateaudoux, w którym była prośba o zajęcie się losem Joanny i nadesłanie jej w swoim czasie za panną uwiezioną.

Z tymże samym poufnikiem księżniczek w Insbruku porozumiano się ostatecznie z Nazaretu względem godziny i miejsca, w których orszak poufny stawić się miał na placu. Zdążał on do tegoż miasta, rozciągającego się po obudwóch wybrzeżach Inu, od lewej strony rzeki. Więzienie księżniczek leżało o dwa tysiące kroków od Inu, po prawej stronie. Pośrednicząca pomiędzy niemi okolica mostu na Inem miała być głównem stanowiskiem sprzymierzeńców. Ósma godzina wieczorem była oznaczonym czasem przybycia. Wysłany naprzód Toul wynalazł w pobliżu mostu cichą, ustronnę gospodę „pod Barankiem“ i w jej bramie wyglądał znanej berlinki. Ne moście miał czekać służący p. de Chateaudoux, aby natychmiast uwiadomić go o przyjeździe. Około ósmej godziny nadjechała w istocie berlinka z pp. Wogan i Gaydon i obudwoma

damami. Na widok Toula kazano pocztylionowi zajechać „pod Baranka“. Pani Misset i jej siostra mniemana wysiadły szybko z powozu i wbiegły do wskazanego sobie pokoju na pierwszym piętrze. — Joanna pod pozorem strasznego bolu zębów rzuciła się zaraz na łóżko, zasunęła gruby welon na twarz i oświadczyła, że nie chce ani jeść ani pić. Tymczasem mężczyźni krzątali się napróżno około mostu, oglądając się za panem Chateaudoux. Jego służący nie stanął w swoim czasie na zwiadach, przeco wiadomość o przybyciu orszaku doszła do więzienia księżniczek o dwie godziny później niż należało. Dopiero około jedenastej godziny w nocy pojawił się p. Chateaudoux. Zetknąwszy się z nim, usłyszeli sprzymierzeńcy z nieprzyjemnością, iż księżna-matka prosi jeszcze o odwleczenie projektu do 4 godziny z rana. Niepodobna było zgodzić się na to. Musiał więc p. Chateaudoux przystać w imieniu księżny na natychmiestną ucieczkę. W tym celu sprowadzono biedną Joannę na most, i podczas gdy mniemani hrabstwo de Cernesse pozostali w stancyi na górze, gdy Toul pilnował na dole, ażeby bramy oberzy nie zamykano, Wogan z p. Chateaudoux i Joanną, prowadzoną przez służącego, udał się ku więzieniu księżniczek.

Było już blizko północy. Po cichym wiosennym wieczorze zaczął nadzwyczajnie gęsty śnieg

padać. W pół drogi do mieszkania księżniczek, w wązkim poprzecznym zaułku, kazał p. Chateaudoux zatrzymać się. Nie mając odwagi widzieć się w tej chwili z samą księżniczką, napisał do niej bilet, oznajmiający w dwóch słowach, iż teraz albo nigdy pora uciekać. Gdy drżący z wzruszenia Francuz wyprawiał służącego z biletem, Wogan miał nowy kłopot z Joanną. Zasłyszała ona przypadkiem słowo „księżniczka," które ją niepokojem przejęło. „Jużci nie może być" — ozwała się nieboga do towarzysza — „aby księżniczki dla p. Toul wykradać się pozwalały. Musi więc zachodzić w tem jakiś sekret." Zafrasowany Wogan wsunął jej czemprędzej znaczny podarek w rękę, który na szczęście wcale inny kierunek jej myślom nadał. Odtąd bowiem troszczyła się tylko pytaniem: co ma sobie kupić za te pieniądze? Musiał i Wogan wesprzeć ją swoją radą w tej wątpliwości. Tymczasem wrócił służący z odpowiedzią księżniczki, oświadczającej gotowość swoją. Wziął tedy Francuz Joannę spiesznie pod ramię i pożegnał Wogana prośbą, aby tu czekał księżniczki. Niebawem zniknęli wszystko troje w kierunku mieszkania więziennego, a Wogan pozostał sam w uliczce.

Mimo burzy i śniegu świeciła jasno gwiazda księżniczki. Samo niebo ułatwiało ucieczkę. Nagła zawierzucha spadła zasłoną na oczy przeciwników Czuwająca przed domem więziennym straż, która

nigdy przedtem nie uchylała się z bramy, teraz w dogodniejsze skryła sią miejsce. W taką burzę i o tak późnej porze wszelka ostrożność zdawała się zbyteczną. Nadto, miano właśnie zamykać bramę na noc. Postrzegł to był służący pana Chateaudoux, wyprawiony z owym biletem do księżniczki, i uwiadomił ją o tem. Zdecydowana do korzystania z chwili księżniczka, gotowa była użyć innego środka ucieczki, gdyby tymczasem bramę zawarto. Przedsięwzięła w takim razie uciec ogrodem, przez mur, za pomocą drabinki. Chcąc się jednak sama przekonać czy wyjście główne jeszcze wolne lub nie, zbiegła na schody. Postrzegłszy ztamtąd pana Chateaudoux z Joanną w otwartej bramie, cofnęła się czemprędzej. Pozostawało tylko pożegnać się jeszcze z matką. Rozstanie to nie mogło trwać nad chwilę. Jedno spieszne błogosławieństwo musiało zastąpić wszelkie łzy, wszelkie słowa. W oka mgnieniu wróciła księżniczka na schody, do czekającej już tam Joanny. Stłumiona boleść rozstania malowała się tem wymowniej na obliczu pięknej uciekającej. Widok ten rozrzewnił poczciwą Joannę. Przywdziewając księżniczce swoją zroszoną śniegiem odzież, ucałowała ją serdecznie, prosząc, aby się nie martwiła. „Pojedziesz“ — rzekła litośnie — „z bardzo grzecznymi panami i zacną panią, którzy nie dadzą ci krzywdy zrobić.“ — Po tych słowach została Francuzka zamiast księżni-

czki wprowadzoną na pokoje więzienne a przebrana córka książęca była już za bramą, na ulicy.[9])

Za chwilę, o pierwszej godzinie po północy, śród zawierzuchy śnieżnej, nadeszła ku Woganowi szybkim krokiem jakaś postać kobieca. Pod jej popielatym płaszczem, zapuszczonym welonem, strojem Joanny, mogła dla niego kryć się zarówno księżniczka ocalona, jakoteż w razie spełznienia projektu, powracająca Joanna. Z niewypowiedzianą uciechą poznał Wogan księżniczkę. Tajemniczość chwili wzbraniała wszelkich oznak radości, wszelkiej rozmowy. W milczeniu pospieszono dalej, ku oberży za mostem. Ciężkie, przemokłe od ciągłego śniegu odzienie, również ciężki, bo pięciu do sześciu niepróżnemi kieszeniami zaopatrzony fartuszek podróżny, wreszcie gruba warstwa śniegu pod stopami, utrudniały krok każdy. Usłużność przewodnika Wogana, który czy to skutkiem krótkiego wzroku czy zbytniego zaprzątnienia umysłu, błyszczące plamy roztopionego śniegu brał za białe kamienie i ustawicznie w wodę naprowadzał księżniczkę, nie wielce także ułatwiała przeprawę. Osiągnięto przecież szczęśliwie most przy oberży. Tam musiał Wogan opuścić księżniczkę na krótką chwilę, aby przodem do oberży pobiegłszy, zapewnić się, iż wnijście do niej jest wolne. „I oto po raz drugi“ — zdumiewa się pamiętnik — „widzimy księżniczkę, samą, śród nocy, na ulicy, znużoną przykrym

chodem, wystawioną na całą okropność burzy zimowej!“ Na szczęście wrócił wkrótce przewodnik i wprowadził ją bezpiecznie pod dach oberży, do ubogiej stancyjki na pierwszem piętrze, gdzie po spiesznem zdjęciu z niej ciężkiego, przemokłego odzienia, całe wzruszone towarzystwo, w milczącem uniesieniu radości, padło na kolana przed swoją młodocianą królową....

Za kilka minut, około drugiej godziny po północy, zabrzmiała trąbka pocztarska i pędziła już z miasta gościńcem ku Weronie, uprzężona czwórką berlinka, a w niej: pani Misset z księżniczką w głębi, panowie Gaydon i Wogan na przedzie, szczęśliwy zaś (zdaniem Joanny) kochanek synowicy srogiego wuja, kapitan Toul, z pocztylionem na koźle. Za miastem przypomniano sobie toaletę księżniczki z klejnotami, nadesłaną za nią do oberży przez księżnę-matkę a w pospiechu wyjazdu pozostawioną gdzieś na uboczu. — Toul skoczył czemprędzej na koń, wrócił cwałem do miasta i znalazłszy toaletę na swojem miejscu, przywiózł ją wkrótce nazad. Ten traf szczęśliwy wzięto za pomyślną wróżbę dalszej wyprawy. Na pierwszej stacyi przyprzężono nową parę koni, a nad rankiem stanęła berlinka o sześć mil od Insbruku u szczytu góry Brenner, gdzie od dni kilku, pod pozorem słabości, czekali Misset i Mitchel. Tam przy zmianie koni pocztowych, wytężone dotąd siły księżni-

czki zawiodły ją na chwilę. Chcąc cokolwiek wypocząć, zemdlała na ręku pani Misset. „Wszelkie okropności śmierci“ — opowiada autor Pamiętnika — „przeszyły nas na ten widok.“ Za użyciem jednak kropel trzeźwiących ocuciła się wnet księżniczka, aby natychmiast dalszą rozkazać podróż.

Byłto w całej podróży jedyny znak słabości ze strony Klementyny. Usprawiedliwiały go dostatecznie wrażenia nocy minionej, zupełny brak snu, trud ciągłej jazdy, nakoniec odmówienie sobie wszelkiego z rana posiłku, jako w piątek, dzień postu. Zresztą okazała się nasza siedmnastoletnia heroina godną we wszystkiem bohaterskiego imienia, jakie nosiła. Nie zatrwożyły ją na chwilę samotność, burza nocna, możność popadnięcia w ręce surowych prześladowców. Żaden przypadek chwilowy, jak np. owa strata szkatułki z klejnotami, nader przykre później uszkodzenie powozu, nie zachwiał jej spokojności. Niebezpieczna gdzieniegdzie jazda wzdłuż przepaścistych brzegów Adygi, nabawiająca śmiertelnej trwogi panią Misset, służyła księżniczce z tegoż powodu za niejaką rozrywkę, rozweselającą ją widokiem śmiesznych symptomatów przestrachu towarzyszki — pobudzającą ją później do niewinnych z niej żartów. Przyszedłszy teraz z omdlenia swego do siebie, wszczęła księżniczka krótką rozmowę z swoimi milczącymi dotychczas

wybawcami. Ośmieleni jej uprzejmością, zdumieni rzadką w tak dziecinnym wieku determinacyą, nie mogli oni wstrzymać się od wynurzenia swego podziwu. „Co W. K. Mość uczyniłaś dzisiaj dla króla, pana naszego“ — rzecze major Gaydon w imieniu reszty — „zapewnia jej nieśmiertelną chwałę w rocznikach świata. Przed wielką duszą W. Król. Mości upadną w proch wszelkie zawady i przeciwności, jakie dotąd stały w drodze królowi, panu naszemu. Wasza król. Mość będziesz zbawieniem i rozkoszą dni jego.“

Jakoż wysilali wierni słudzy domu Stuartów wszelką swoją gorliwość, aby uwieźć nieuszkodzenie tak drogi skarb. Właściwa owemu czasowi przesada ceremonialności i dworactwa posuwała tę ich niezmierną troskliwość aż do śmieszności. Połączone z nią zbyteczne przyjęcie się wielkością dzieła swojego przynosiło znaczny uszczerbek męskości i przytomności samychże sprawców. Ów Francuz Chateaudoux nie mógł dla zbyt wielkiego wzruszenia znieść w stanowczej chwili widoku uciekającej księżniczki. Irlandczykowi Woganowi, z podobnejże przyczyny, błyszcząca woda kałuży wydawała się raz po raz białymi kamieniami. W nocy, gdy księżniczka i pani Misset zadrzemały w powozie, każde potrącenie się ramion porażało towarzyszów przestrachem, aby nie ucierpiała na tem całość „Trzech zjednoczonych królestw.“ — „Mieć oś złamaną i być odpowiedzialnym

za bezpieczeństwo królewny, której losy obchodzą całe chrześcijaństwo!" — woła major Gaydon w swym Pamiętniku. — Temci nadobniej odbibijała od takich uniesień śmiałość księżniczki — śmiałość żywego, swobodnego, wkrótce nawet wesoło igrającego dziecka, jedynej naiwnej duszy w tem towarzystwie.

Na szczęście ochraniała ją opatrzność od zbyt ciężkich doświadczeń. Jak samo wyjście z murów więziennych, tak i wszystkie dalsze przygody tej podróży odpowiadały swą łagodnością młodocianemu wiekowi bohaterki. Dzięki łaskawej opiece niebios, do których tyle modłów wznosiło się z różnych stron za księżniczką, kilkudniowa ucieczka, grożąca w zamyśle tysięcznemi niebezpieczeństwy, stała się w rzeczywistości zabawną, wcale nieszkodliwemi przygodami urozmaiconą przejazdką. Największą niedogodność sprawiła jednoczesna podróż Margrabiny Badeńskiej, która tymsamym gościńcem, tylko o trzy stacye pocztowo przodem, jechała dworno do Włoch. Z tej przyczyny dostawały się naszym podróżnym na każdej stacyi pomęczone już konie, a często nie można było żadnych otrzymać. Z tem wszystkiem ubieżono do 15 mil dnia pierwszego. Nazajutrz rano dwaj z towarzyszów, Toul i Misset, pozostali umyślnie z tyłu, w miasteczku Welsch Milik, przed Trientem, aby pilne mieć oko, czy nie będzie przejeżdżał z Insbruku jaki kuryer,

który na wypadek przedwczesnego tamże wykrycia się ucieczki mógłby wieźć rozkaz powstrzymania księżniczki w drodze. W takim razie miała pozostawiona czata przeszkodzić kuryerowi w dalszej pogoni. I w istocie, podczas gdy drużyna uciekająca spieszyła po południu z Trientu do Roveredo, zajechał do gospody w Welsch Milik przejeżdżający z Insbruku goniec z depeszami do komendanta Trientu. Lubo nie znając właściwej treści depesz, wszczęli Toul i Misset natychmiast pogadankę z kuryerem, który srodze znużony, rad był chwilce spoczynku. Od słów przyszło do szklanek, a gdy po kilku butelkach kuryer ozwał się z prośbą, aby mu wody dolewano do wina, dolewano mu wódki natomiast. Wkrótce usnął na placu, a czuwającym nad nim przyjaciołom pozostała tylko troska zbyteczna, aby się nie obudził zawcześnie.

Tymczasem księżniczka ujeżdżała wieczorem z Roveredo ku Ali. Bawiono ją żartobliwą rozmową o zaletach berlinki, która całą przestrzeń z Strasburga aż potąd bez najmniejszego przebyła szwanku. W tem łamie się jedna część osi. Musiano wysiąść. Wogan z Mitchelem zajęli się naprawą. Gaydon i pani Misset uprowadzili księżniczkę na łąkę, ku jakiejś wiosce. Chęć napicia się mleka zwabiła ją do sioła. Dzwoniono tam właśnie na modlitwę wieczorną. Nie było mleka, lecz natomiast weszła księżniczka do kościółka

wiejskiego i padła na kolana. Po skończonej modlitwie przybył Wogan oznajmić, iż koło naprawione.

Nadwerężenie berlinki i pomęczone konie nie dozwalały pospieszać. Na szczęście zbliżano się już do ostatniej stacyi przed granicą rzeczypospolitej weneckiej, kresem wszelkiej obawy. „Wtedy“ — pisze major Gaydon w swym Pamiętniku — „o jedenastej godzinie w nocy wydarzył się przypadek, który miał tem głośniej rozsławić imię księżniczki w dziejach.“ Złamała się druga część osi. Powóz wywrócił się. Księżniczka spała tak mocno, że nie czuła wcale wywrotu. Wogan wziął ją na ręce i ustąpił z nią na bok. Widząc jakiś biały kamień przed sobą, postawił na nim księżniczkę. Dopiero nagłe wzdrygnięcie się śpiącej oświeciło go, że ją znowu w wodę wprowadził. „Gdzie mama?“ — były pierwsze słowa księżniczki, wymówione jeszcze pół we śnie. Po zupełnem ocuceniu się wypadło dojść piechotą do stacyi. Kosztowało to pół godziny przykrego chodu, nocą, w wilgoci. „Ale podczas gdy my“ — pisze Gaydon — „oddawaliśmy się smutkowi, królewna żartowała sobie z tych fraszek.“

W miasteczku Ala, dokąd po północy nadciągnął powóz złamany, okazało się, iż naprawa potrwa do rana. Będąc o półtory mili od granicy, nie chciano narażać się na taką zwłokę. Groziła ona tem prawdopodobniejszem niebezpieczeństwem,

ileże Toul i Misset, czuwający jeszcze nad swoim spiącym kuryerem, nie połączyli się dotychczas z towarzystwem, a zatem musieli zapewne spotkać się z jakąś poszlaką. Najęto więc prosty wózek — najlepszy, jaki można było dostać w miasteczku — wyścielono go poduszkami berlinki, i wsadzono nań obie damy. Panowie Gaydon i Wogan szli pieszo obok. Mitchel pozostał przy berlince, która nazajutrz rano miała przybyć za towarzystwem. Ponowiona przedtem przechadzka, w połączeniu z przeszło dwudniowem unużeniem, złożyła księżniczkę na nowo snem głębokim. Obudził ją z niego dopiero głośny okrzyk radości, gdy wózek o pół do czwartej z rana przejechał linię graniczną.

O godzinie piątej stanęła księżniczka w pierwszem miasteczku weneckim Peri. Powitało ją tam ranne dzwonienie na mszę. Usłyszawszy je, porzuciła drużyna wędrowna swoją tyrolską dorożkę na środku miasta i udała się do kościoła. Po złożeniu gorących dzięków niebiosom znaleziono oberżę i pozwolono sobie spoczynku.

W ciągu dnia połączyli się z towarzystwem Mitchel z naprawioną berlinką i Toul z Missetem. Byłato trzecia doba od ucieczki z Insbruku. Dwa dalsze dnie zaprowadziły wszystkich spokojną, lecz zawsze jeszcze pod przybranem nazwiskiem odbywaną podróżą, w granicę państwa kościelnego, do Bolonii, najbliższego kresu podróży. Po na-

rzeczonym, którego księżniczka nie miała zastać we Włoszech, najciekawszym dla niej widokiem w Bolonii był widok owej córki domu Caprara, którą złośliwe doniesienia mieniły jej rywalką. Przyjąwszy powitalne odwiedziny kardynała legata bolońskiego, zwiedziwszy *incognito* główne kościoły i klasztory, kazała księżniczka zaprowadzić się do pałacu Caprara. Marszałek domu okazywał z osobliwszem upodobaniem liczne znaki zwycięzkie, odniesione przez jednego z przodków rodziny w wojnach z Turkami. Księżniczka chciała przedewszystkiem widzieć portret panny Caprara. Żywy rumieniec oblał jej lica, gdy nań okiem rzuciła. Towarzysze księżniczki spojrzeli po sobie z zadziwieniem. Nikt z nich nie wiedział, co to znaczy.

Dopiero po przebyciu granicy weneckiej przez księżniczkę rozgłosiła się w Insbruku jej ucieczka. Ów kuryer w Welsch Milik wcale inną wiadomość utopił w rozpuszczanem gorzałką winie. Przez całe dwie pierwsze doby po ujechaniu księżniczki utrzymywała księżna matka (za pomocą Joanny) wszystkich w mniemaniu, iż córka — chora. Trzeciego dnia oznajmiono, że księżniczka dla dopełnienia ślubów kościelnych oddaliła się potajemnie do swego męża. [10]) Wynikłe stąd dla rodziców przykrości zmusiły królewicza Jakóba do opuszczenia Olawy. [11]) Udał się wkrótce do Polski i zamieszkał długi czas w Częstochowie. [12])

Wtedy księżniczka Klementyna żyła już z mężem w Rzymie. W kilka dni po jej przybyciu do Bolonii zjechał tam z Rzymu pan Murray, przeznaczony do zaślubienia księżniczki w imieniu króla. Nastąpiło to dnia 9. maja, w dziesięć dni po opuszczeniu Insbruku. — Z przyczyny ciągłego *incognito*, które księżniczka mimo nader gościnną uprzejmość władz papiezkich, mianowicie bolońskiego kardynała legata Origo, najściślej zachowywała, odbył się ten obrzęd w wszelkiej cichości. O siódmej godzinie zrana udała się oblubienica w skromnej białej sukni, w towarzystwie pani Misset, do najbliższego kościoła, i rzuciła się tam do stóp konfesyonału. Za powrotem do domu weszła na salę, gdzie całe zgromadzenie czekało z uszanowaniem. Byli tam p. Murray z umyślnie na to przywiezionym kapłanem angielskim, niejaki margrabia Monti w imieniu ojca księżniczki, Wogan w imieniu króla, wreszcie całe grono podróżne, któremu łaskawie dozwolona obecność przy tym akcie stała za najmilszą nagrodę trudów przebytych. Po odczytaniu prokuracyi i zezwoleniu w imieniu pana młodego, zapytał kapłan Klementynę, jeśli także zezwala? „Mogę upewnić“ — pisze Gaydon — „że Gracye przez usta jej przemówiły, gdy te słowa wyrzekła.“ — Błogosławieństwo kapłańskie dopełniło ceremonii.

W tydzień później stanęła księżniczka w Rzymie, w klasztorze Urszulinek, [13]) swojem tymcza-

sowem mieszkaniu. Powitano ją nad Tyberą medalem, wybitym na pamiątkę szczęśliwego oswobodzenia. Po jednej stronie umieszczone było popiersie księżniczki, z napisem: *Clementina, Magnae Britanniae, Franciae, Scotiae et Hiberniae Regina*. Po drugiej ozdobny rydwan, uprzężony czterą bystrymi rumakami, pod wodzą Klementyny, w pędzie ku widniejącemu zdala Miastu Wiecznemu.. U góry napis: *Fortunam causamque sequor*. (Spieszę za szczęściem i słusznością.) U spodu: *Deceptis custodibus*. A. 1719. [14]) Medal ten był tylko początkiem zaszczytów, jakie księżniczkę tak ze strony papieża, jakoteż całego ludu rzymskiego obsypały niebawem w stolicy apostolskiej. Łaskawe posłuchanie o Ojca św., odwiedziny najdostojniejszych osób, pielgrzymki po miejscach świętych, skróciły porę oczekiwania króla z Hiszpanii. Nadpłynął on z końcem sierpnia, na dwóch statkach hiszpańskich, które zawinęły w Liworno. Księżniczka wyjechała naprzeciw niemu do Monte Fiascone. Biskup dyecezalny połączył ich tam nowem w imieniu papieża błogosławieństwem. Pod koniec października przybyli oboje małżonkowie do Rzymu i zajęli przygotowany sobie pałac na placu Sant' Apostoli. [15])

W jego to murach zamknęły się odtąd dnie Klementyny. Droga do Anglii, na tron, stawała się coraz wątpliwszą. Natomiast zwróciła Klementyna w inną stronę swe myśli. Córka pobożnego

ojca, który codziennie po kilka mszy św. słuchał, któremu klasztor na Jasnej górze Częstochowskiej za najmilszy służył przytułek, oddała się młoda królowa wyłącznie życiu bogobojnemu. Matka dwóch synów, z których jeden później przez kilkanaście miesięcy miał z orężem w ręku panować w Szkocyi a zatrząść całą Wielką Brytanią, mniemała ona zupełnem zrzeczeniem się wszelkiej wielkości światowej, wszelkich rozkoszy ziemskich, uskarbić je u nieba dla swoich dzieci. Stąd ciągła przez dalsze lata samotność, ciągłe modlitwy i posty, kilkokrotna co tygodnia komunia św., coroczne na dłuższy czas rekollekcye klasztorne. Zjednała ona sobie tem najwyższą cześć dworu apostolskiego, powszechne uwielbienie ludu. — „To święta!“ — wołały zakonnice klasztoru św. Cecylii, [16]) chwilowego przybytku młodej królowej, gdy małżonek przybył ją tam odwiedzić. „To święta!“ rozchodziło się daleką aż do Polski pogłoską. [17])

Niebawem zabrzmiały te słowa nad jej grobem. Już kilka lat surowego skruszenia duchowego położyły koniec żywotu. [18]) Umarła Klementyna dnia 18. stycznia roku 1735, przeżywszy lat 33 i 6 miesięcy. Niezmierna żałość ogarnęła całą stolicę. Przez resztę żałobnego tygodnia zamknięte były wszelkie widowiska publiczne, spoczywały wszelkie rozrywki, milczał Rzym cały. Dla tem większej okazałości pogrzebu zdjęto nieboszczce

habit dominikański, który sobie przywdziać kazała, a obleczono ją w szaty królewskie. W koronie, z berłem w ręku, spoczęła nazawsze w podziemiach św. Piotra. [19])

We dwa lata później (19. grudnia 1737) spoczął jej ojciec w Żółkwi. Jedenastą laty wcześniej (22. lipca 1726) poprzedził go tam do grobu średni z braci, Konstanty. Wszyscy trzej zeszli bez potomka po mieczu. We trzy lata po zgonie królewicza Jakóba, ze śmiercią ostatniej z jego córek, Karoliny księżny de Bouillon, zmarłej w Żółkwi r. 1740, nie stało nawet żeńskich potomków. [20]) Nie było już nikogo ze krwi króla Jana III, coby nosił imię Sobieskich. W przeciągu jednego wieku zajaśniał ten ród w oczach świata i zgasł. Wielcy dziadowie rozsławili go blaskiem oręża; pobożna wnuka przyozdobiła jego zachód aureolą świętości.

Przypiski.

Po opisaniu każdego mniej znanego wypadku historycznego cięży drugi na opisywaczu obowiązek: wykazać, skąd wie, co opowiedział. Bez tego — nie straci zapewne opowiadanie jego na wartości u takich czytelników, którzy jedynie ciekawość podrażnić pragną, lecz straci za to tem więcej u tych, którzy prawdy szukają. A ponieważ ci właśnie, choćby ich było nader niewielu, są głównym przedmiotem uwagi każdego sumienniejszego pisarza; więc jekkolwiek publiczność lekce sobie waży, albo nawet gotowa mieć za złe, iż lada rozprawce historycznej, lada pobieżnej wycieczce na pole dziejów przyczepiany bywa długi tabor bagażów przypiskowych: on przecież gwoli czystemu sumieniu musi chcąc niechcąc wlec go za sobą i przy każdej nowszej lub zapomnianej wzmiance powinien zdać sprawę ze swego źródła.

[1]) *Gazette de France (Recueil de Nouvelles ordinaires et extraordin.)* Paris 1717. p. 72. *Marie Casimire de la Grange d'Arquien, Reine Douairiére de Pologne, mourut subitement a Blois le* 30 *du mois dernier* (stycznia) *agée de* 77 *ans.*

[2]) *Neuvermehrtes Historisches und Geographisches Lexicon. Basel* 1744. *fol. V.* 429. Królewicz Jakób wypożyczył cesarzowi Leopoldowi sumę, zapewnioną przez siebie żonie na wypadek jej owdowienia, i otrzymał za to od czsarza miasto Olawę z przyległem powiatem jako zastaw, w którym zwykle przemieszkiwał,

³) *Memoires de la Vie de Mylord Duc D'Ormond. A la Haye* 1737. II. 53. 92.

⁴) Tamże II. 91. Autor, książę D'Ormond, jeden z najpotężniejszych stronników Stuartowych, niegdyś za królowej Anny wszechwładny w Anglii, później wygnany z ojczyzny i w najściślejszych stosunkach z Pretendentem żyjący, znał tem dokładniej całą dotkniętą tu sprawę, ile że on sam swatał Pretendenta z kim innym, z córką Piotra Wielkiego. Z którejto przyczyny, widząc w Klementynie przeszkodę do swoich zamysłów politycznych, był on jej zawsze przeciwnym i surowo w swojem dziele ją sądzi.

⁵) *Memoires de la Vie de Mylord Duc D'Ormond.* II. 128. *„De Roi qui aimoit infiniment cette Princese."*

⁶) Wymieniony na czele szkicu niniejszego rękopism *Lettres et Memoire concernans l'évasion de la Princesse Royale Clementine Sobieska* — składa się z dwóch części. Pierwsza zawiera kopię 33 listów, mających wszelkie cechy autentyczności, pisanych od Jakóba Stuarta i papieża Klemensa XI do Klementyny, jej ojca i matki i nawzajem. Wszystkie podane tu wyjątki z tych listów są tłumaczeniem dosłownem.

⁷) *Memoires de Mylord Duc D'Ormond* II. 133. *„La vivacité de votre temperament"* — pisze tam Jakób Stuart do Klementyny.

⁸) Druga połowa owego na czele wymienionego rękopismu *Lettres et Memoire* zawiera 26 półarkuszowych stronnicach Pamiętnik ucieczki Klementyny z Insbruku, napisany przez świadka naocznego, owszem jednego z głównych sprawców wypadku, majora Gaydon, świeżo bo ledwie w kilka dni po czynie dokonanym — i ma nadpis: *Memoire circonstancié des événemens remarquables, arrivés au sujet de l'évasion de S. A. R. Mme la Princesse Clementine Sobieski, partie d'Insbruk le 28 avril a 2 h. aprés minuit. Par*

Mr. Gaydo, major au regiment de Dillon. Escrit à Bologne le 9 May 1719. Wszelkie zatem szczegóły tego Pamiętnika zasługują na bezwarunkowe pierwszeństwo przed każdym inym, od dalszych osób pochodzącym opisem tychsamych zdarzeń.

[9]) Wszystkie okoliczności najścilej według Pamiętnika Majora Gaydon.

[10]) *Des neueröffneten historischen Bildersaales Achter Theil.* 1714. — 1724. Nürnberg. str. 847.

[11]) *Grosses vollständiges Universallexicon aller Wissenschaften und Künste Leipzig* 1743. *fol. Tom XXXVIII* — gdzie na str. 150—157 biografia królewicza Jakóba Sobieskiego dokładniejsza, niż się nam gdziekolwiek w języku polskim czytać zdarzyło. O ustąpieniu królewicza z Oławy dowiadujemy się tam na str. 156. w słowach następujących: „Rozgniewany ucieczką cesarz dał uczuć królewiczowi skutki niełaski swojej. Doręczono mu ze strony *Ober-Amts-Directorium* w Wrocławiu mandat, aby księżniczkę nazad do Insbruku dostawił, jeźli nie chce ściągnąć na siebie gniewu cesarza i być zmuszonym do opuszczenia z całą familią w przeciągu 8 dni wszystkich krajów cesarskich, z utratą dochodów, pobieranych ze swego zastawu Oławy. Gdy królewicz uczynić tego niemógł, stało się według rozkazu cesarskiego. Dnia 6 czerwca przybyły 2 kompanie z pułku Alt-Daun i zajęły zamek i miasto. Królewicz udał się do Polski, do przesławnego klasztoru Częstochowskiego gdzie bawił przez czas niejaki, aż póki pojednawszy się z cesarzem, nie otrzymał pozwolenia powrócić do Oławy.“

[12]) O pobycie królewicza Jakóba w Częstochowie ob. Michała Balińskiego Pielgrzymka do Jasnej góry w Częstochowie, str. 372. 373. 374. 386. itd.

[13]) *Recueil des Nouvelles (Gazette de France)* Paris 1720 str. 271.

[14]) Raczyński Edward, Gabinet Medalów Polskich.

II. 343. Porównaj *Neueröffn. hist. Bildersaales VIII Theil.* str. 847.

[15]) *Gazette de France.* Paris 1720 — str. 474. 1) 498. 560. 583 — gdzie podane są wszystkie daty powrotu Jakóba Stuarta z Hiszpanii, wyjazdu Klementyny naprzeciw niemu, zaślubienia obojga w Monte Fiascone, przybycia razem do Rzymu itd.

[16]) *Memoires de Mylord Duc D'Ormond* II. 143. *„Alors toutes les Religieuses s'écriérent qu'elle étoit un eSainte."*

[17]) Kochnowski Melchior *Regia Tumba.* Zamość. 1743. rol Tf. *„Hic est Jacob... qui Cohortem Civium supernorum adauxit, dum secundum pignus suum Clementinam Angliae Reginam Clementibus associavit Divis, quam praeter famam in spe Beatitudinis recensentem ipsa jam intactarum reliquiarum tumba Olympi canonizatam tuba canit"* — Vltimus Cinis domus regiae Sobiesciorum 1743 *Fol.* O. *„Sanctitas Reginae."*

[18]) W dalszem życiu Klementyny Sobieskiej, o ile znamy takowe, najważniejszym wypadkiem jest niezgoda domowa z powodu wychowania synów, opisana w Pamiętnikach księcia D'Ormond (*Memoires* II. 127—144). Dla ułatwienia synom Jakóba Stuarta powrotu na tron angielski doradzali najznamienitsi stronnicy wychowanie w zasadach, zbliżonych do wyznania anglikańskiego. Sam Jakób Stuart zgadzał się na to i postanowił przyjąć do dzieci guwernera protestanckiego. Klementyna, jak z poprzedniego wiemy, surowa katoliczka, nie chciała żadną miarą dać temu przyzwolenia. Gdy zaś małżonek ze względów politycznych stale przy swoim zamiarze upierał się, przyszło do tego, iż Klementyna, aby uniknąć widoku duchownej (jak sobie wyobrażała) zguby swych dzieci, opuściła dom i familię i usunęła się do klasztoru św. Cycylii w Rzymie. Było to nader bolesnem zajściem, lecz nie można bynajmniej wnosić stąd, jakoby

brak miłości małżeńskiej był mu przyczyną. Owszem w czasie samegoż sporu zdarzają się okoliczności, świadczące o najgłębszem przywiązaniu obojga małżonków, poróżnionych jedynie zbytnim zapałem przekonania. Małżonek pisuje do Klementyny najserdeczniejsze, błagalne listy, przytoczone całkowicie w Pamiętnikach księcia D'Ormond, a Klementyna, postrzegłszy jednego razu męża swego niespodzianie w progach swej celi (*Memoires* II. 143), rzuca mu się w najżywszem wzruszeniu do nóg i z niewymowną przyjmuje go czułością. Ztem wszystkiem, utwierdzona w swoim oporze przez samegoż papieża, nie daje się nakłonić do powrotu, lecz pozostaje nadal w klasztorze. Dopiero po dłuższym czasie, gdy Pretendent innemu nauczycielowi dzieci powierzył, wróciła zgoda między małżonków. W odleglejszych atoli stronach, po ustach osób mniej dokładnie zainformowanych, krążyły najopaczniejsze pogłoski o ciągłej waśni domowej, o różnych jej powodach, o niemoralnem życiu Pretendenta itp.

[19]) Szczegóły jej pogrzebu, wraz z niektóremi innemi datami biografii, znaleźć można w ozdobnem dziełku, wydanem w Rzymie, w rocznicę śmierci, z rozkazu papieża, pod napisem: *Parentalia Mariae Clementinae Magnae Britan. Franc. et Hiberniae Reginae. Jussu Clementis XII. Pont Max. Roma* 1736 — skąd też wzięty jest wizerunek Klementyny, załączony do szkicu niniejszego.

[20]) Daty śmierci rodziny króla Jana III, zwyczajnie fałszywie podawane, obacz w Ks. Sadoka Barącza *Pamiątka miasta Żółkwi* Lwów 1852, str. 68, 70, 71, 73. Królewicz Aleksander umarł w Rzymie 19 listopada 1714 — Konstanty w Żółkwi 22 lipca 1726 — Jakób w Żółkwi 19 grudna 1737. Królewna Teresa Kunegunda, córka króla Jana III, zaślubiona Elektorowi Bawarskiemu, w Wenecyi 10 marca 1730.

Już po wydrukowaniu szkicu niniejszego, dzięki korespondencyi z Krakowa w lwowskim *Dzienniku literackim* z d. 12 listopada 1853, doszła nas wiadomość o *Pamiętniku krakowskim*, wychodzącym przez trzy miesiące roku 1830, i o znajdującej się tamże w poszycie drugim, str. 79—91, rozprawce J. S. Bandkiego pod napisem *Marya Klementyna Sobieska*. Nie mamy powodu żałować, żeśmy nie znali dawniej tej pracy. Prawie wszystkie bowiem szczegóły szkicu naszego są obce artykułowi wzmiankowanemu, a w czem on różni się od nich, temu niestety musimy zaprzeczyć wiarę. Użyty przez nas za główne źródło *Pamiętnik* o ucieczce księżniczki, napisany nie tylko przez świadka naocznego, ale owszem przez jednego z głównych sprawców wypadku, w kilka dni po wypadku, w umyślnym celu przechowania właściwych okoliczności zdarzenia, zasługuje tak długo na wiarogodność bezwarunkową, dopóki przypadkiem nie pojawiłoby się świadectwo jeszcze bliższe i oczywistsze — rozprawka zaś w *Pamiętniku krakowskim*, starym nieumiejętnym zwyczajem, nie przytacza żadnego zgoła źródła swych wiadomości. W takim razie zawarte w niej wzmianki o korespondencyi księżniczki ze swymi wybawcami w Insbruku za pomocą zakonnicy, o udaniu się Klementyny (przed wyjazdem) do klasztoru zamiast do naszej gospody pod Barankiem — muszą policzone być do rzędu tak niedokładnych pogłosek jakie np. w innej jeszcze formie znachodzimy o tymsamym wypadku w *Neueröffn. Histor. Bildersaales VIII Theil*, str. 840. A powaga tych wiadomostek znika do reszty, gdy się przypatrzymy dalszym szczegółom rozprawki pomienionej, jawnie z rzeczywistością niezgodnym. Nasz *Pamiętnik* wyznacza dzień 28 kwietnia jako datę ucieczki z Insbruku, a dzień 3. maja jako datę przybycia do Bolonii; ówczesna *Gazette de France* (1719 str. 271) donosi, iż dnia 4 maja dowiedziano się w Rzymie o obecności Klemen-

tyny w Bolonii — rozprawka zaś w *Pamiętniku Krakowskim* (str. 82) opowiada, jakoby ucieczka z Insbruku nastąpiła „dnia 2 sierpnia 1719." — Wszystkie źródła spółczesne, jak np. przytoczona w rozprawce krakowskiej publikacya biograficzna *Parentalia M. Clementinae*, jak dosłownie w samejże rozprawie (str. 83) zacytowany napis łaciński na pamiątkę zaślubin, jak ówczesna *Gazette de France* itd. — donoszą zgodnie, że kościelne zaślubiny księżniczki z Jakóbem Stuartem (po uprzednim ślubie prokuracyjnym) odbyły się w kilka miesięcy po jej przybyciu do Włoch, dnia 1. września r. 1719 — rozprawka zaś krakowska str. 85) odracza ślub do dnia 9. września r. 1722. — W liście Jakóba Stuarta do Klementyny, umieszczonym w *Pamiętnikach* poufnika Stuartowego księcia D'Ormond (II. 134), wyraża się Jakób zgodnie z wszystkiemi innemi wiadomościami, o żonie swojej, jako o osobie odmawiającej sobie surowu wszelkich rozrywek i przyjemności światowych. „*Vous savez mêne de plus que loin de vous exciter a mener cette vie solitaire et retirée, que vous vouliez mener, j'ai fait mon possible pour vous engager à prendre plus d'amusemens.*" — Rozprawka zaś (nie wiadomo zgoła, z jakiego źródła czerpiąc swoją wiadomość), p zedstawia Klementynę (str. 86) jako „osobę wesołą, towarzyszącą mężowi we wszystkich zabawach i uciechach." — Książę D'Ormond, główny stronnik i powiernik Stuarta, w codziennych żyjący z nim stosunkach, upewnia jednomyślnie z wszystkimi innymi szczegółami, że Jakób kochał niewymownie księżniczkę (II. 128 *Le Roi aimoit infiniment cette Princesse)* — rozprawka zaś (str. 86) niewykazując żadnego źródła, uwiedziona niezrozumiałym sobie zbiegiem okoliczności, twierdzi, że Klementyna „nie była kochana od małżonka." Tym niezrozumiałym zbiegiem okoliczności, były wspomnione powyżej zajścia z przyczyny różnicy zdań o wychowaniu synów, posunięte wprawdzie aż do przydłuższego rozła-

czenia małżonków, i dające ten wszelki powód do powszechnych w świecie pogłosek o „nie kochaniu się“ wzajem — lecz mimo tego wszystkiego niezdolne obalić ugruntowanej na wszelkich innych świadectwach wiadomości o szczerem w istocie przywiązaniu. — Rozprawka krakowska idąc jedynie za nagiemi datami odjazdu i przyjazdu małżonków z miejsca na miejsce, zie obeznana z wyjaśnieniem rzeczy w *Pamiętnikach* księcia D'Ormond, rzuciła niewłaściwy cień na całą historyę Klementyny. Chęć zachowania wypadkom rysów prawdziwych wywołała dopisek niniejszy. Zresztą, wyjąwszy wzmiankę o późniejszem niemoralnem życiu Stuarta, nie zawiera rozprawka krakowska żadnych ciekawszych szczegółów.

Karol Szajnocha.

SZKICE HISTORYCZNE.

IV.

Wojna o cześć kobiety.
Zwycięstwo r. 1675 pode Lwowem.

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

Wojna o cześć kobiety.

I.

Rzeczywista postać dawno minionych zdarzeń a powszechna o nich pamięć w narodzie — jakże różne od siebie rzeczy! Najdokładniejsza historya podaje tylko niepodobny portret wypadku, a z tego fałszywego portretu zaledwie jeden rys drobny, często wcale zmyślony przydatek malarza, przechodzi w wiedzę powszednią, staje się jedynem wspomnieniem długiego pasma dziejów. Rzeczywistość przemówiła niegdyś długim szeregiem słów, stanowiącym pewną rozumną całość, a pamięć pospolita, jak echo w górach, chwyta przypadkowie jeden luźny, dorywczy, najbliższy wyraz, i od doliny do doliny, od pokolenia do pokolenia, powtarza go coraz dziwaczniej, niezrozumialej. Takiem echem brzmi np. po dziśdzień wiadomostka o szumnem ugoszczeniu pięciu królów przez mieszczanina krakowskiego Wierzynka. Bo jakżeby nie utkwiła w pamięci pospolitej sława szczęśliwego bogacza, który po 100.000 złotych

mógł składać w darze królewskim biesiadnikom swojego stołu! Jeszczeż i drugie słowo, słowo opowiadające nam, iż głośna uczta mieszczańska zdarzyła się podczas godów weselnych, odprawionych przez Kazimierza W. na cześć zaślubin wnuczki Elżbiety Pomorskiej z cesarzem Karolem IV, daje się jako tako dosłyszeć w tym echu Wierzynkowem. Wszakże słowa trzeciego, oświecającego nas, co dało powód weselu cesarskiemu w Krakowie, nie doszukasz się ani w pamięci ludzkiej ani w uczeńszych nawet księgach dzisiejszych. Dowiedzieć się o nim jedynie z starej kroniki Długoszowej i kilku dokumentów spółczesnych, potwierdzających prawdę Długosza. Opiewa to słowo w kształcie dziwnie zaokrąglonej powieści, jak o sławę królowej węgierskiej Elżbiety, siostry Kazimierza W., wszczęła się wielka wojna, zakończona właśnie ową swadźbą krakowską. Nie znamy wiele ustępów w historyi średnich wieków, któreby ciekawiej od niniejszego charakteryzowały swoją epokę.

Każde pogranicze było w XIV. wieku sceną ustawicznych burd i grabieży sąsiadów. Najeżdżali się podobnież i mieszkańcy kresów węgiersko-czeskich. Codziennie donoszono królowi węgierskiemu Ludwikowi o gwałtach Czechów i Morawców w przyległych ziemiach węgierskich, królowi czeskiemu i cesarzowi rzymskiemu Karolowi IV

Luksemburczykowi o rozbojach Węgrów w włościach morawskich. Obaj monarchowie sąsiedni, godni w tem spółzawodnicy swego trzeciego sąsiada Kazimierza W. w Polsce, dbali wprawdzie surowo o spokój i bezpieczeństwo publiczne, lecz szlachta pograniczna trwała uporczywie w rycerskim obyczaju najazdów, milszych raczej jako gra szermierki hazardownej niż jako źródło zysków. W ostatnich czasach, około roku 1360, byli górą Morawcy, oskarżani w Węgrzech o tysiączne szkody graniczne. Król Ludwik wyprawił posłów do cesarza Karola w Pradze, żądając ukarania swawoli. Cesarz stanął w obronie swoich poddanych, słusznych (jego zdaniem) karcicieli dawniejszych krzywd węgierskich. Wszczęła się gorąca rozprawa między cesarzem Karolem a posłami króla Ludwika. Obyczajność średniowiekowa nie umiała hamować żarliwości serc i języków. Mówiąc o niebacznych rządach i urzędnikach węgierskich, nadmienił cesarz o królowej Elżbiecie, matce króla Ludwika, znanej z przeważnego udziału w sprawach publicznych. W uniesieniu wymknęło mu się rubaszne o niej słowo, obrażające w najwyższym stopniu sławę kobiety. Posłowie rzucili się do również porywczej odpowiedzi: „Ani widokiem oblicza Karolowego“ — prawi kronika [1]) — „ani jego majestatem nie ustraszeni, oddali mu Węgrzy wet za wet, i nie mogąc znieść tak krzyczącej zniewagi swojego króla i jego

matki, jaką tylko mogli obelgą odparli i wywzajemnili obelgę. Lubo wiemy — rzekli w głos do cesarza Luksemburczyka — że z tąsamą zuchwałością, z jaką bez sromu targnąłeś się na cześć, świetne imię i sławę Najjaśniejszego króla naszego i jego matki najmiłościwszej, zechcesz targnąć się także na nas, ich posłów, przecież nie zważając na żadne niebezpieczeństwa w obronie pana naszego i jego matki, głośno tu i publicznie zaprzeczamy słowu twojemu, którem zbezcześciłeś rodzicielkę Najjaśniejszego pana naszego, zbezczeszczając temsamem i tegoż pana i króla węgierskiego Ludwika. Zaprzeczamy słowu twojemu, zadajemy fałsz twojej mowie, i powiadamy ci jeszcze i jeszcze raz, żeś słowem twojem pokrzywdził i spotwarzył niegodziwie króla naszego i jego matkę przezacną. Jakoż gotowi jesteśmy obyczajem rycerskim, dowieść z orężem w ręku nieposzlakowanej czci króla naszego i jego matki, stając w wyznaczonem miejscu i czasie do walki bądźto z tobą, bądź z jakimkolwiek innym obrońcą słowa twojego. I od tejże chwili, za bezprzykładną obelgę twoją, która nie powinna była wyjść nawet z ust monarchy, trzymającego pierwsze miejsce pomiędzy monarchami, wypowiadamy ci imieniem króla naszego, wypowiadamy wojnę tobie, i cesarstwu twojemu, i królestwu czeskiemu, i wszystkim państwom twoim.“ Cesarz zmieszał się mocno na tak hardą a wielosłowną odpowiedź. Obecni

też panowie dworu czeskiego jęli prośbami i przedstawieniami upamiętywać go w gniewie. Złagodniał tedy Karol powoli, i ozwał się do posłów, iż pochwycone przez nich wyrazy wymówił w żarcie. Ale posłowie nie dali się tem uspokoić. „Słowa zniewagi“ — rzekli — „nie zatrzeć słowem wymówki. Jeśli zresztą było obowiązkiem naszym, ująć się obrazy honoru królewskiego, toć nie jest już w naszej mocy, przebaczyć taką obrazę.“ Zaczem z temże wypowiedzeniem wojny, które odrazu cisnęli w oczy koronie czeskiej, opuścili posłowie dwór i stolicę Karolową i stanęli z powrotem w Węgrzech. Tam opowiedzieli królowi Ludwikowi najdokładniej, co zaszło w Pradze, i jak sobie postąpili w obec cesarza. Król Ludwik nie tylko pochwalił znalezienie się swoich posłów, lecz nadto bogatymi darami w ziemiach wynagrodził ich śmiałość. Sam zaś zabrał się do spełnienia coprędzej groźby poselskiej, i ogromną wojną postanowił zmazać obelgę.

Uderzony tą wieścią świat nie dziwił się bynajmniej postanowieniu królewskiemu. Znieważona cześć królowej Elżbiety zdała się wszystkim godną tak srogiej zemsty. W matce „Wielkiego“ króla Węgier Ludwika, w siostrze również „Wielkiego“ Kazimierza Polskiego, czczono powszechnie jedną z najwspanialszych niewiast onego czasu. Znały ją z cnót i rozumu strony

domowe, znały kraje odległe. W Węgrzech, za panowania mądrego króla Ludwika, który prawie w każdem rozporządzeniu dokumentowem odwołuje się do mądrych rad „Najjaśniejszej pani Elżbiety, naszej matki najukochańszej“, służył jej urzędowy tytuł „spółrządczyni“ królestwa. W połączonym niegdyś z koroną węgierską Neapolu przywiodła ona do skutku koronacyę młodszego syna Andrzeja, zamordowanego później przez stronników żony Joanny. W Rzymie obchodzono uroczystą rocznicę jej pielgrzymki do tegoż miasta, w odwdzięczenie złożonych wówczas przez Elżbietę ofiar pobożnych. Z Anglii, od sławnego króla Edwarda III, dochodziły ją najprzyjaźniejsze listy pociechy po stracie syna Andrzeja. A w jakiemże poszanowaniu była królowa Elżbieta u papieżów, w francuskim Awinionie! Jan XXII w uznanie jej czynów bogobojności, mianowicie licznych fundacyi klasztorów franciszkańskich, nazywa ją „córą błogosławieństwa i łaski.“ Klemens VI w najważniejszych sprawach polityki przyrzeka stosować się do „rad jej roztropności.“ Grzegorz XI uprasza ją o opiekę nad zagrożonem przez syna Ludwika duchowieństwem węgierskiem. W ciągu traktatów o zapewnienie polskiej Kazimierza korony siostrzeńcowi Ludwikowi, ona to, nie kto inny, prowadzi układy pomiędzy obudwoma królami i narodami, i tymiż właśnie czasy, roku 1359, przyjmuje w imieniu

Ludwika hołd szlachty polskiej w Sączu. Tak wielostronny udział w sprawach publicznych nie mógł wprawdzie nie narazić Elżbietę na nieprzyjaźń stronnictw przeciwnych; owszem wraz z swoim małżonkiem, królem Karolem Robertem, stała się ona niegdyś ofiarą zamachu królobójczego, który ją nawet nabawił kalectwa ręki odciętej, lecz tak w rozsiewanych z tego powodu kłamliwych za granicą pogłoskach, jakoteż w innych niepomyślnych o niej podaniach nie było więcej w istocie prawdy, jak zwyczajnie w pokątnych złorzeniach zawiści. Jakoż nie wiedząc o nich zgoła w ziemi węgierskiej, oddawano jej tam hołdy powszechne, i jednogłośnie oburzono się, gdy teraz gruchnęła wiadomość o zelżeniu jej przez cesarza.

A oburzenie kraju miało tem większą słuszność za sobą, ile że Karol IV zostawał w związkach blizkiego powinowactwa z królem Ludwikiem. Był on bowiem teściem Ludwika, małżonka córki Karola Małgorzaty, i lubo królowa Małgorzata od lat kilkunastu umarła, nie zerwał się przecież węzeł blizkości familijnej. Prócz tego słynął cesarz zresztą jako pan mądry, stateczny, pieczołowity o dobro ludu i spokój z sąsiadami. Dorównywał on w tej mierze obudwom sąsiadom swoim w Węgrzech i w Polsce, i niełatwo zaprawdę znaleźć w historyi drugą dwudziestkę lat, w którejby sąsiadowało z sobą trzech tak zna-

komitych monarchów jak właśnie nasz Ludwik, Kazimierz i Karol. Nie mogąc oderwać oczu od tej nieśmiertelnej trójcy monarszej, postrzegamy w niej zajmujące odcienia pojedyńczych obliczów. Jako gospodarze, administratorowie, prawodawcy, sędziowie, są oni wszyscy zarówno błogosławionymi, wielce podobnymi do siebie dobroczyńcami swoich narodów; lecz wpatrując się w nich ze strony osobistych skłonności, osobistej ambicyi i próżnostki, widzimy z zadziwieniem trzy wcale różne postacie. Ludwik, potomek najświetniejszej w Europie rodziny, jaśniejącej polorem Francyi i Włoch; blizki bratanek dwóch głośnych w świecie Świętych, króla Ludwika IX i biskupa tolosańskiego Ludwika; najmożniejszy z królów ówczesnych — dbał najskrupulatniej o moralny pozór swoich postępków, o wykwintną, manierowną powierzchowność wszystkich swoich kroków i obyczajów, o chwałę wzorowego monarchy u potomności, rozkwitającą mu już za życia z pod pióra poetów i dziejopisów. Rubaszny Piast krakowski, wychowaniec uboższych, mroczniejszych, bardziej prostaczych stron, mniej wymyślny w swoich pretensyach, niełakomy pochlebstw pisanych, lubił życie wesołe, prawdę zaprawną żartem, rozkosz bez więzów i hamulca, łowy przeplatane miłostką. Karol IV przeciwnie, syn plemienia rozmiłowanego w pracy książkowej, ubiegał się najchciwiej o sławę uczoności, zachęcał poddanych do nauk i pisarstwa, parał się sam

autorstwem, napisał mianowicie Pamiętniki życia swojego. A pamiętniki cesarza Karola Luksemburczyka, zdumiewającego świat ówczesny umiejętnością pięciu języków, to encyklopedya wszystkich nauk średniowiekowych. Doczytasz się tam i historyi i prawa i medycyny, teologii na koniec, obdarzającej nas kilką różnemi kazaniami, czyli jak je autor nazywa „imaginacyami“ na jeden i tenżesam tekst pisma św. Wszystko zaś owiane jest gęstą mgłą mistycyzmu, która na każdej stronicy dzieła skłębia się w poważnie opisywane *fata morgana* najdziwotworniejszych wizyi, snów i widziadeł. Cóż za dzika np. wizya o aniołach z mieczami miała zwiastować Karolowi blizką śmierć delfina francuskiego! W innem miejscu opisuje cesarz następujące zjawisko nocne, pamiętne dla nas jako skazówka do wytłumaczenia sobie napaści na cześć królowej Elżbiety. „Zajechałem późno w nocy“ — opowiada Karol w swej autobiografii — „na zamek w Pradze, do domu burgrabskiego. I położyłem się spać, ja w jednem łóżku, a mój podkomorzy Wilhartitz w drugiem. I palił się wielki ogień na kominie, bo było to porą zimową. I wiele świec gorzało w komnacie, a wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Otoż zaledwieśmy zasnęli, zaczęło chodzić coś po komnacie; tak, żeśmy obaj ocucili się ze snu. Kazałem tedy Wilhartitzowi wstać i obaczyć, co to takiego? On zaś wstawszy, obszedł całą

komnatę, obejrzał wszystkie kąty, lecz nic nie znalazł. Zaczem naniecił jeszcze większe ognisko, zapalił jeszcze więcej świec, i poszedł do dzbanów z winem, które stały dokoła izby na ławkach. Tam napił się z jednego i postawił dzban koło jarzącej świecy, i położył się spać. Ja spać nie mogłem, lecz owinąwszy się w płaszcz, siedziałem cicho na łóżko. Aż tu słyszę, chodzi znowu coś po komnacie, lubo nikogo nie widać! A gdy tak z Wilhartitzem patrzymy przestraszeni na dzbany i na świece, zrywa się jeden dzban, i jakby nie wiem przez kogo tam rzucony, leci poprzez łóżko Wilhartitzowe, z jednego kąta komnaty w drugi, skąd odbity o próg, pada nareszcie na środek izby. Widząc to zlękliśmy się niezmiernie, i słyszeliśmy kogoś chodzącego wciąż po komnacie, ale nikogośmy nie widzieli. Poczem przeżegnawszy się znakiem krzyża św., zasnęliśmy szczęśliwie, i spaliśmy aż do rana, a dzban próżny leżał nazajutrz rano na temsamem miejscu na środku izby, jak go tam coś w nocy rzuciło.“ — Owoż i ta nocna przygoda z dzbanem, i słowo ubliżenia Elżbiecie, wypłynęły ponoś z jednej i tejsamej ułomności wielkiego króla Czech. Tak przynajmniej mniemał królewski syn Elżbiety, a jego skrupulatność w rzeczach honoru nie pozwala posądzać go o zmyślenia. Mniemał zaś Ludwik, iż przed owem posłuchaniem posłów węgierskich musiał Karol za wiele pofolgować

trunkowi. Wyrzucił mu to owszem w oczy monarcha Węgier, obsyłając go dla tem większego rozgłosu powtórnem wypowiedzeniem wojny, w swojem własnem imieniu. „Gdyś zbyt często nachylił dzbana, Karolu“ — opiewał między innemi ten akt dyplomatyczny [3]) „nie jesteś już panem ani zmysłów swoich ani swego języka.“ Chodziło teraz o to, aby i w gromadzącej się nad Karolem burzy wojennej nie stracić podobnież równowagi.

A zanosiło się na wojnę, o jakiej nie miały dotąd wyobrażenia dzieje średniowiekowe. Zwyczajnie panuje zdanie, iż dopiero z końcem 15. i początkiem 16. stulecia, z powodu wdzierania się królów francuskich do Medyolanu i Neapolu, nauczyła się dyplomacya wiązać aliansy wielu różnych koron przeciwko sobie. Tymczasem oto już teraz w połowie 14. wieku, ku obronie sławy Elżbiety, stanęło przymierze wojenne, któremby się pochlubić mogła dyplomacya dzisiejsza, przymierze sześciu większych i mniejszych mocarstw. Aby z tem niewątpliwszym skutkiem uderzyć na Karola Luksemburczyka, a oraz przekonać świat, jak wielu obrońców znajduje cześć spotwarzonej królowej, uwziął się Ludwik Węgierski wyruszyć na wojnę w towarzystwie jaknajwiększej liczby sprzymierzonych z sobą królów i książąt. W średnich wiekach każda wojna uchodziła za wielki sąd boży między dwoma przeciwnikami,

a któren z nich prowadził więcej aliantów, jako świadków i poręczycieli swojej słuszności, tego sprawa okazywała się sprawiedliwszą i rzeczywiście odnosiła zwycięstwo. Osobliwie związki familijne kierowały w szukaniu spółobrońców takiej sprawie przed sądem bożym. W obecnym razie najbliższe pokrewieństwo łączyło Ludwika z królem polskim Kazimierzem, rodzonym bratem Elżbiety. Do niego też zgłosił się najpierwiej syn Elżbiecin z wezwaniem, aby nie scierpiał obojętnie zniewagi siostry swojej, lecz wszystkiemi siłami wsparł go w odemszczeniu jej krzywdy. Król Kazimierz oświadczył posłom węgierskim, iż nietylko wszystkiemi siłami wesprze Ludwika, lecz wystąpi na wojnę w własnej osobie i przyprowadzi posiłki ruskie, litewskie i tatarskie. Wraz z poselstwem do Kazimierza udali się inni posłowie węgierscy do pomorskiego książęcia na Szczecinie, Bogusława V, spokrewnionego z Piastami, a temsamem i z królową Elżbietą. Był on wnukiem rodzonej ciotki Kazimierza polskiego, i miał nadto za sobą jego córkę Elżbietę, poślubioną mu od lat ośmnastu. Przystąpił więc i Bogusław do ligi przeciwko nieprzyjacielowi swojej bratanki Elżbiety i dalszego owszem uzyskał jej sojusznika. Liczył on bowiem podobnież do swoich krewnych króla duńskiego Waldemara IV Atterdaga, pana przedsiębiorczego i możnego, który dla długiej wojny z hanzeatyckiemi mia-

stami Rzeszy niemieckiej żywił w sercu żal do do cesarza. Zaproszony przez poselstwo węgierskie, podał tedy i Waldemar zbrojną rękę do spółki przeciwko Karolowi, zagrożonemu jednocześnie dwoma nowymi sprzymierzeńcami Ludwika w samej Rzeszy niemieckiej. Jęli się tam strony królów Węgier i Polski dwaj potężni książęta, Rudolf, książę rakuzki, i Mejnhard, książę bawarski. Zwłaszcza pomoc księcia rakuzkiego Rudolfa, słynnego z rozumu i gospodarności założyciela akademii wiedeńskiej, dodawała blasku sprawie Elżbiety, gdyż był on zięciem cesarza Karola IV, a stając do walki przeciw własnemu teściowi, świadczył temsamem najgłośniej o jego niesłuszności. Jakoż z tymiż właśnie książętami rzeskimi związali się królowie Węgier i Polski najściślejszem przymierzem. W pierwszej połowie marca roku 1362 ułożony został w Budzie dokument ugody między królem Ludwikiem a książętami Rudolfem i Mejnhardem, warujący Ludwikowi wszelką pomoc w wojnie z cesarzem. Posunął się ten traktat owszem aż do projektu rozbioru państw Karolowych, wzmiankując osobno o sposobie, jakim sprzymierzeni dzielić się mają spodziewaną zdobyczą cesarskich „ludzi, miast, miasteczek, grodów i twierdz.“ [4]) Był przytem obecny i król polski Kazimierz, który jużto wiekiem już stopniem pokrewieństwa górując nad Ludwikiem, wpływał przeważnie na jego tera-

źniejsze koneksye polityczne. Toż jako najstarsza głowa w rodzinie przyjął on także zapewnienie przyjaźni i pomocy od sprzymierzeńców swego siostrzeńca węgierskiego. Nowym dokumentem z tegożsamego roku, w Presburgu, obowiązali się książęta Rudolf i Mejnhard, tudzież młodsi Rudolfowi bracia Frydryk, Albert i Leopold, pod poręczycielstwem kilkudziesięciu baronów rakuzkich i bawarskich, do „wieczystej i nierozerwanej jedności z królem Kazimierzem", przyrzekając nie zawierać bez jego wiedzy żadnych związków familijnych, nie wszczynać żadnej wojny, nie wchodzić w żadne przymierza, co też zastrzega wzajem Kazimierz. [5]) Poruszono wszelkie sprężyny dyplomacyi ówczesnej, aby powiększyć zastęp obrońców czci Elżbiecinej. Obrażony honor Elżbiecin, można śmiało powiedzieć, pobudził dyplomacyę do najwcześniejszego przykładu szerokich, różnonarodowych sojuszów. Dzięki jej zabiegom urosło przeciw nieprzyjacielowi zacnej królowej węgierskiej poszóstne przymierze państw, sięgające od gór tyrolskich aż po stepy tatarskie, od Adryatyku aż po skandynawskie wybrzeża. A tak ogromnej potędze mógł cesarz Karol opierać się jedynie siłami swoich Czech, Moraw i kilku mniej możnych książątek Rzeszy. Stąd gdy uderzyła godzina sądu bożego, godzina tak nierównej zewszechmiar walki, można było najgwałtowniejszych obawiać się katastrof. Wschód i zachód —

prawi nasza kronika — patrzyły z przestrachem na blizką walkę między cesarzem zachodu a królami całego prawie wschodu katolickiego.

I przyszło też niebawem do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Już w lecie roku 1362 zgromadziły się wojska węgierskie pod wodzą króla Ludwika w okolicach Trenczyna, wojska czeskie pod naczelnictwem Karola w okolicach Kolina. Na rozpostartych między niemi polach morawskich miały prawdopodobnie rozstrzygnąć się losy wojny, może losy cesarstwa. W uczuciu swoich szczuplejszych sił i mniejszej słuszności sprawy przychylił się król czeski do układów. Przybył do obozu węgierskiego poseł Karolów, książę Bolko świdnicki, niosąc projekta pojednania. Król Ludwik nie okazywał się przeciwnym pokojowi, byle uczyniono zadość sprawiedliwości. Zdaje się przecież, iż propozycye książęcia Bolka nie dochodziły miary wymagań sprzymierzeńców, gdyż zapalona raz pochodnia wojny nie zgasła. Owszem zbrojono się tem usilniej, ściągano zewsząd posiłki, a cesarz Karol, lękając się wszechstronnego najazdu Czech, zaopatrzył wszystkie główniejsze miasta kraju w potrzebny zapas oręża. Świat pozostał w dawnej obawie, po dawnemu na spodziewane pobojowisko zwracając wzrok niespokojny. Wtem jak to często bywa, uwaga ludzka w jedną wytężała się stronę, a ważne wypadki uderzyły właśnie z przeciwnej. Roznio-

sła się wiadomość o śmierci papieża Innocentego VI., zmarłego w pierwszych dniach września r. 1362 w Awinionie. Po niej nastąpiła wieść o wyborze papieża Urbana, męża rzadkich darów umysłu i głośnej świątobliwości. Były to wypadki, które wszystkim sprawom onego czasu mogły odmienną nakreślić kolej. Nowy papież pałał chęcią uspokojenia świata, zawichrzonego we wszystkich stronach. Pomiędzy wszystkiemi zamieszkami nie było niebezpieczniejszej nad wojnę sprzymierzonych królów z cesarzem. Na szczęście śród przydłuższych rokowań o pojednanie nadeszła zima, a nikt w zimie nie prowadził wojny podówczas. Wszakże za pierwszem promieniem wiosny, zapowiadano sobie zgubę wzajemnie. Chodziło więc papieżowi o jak najspieszniejsze przytłumienie pożaru. Zaledwie minęły pierwsze intronizacyi apostolskiej obrzędy, zagarnął się Ojciec św. do pracy około zażegnania wojennej burzy na wschodzie. Uderzyła we wszystkie dzwony dyplomacya papiezka, ta macierz wszelkiej dyplomacyi nowego świata. Jak głównie przemyślnością dyplomatyczną urosła liczba obrońców Elżbiety, a nieprzyjaciół Karola, tak podobnież rozumem dyplomatycznym, lecz rozumem najświętszej, w obecnym razie intencyi, należało rozdzierzgnąć węzeł. Zebrała się w imieniu papieża wielka wyprawa dyplomatyczna, wielka ambasada pokoju, mająca obejść z kolei

wszystkie dwory nieprzyjacielskie. Przewodniczył jej biskup wolturański,[6]) później florencki Piotr, któremu Urban V listem wierzytelnym z dnia 24-go stycznia roku 1363-go, jako „aniołowi pokoju, w kraje niezgody wysłanemu“, zlecił wszelkie ze swojej strony pełnomocnictwo.[7]) Obok biskupa Piotra dążyli tąż samą drogą biskup akweński Gwido, generał zakonu św. Dominika, i uczony, a świątobliwy franciszkanin, imieniem Jan. Wraz z legatamy szły mnogie listy papiezkie, do cesarza Karola, do jego brata Jana, margrabi Morawskiego, do królów Ludwika i Kazimierza, do królowej Elżbiety, do arcybiskupów pragskiego i mogunckiego. Najpierwszą stacyą zatrzymała się ambasada papieska u cesarza Karola, na dworze czeskim. Po wręczeniu pism apostolskich upomnieli legaci Karola dość surowo, „aby zaniechał wojnę nieprawą, która przynosi więcej klęsk niż tryumfów, więcej sromu niż sławy, więcej szkód niż korzyści, gdyż gubi tysiące dusz i zachęca ludy barbarzyńskie do napadów na kraje chrześcijaństwa zwaśnionego. Od cesarza wyszła pierwsza pobudka waśni, on też niech ją pierwszy zgasi zawczasu, a gdyby trwać chciał w uporze, tedy niech wie, że kto się okaże przeciwnym zgodzie, przeciw temu sam Ojciec św. gotów jest powstać całą mocą swoich rad i posiłków“. Karol IV. widział nazbyt jasno niepomyślność położenia swojego, aby się miał

ociągać z podaniem ręki do zgody. Oświadczył zatem uległość pośrednictwu apostolskiemu i ochotę uczynienia zadość żądaniom sprzymierzeńców. Z tym szczęśliwym owocem posłannictwa swojego udali się legaci następnie do Węgier, na dwór króla Ludwika. „Godzi się poskromić zawziętość gniewu“ — ozwały się tam łagodniej przedstawienia orędowników. „Dla jednego słowa płochego, za które zresztą cesarz słuszną przyrzeka wynagrodę, grzechem byłoby przedłużać wojnę, równie monarchom, jak i narodom zgubną, żadnym widokiem pożytku nie osłodzoną“. Uznał to pobożny król węgierski i oznajmił gotowość do złożenia oręża, jeśli sprawiedliwemu celowi wojny stanie się zadość. Jakimby zaś sposobem dał się osięgnąć ten warunek, miało okazać się u kresu dalszej podróży wysłanników papiezkich. Ta zaprowadziła ich przez Karpaty nad Wisłę, do stolicy polskiego króla Kazimierza. Kazimierz był najstarszym w familijnej lidze przeciwników cesarskich, i o niego też musiały ostatecznie oprzeć się wszelkie usiłowania rozjemcze. Czuł tę wagę swoją król polski i nie myślał bynajmniej zrzec się korzyści, jakieby stąd spłynąć mogły na jego państwo. Pospołu z oczyszczoną czcią królowej z plemienia Piastów miała także zajaśnieć sława ich starożytnej korony. Wypadło tedy legatom wynaleść dla Kazimierza pewien dank okazały, za przystąpienie do zgody. Zwa-

żając jego znaną mądrość i sprawiedliwość, ofiarowano mu za poruzumieniem z resztą stron spornych, rolę sędziego polubownego, któryby wraz z świdnickim książęciem Bolkiem rozstrzygnął nieodwołalnie sprawę czesko-węgierską. Wszakże i poddanie się tak dostojnych monarchów, jak cesarz rzymski i król węgierski, wyrokowi Kazimierzowemu, okazało się jeszcze niedostatecznem. Posłowie apostolscy ujrzeli się w potrzebie przydać pewien dalszy zaszczyt polubownictwu. Po szczęśliwem wymyśleniu onego, rozpoczęły się nowe zwiady u dworów, czeskiego i węgierskiego, ażali i one zgadzają się na wniosek. A był to projekt zaradzający do razu ostatnim trudnościom pojednania. Wychowywała się u dworu Kazimierza w Krakowie jego pomorska wnuczka Elżbieta, córka szczecińskiego książęcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce. Młodociane lata księżniczki miały się już ku zamęźciu, a jej kolligacya z tylu królami, jakoto z królem polskim, węgierskim, duńskim, przeznaczała ją chyba bardzo wysokiemu oblubieńcowi. Celowała też księżniczka niepowszednią urodą ciała a osobliwie rzadką krzepkością. Opowiadano sobie o niej w latach późniejszych, iż nieraz „gdy jej przyniesiono nową grubą podkowę, tak ją rozłamała, jakoby była z jakiego słabego drzewa uczyniona; potem kucharskie tesaki i inne dosyć mocne narzędzia zwijała,

jakoby z lipowego drzewa robione były; pancerz wziąwszy, jako koszulę wiotką od wierzchu aż do końca rozdarła, co było z wielkiem podziwieniem wszystkich książąt i panów, tak przy stole wówczas siedzących, jako stojących, czego nigdy na niej żaden człowiek dawniej nie widział, tylko to natenczas (tj. znacznie później od opowiadanych obecnie zdarzeń) gwoli małżonkowi swemu czyniła".[8]) Teraz oblubieńcowi pięknej, a silnej wnuki Piastów uśmiechał się jeszcze posag bogaty, przyrzeczony od możnego dziada Kazimierza. Owóż tę piastunkę królewskiego dworu w Krakowie umyślili posłowie papiezcy połączyć małżeńskimi śluby z cesarzem Karolem Luksemburczykiem, od kilkunastu miesięcy wdowcem po trzeciej żonie. Stałoby się takim sposobem najpewniej zadość pożądanemu dziełu pokoju. Zakończenie wojny weselem stawiało rękojmię, iż poswatani nieprzyjaciele nie tak łatwo porwą się znów do oręża. Poślubienie cesarza z wnuką króla polskiego zdało się dalej najstosowniejszą nawiązką wyrządzonej Elżbiecie krzywdy. Młoda księżniczka pomorska była oraz wnuką węgierskiej siostry Kazimierza, a temsamem rodową uczestniczką jej sławy i niesławy. Gdyby potwarcze słowo Karola o babce było prawdą, nigdyby on nie przystał na połączenie się z wnuką. Ofiarując jej swoją rękę cesarską, uznawał on przed całym światem płon-

ność słowa onego. Spodziewane w takim razie gody weselne w Krakowie przyozdabiały nowym lustrem stolicę i króla Polski. A głaszcząc tak przyjemnie wszystkie pretensye, zasługiwał fortunny projekt legatów na jaknajusilniejsze starania o wprowadzenie go w rzeczywistość. Jakby też na wyścigi, krążyły bez ustanku posyłki dyplomatyczne między Krakowem, Pragą, a Wyszogrodem węgierskim. I prędzej niż można było tuszyć, nadbiegła wiadomość o przyzwoleniu Karola. Pod koniec stycznia wyruszała ambasada papiezka dopiero z Awinionu w swoją podróż na wschód, a z końcem marca, po tylorakich konferencyach pomiedzy królami zwaśnionymi, stanęła zgoda na ostatni warunek, uspienia sporu małżeństwem. Widać, iż chciano koniecznie uprzedzić tem przejście wiosny, grożącej wznowieniem wojny. Dzięki ojcowskiej opiece stolicy apostolskiej, zamiast o wojnie, usłyszał świat z radością o blizkich godach weselnych. Miano je zaś za prawdziwy owoc zrządzeń niebieskich, gdyż zdarzyło się dziwnym sposobem, iż w tym samym czasie, kiedy legaci układali projekt ożenienia Karola z wnuką Kazimierza i Elżbiety, cesarz Karol powziął z swojej strony też samą myśl, postanawiając zgłosić się o rękę młodej księżniczki pomorskiej, aby tym sposobem rozerwać alians Kazimierza z Bogusławem i Waldemarem. Temci chętniej i niezwłoczniej należało

przystąpić teraz do spełnienia tego aktu błogosławieństwa. Już w miesiącu następnym, w kwietniu roku 1363-go, miały odbyć się w Krakowie uroczystości wesela cesarskiego, poprzedzając polubowne rozstrzygnięcie całej sprawy przez Kazimierza, odroczone do chwili nieco późniejszej.

Spieszyło tedy do Krakowa na miesiąc kwiecień tak liczne i dostojne towarzystwo weselne, jakie mało która stolica widziała kiedykolwiek w swych murach. Dążył tam mianowicie oblubieniec cesarski Karol, otoczony gronem panów czeskich i rzeskich. Po oblubieńcu potrzebną była przedewszystkiem obecność ojca oblubienicy, książęcia pomorskiego Bogusława. Z książęciem szczecińskim jechał jego królewski bratanek Waldemar Atterdag, głośny na północy monarcha duński. Zmierzał też do Krakowa najbardziej zainteresowany w całej sprawie król Ludwik, sławny w ówczesnym świecie jako pan tylu koron (to jest wymienionych w jego intytulacyi królewskiej, koron Węgier, Dalmacyi, Kroacyi, Ramy, Serwii, Galicyi, Lodomeryi, Kumanii i Bośni), „ile zaledwie wszyscy inni królowie europejscy, razem wziąwszy naliczyć mogą“. Przy boku syna Ludwika znajdowała się królowa Elżbieta, poniewolna przyczyna poprzedniej wojny i teraźniejszego wesela. Każden z monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru, mieć w swoim orszaku kilku

książąt hołdowych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV. książęta bawarski i świdnicki, Otto i Bolko; z królem Ludwikiem Władysław, książę opolski; nareszcie mazowiecki hołdownik Kazimierzów, książę Ziemowit. Nie chybiło dalej bogdaj poselstwo od sprzymierzonych książąt rakuzkich, przeszkodzonych w osobistym przyjeździe śmiercią spółprzymierzeńca Mejnharda, którego osierocone dziedzictwo, hrabstwo Tyrolu, przechodziło tymiż właśnie dniami w wieczyste posiadanie rakuzkie. Nie brakło podobnież któregoś z posłów papiezkich, błogosławionych sprawców całej uroczystości. A cóż za tłumy bezimiennych książąt pomniejszych, pośledniejszego rycerstwa, tak zwanej wędrownej, czyli błędnej z wszystkiego świata szwaleryi, płynącej w każdej porze podobnej na miejsce zgromadzenia, płynęły obecnie do Krakowa! Wszakże nad wszelką mieszaninę tak różnobarwnych drużyn gościnnych niższego rzędu, nawet poniekąd nad owe znajome głowy monarsze, świecił oczom ówczesnym i świeci wspomnieniu dzisiejszemu pewien obcy, zdaleka nadciągający przybysz królewski. Był to król Jerozolimy i Cypru Piotr, z rycerskiego domu Luzynianów francuskich. Mimo krótkości panowania swojego, zasłynął on w dziejach jako Piotr „Wielki“, a pełna przygód historya jego rodu i życia, otoczyła go wszelkimi promieniami romantyki średniowiecznej.

Luzynianowie francuscy wypiastowali się na łonie czarodziejskiej rycerskich czasów poezyi, która najpiękniejsze kwiaty swego zmyślenia, jak np. znaną po dziśdzień powiastkę o Meluzynie, lubiła splatać z dziejami ich domu starożytnego. Najromantyczniejszy obrót historyi średniowiecznej, krzyżowe wyprawy do ziemi św., zaniosły Luzynianów na tron Jerozolimy i owej wyspy Cypryjskiej, „szczęśliwej“ wyspy gajów oliwnych i cyprysowych, którą starożytność klasyczna uznała najrozkoszniejszym zakątkiem swojego świata, czyniąc ją rodzinnem miejscem bogini rozkoszy i miłości, siedliskiem czci Afrodyty. Od niedawna na cypryjskim tronie osiadłszy, królował Luzynian Piotr nie królując, częstszy gość za granicą niż w domu, chciwszy wieńców sławy rycerskiej niż panowania, wiedziony raczej poetycznemi widzeniami jakiejś wielkiej przyszłości, niż pospolitą chęcią rozkoszowania w słońcu dzisiejszem. Gwoli tej wymarzonej chwale lat przyszłych, dla odzyskania utraconej do Turków stolicy jerozolimskiej, opuścił Piotr swoje królewstwo rzeczywiste i w połączeniu z kawalerami rodyjskimi, począł najprzód wojować Saracenów w Azyi mniejszej, mianowicie pod murami szczęśliwie wydartej im Salalii. Ztamtąd udał się zwycięski Cypryjczyk do Europy, aby za pomocą nowego papieża Urbana wzbudzić powszechną wyprawę krzyżową do ziemi świętej.

Dwór awinioński okazał najgorętszą przychylność zamysłom Luzynianowym, podzielanym również przez króla Francyi Jana. Chcąc im dalszą uzyskać pomoc, skierował Piotr kroki swoje ku cesarzowi Karolowi IV, wybierającemu się właśnie na gody weselne do Krakowa. Blizki tam zjazd tylu królów i książąt zdał się Luzynianowi nader pomyślną sposobnością do wielkiej odezwy na rzecz krucyaty. Zaproszony więc przez Kazimierza W., udał się Piotr Wielki wraz z cesarzem Luksemburczykiem, do stolicy polskiej nad Wisłę.[9] Jak niedawno, według kroniki, cały wschód i zachód, stawał u podnóża Tatrów do boju naprzeciw siebie, tak obecnie tenżesam wschód i zachód, a z Waldemarem i Luzynianem jeszcze i północ i południe, dążyły zgodnie na krakowską ucztę pokoju.

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali. Brakowało tylko cesarza, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała przybywać wszędzie ostatnim. Gdy go wreszcie oznajmiono w Olkuszu, wsiedli na koń wszyscy czterej królowie, Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie nuncyusza papiezkiego, poprzedzeni nieprzejrzanym tłumem panów każdego dworu, wyjechali drogą olkuską naprzeciw cesarzowi. O milę od Krakowa obaczyły się zdaleka oba nadciągające ku sobie dwory. Nastąpiła zwyczajna wówczas walka

grzeczności i ceremonii. Uradowany wyrządzoną sobie attencyą, cesarz zsiadł z konia i szedł pieszo na spotkanie monarchów. O czem od dworzan swoich usłyszawszy królowie, zeskoczyli czemprędzej z siodeł i podobnież pieszo nieśli powitanie gościowi. Wtedy przy podaniu sobie rąk przez monarchów, przy wielokrotnych uściskach pomiędzy nimi, przy podobnemże witaniu się książąt i rycerstwa wszystkich dworów, witaniu się tylu różnych języków i narodów na małym ziemi polskiej kawałku, cóż za radość przejęła wszystkie serca! A serca ludzkości tamtoczesnej, o pół tysiąca lat młodsze od dzisiejszych i dziecinniejsze, lubo zawsze teżsame w gruncie, niezmiernie przecież odmienniej, swobodniej, nieumiarkowaniej niż dziś wyrażały, co czuły! Zadowolenie próżności roztaczało za sobą pawi ogon najjaskrawszej pstrocizny i błyskotności w stroju, najdzikszych przechwałek w ustach; gniew ściskał natychmiast, czyto rycerskie, czy nawet królewskie pięści do ciosu; a łza wzruszenia, ledwie w najgłębszych wstrząśnieniach duszy zwilżająca dziś oko męzkie, rozlewała się z lada powodu najobfitszym strumieniem płaczu. Czytając po kronikach co chwila o płaczących z radości lub smutku bohaterach, mniemamy to kwiatem krasomowstwa kronikarskiego, gdy tymczasem ci bohaterowie o brzęczących pancerzach i szyszakach, chociaż zrana krwawemi godzili na

się pięściami, wieczorem na prawdę najrzewniejszym szlochali płaczem. Takimi też „gęstemi łez potokami“ — upewnia nas kronika — obchodzili teraz zgromadzeni rycerze, książęta i monarchowie uroczystość powitania się przed Krakowem. I dopieroż po ulżeniu w ten sposób przepełnionym radością sercom, wsiedli wszyscy znowuż wesoło na koń i posunęli ku miastu. Tuż przed bramami miejskiemi czekał ojciec oblubienicy cesarskiej, książę Bogusław, wraz z panną młodą, otoczoną strojnem gronem matron i dziewic. Zaczem nowe ceremonie i przywitania, nowe dalej pokłony witającego w bramach stolicy duchowieństwa, mieszczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na tem dzień cały i dopiero pod wieczór stanęli monarchowie w zamku królewskim. Tam obowiązek godnego przyjęcia gości dawał miejsce innym czynnościom i zachodom, w których kto inny zwracał główną na się uwagę. Mówimy tu o zachodach około wygodnego pomieszczenia tylu a tylu gości różnego stopnia, języka i obyczaju — około dzieła daleko większej zasługi w chwili obecnej, niż chwały u potomności. Dziełom takim kwitnie zazwyczaj równie rzadko wieniec uznania, jak głównym zaletom wielkich wodzów wojennych. Wielkich wojowników wielbi opinia świata pospolicie tylko z odwagi i bystrości oka na polu bitwy, lekceważąc również znamienitą a częstokroć daleko istotniejszą zasługę, odnie-

sioną przez nich starannem zaopatrzeniem wojska w codzienne jadło i odzież. Podobnież i sława świetnego ugoszczenia zgromadzonych teraz w Krakowie królów i książąt, opowiadając głośno o przygotowanych im ceremoniach, ucztach i darach, zapomina mniej sprawiedliwie o rzeczy, która może najprzyjemniej dała uczuć się gościom w chwili obecnej, tj. o ich okazałem, skorem, obfitem w wszelkie wygody pomieszczeniu, o posłusznem na wszelkie skinienia obsłużeniu. Ale nie zapomniał o niej mądry gospodarz korony i zamku krakowskiego, Kazimierz, i poruczył ją znanemu rozumowi człowieka, który prawie w równej z nim mierze podzielił sławę obecnych godów krakowskich. Był to właśnie ów ugościciel pięciu królów przy swoim stole mieszczańskim, mającym przecież w rzeczywistości daleko większe podobieństwo do stołu szlacheckiego niż mieszczańskiego. Zgodzimy się ponoś bez trudności na to zdanie, przypatrzywszy się z nami bliższemu wizerunkowi Mikołaja Wierzynka.

Pan Mikołaj nie był rodzonym, lecz „wmieszkanym (jak mówiono) Polakiem)“[10]). Pochodził on pierwotnie z krain nadreńskich, tj. nie tyle z Niemiec właściwych, ile z podległych koronie francuskiej ziem flandryjskich i hollenderskich, przesławnej wówczas ojczyzny przemysłu i zamożności mieszczańskiej. Obywatele tameczni, związani stosunkami kupieckimi z Gdańskiem, To-

runiem i Krakowem, przybywali do tych miast i krajów jako ludzie bogaci, przemyślni, przedsiębiorczy, i osiadłszy tam z niemałymi nieraz kapitałami, oddając się korzystnym dla kraju i dla przedsiębiorców spekulacyom, dorabiali się ogromnej z czasem fortuny. Takim też prawdopodobnie sposobem zagnieździł się i w niezmierne w Polsce porósł bogactwa nasz „Nadreńczyk Mikołaj, zwany Wierzynek“. Na wszelki wypadek mieszkał on od bardzo dawna w swojej nowej ojczyźnie i już w pierwiastkach panowania Kazimierza W., na dwadzieścia lat przed wypadkami daty obecnej, był wielce zamożnym obywatelem polskim, nawet urzędnikiem koronnym. Bądźto świeżo unobilitowany, bądź starem zaszczycony szlachectwem, dość że szlachcic klejnotny, herbu Wierzynkowa, czyli Łagoda, przytem znamienity urzędnik krajowy, bo stolnik sandomierski, liczył on się raczej do panów ziemskich, niż do rzędu mieszczan zwyczajnych. Miał Mikołaj wprawdzie obywatelstwo czyli prawo miejskie w Krakowie, posiadał grunta miejskie, mianowicie szerokie obszary po obudwóch brzegach Prądnika,[11]) bywał nawet niekiedy rajcą, czyli konsulem miejskim, lecz te wszystkie cechy miejskości służyły podobnież wielu innym członkom szlachty krajowej, posiadającej często pewną własność na gruncie miejskim; a zaszczyt radziectwa krakowskiego, zwyczajnie tylko przemijający,

doroczny, od wyboru wojewodów ziemskich zawisły, znamionował częściej łaskę i zaufanie u dworu, niż moralną i obyczajową spólność z mieszczaństwem. Jako szczęśliwy zresztą właściciel wielu rzeczy światowych, zadziwiał Wierzynek także właścicielstwem przemnogich tytułów i obowiązków, przedstawiających go w coraz odmiennym charakterze. Jakby w wiele różnych osób rozmnożony swoją obrotnością wszechstronną, jest on naprzód stolnikiem sandomierskim, tj. dzierzawcą włości królewskich województwa Sandomierskiego, z obowiązkiem dostarczania dworowi królewskiemu wszelkich potrzeb stołowych. Podczas wyboru rajców w Krakowie podejmował się upossesyonowany tamże stolnik na jakiś czas zaszczytu radziectwa krakowskiego, a gdy przyszła pora wybierania podatków do „komory“ królewskiej, widzimy go w niektórych dawnych zapiskach „poborcą ziemskich“.[12]) Żupy wielickie znały go jednym z swoich żupników, a w miasteczku Wieliczce posiadał on wójtowstwo, które przemyślny Nadreńczyk wzbogacił nowozałożonymi kramami różnych rzemiosł.[13]) W pobliżu Wieliczki i Bochni należała p. stolnikowi sandomierskiemu, niewątpliwie pomiędzy wielą innemi posiadłościami ziemskiemi, „zdawiendawna“ wieś Skrzynka, gdzie pan Mikołaj występował w całym blasku ówczesnej władzy „dziedzica“. Zjeżdżając więc ze trzy razy na rok do Skrzynki, bywał

on podejmowanym dwakroć przez kmieci, raz przez sołtysa; albo jeśli się mniej częsta zdarzyła tam gościna, pobierał czwartą część grzywny za każdy dzień pobytu, czyli za każden „obiad". Na odgłos wojny musiał sołtys ze Skrzynki przystawiać pod herbową chorągiew pańską jednego kopijnika, tj. jeźdźca w ciężkim rynsztunku z kopią i przynajmniej dwóch lżej uzbrojonych pachołków. W imieniu też dziedzica odprawiały się wszelkie sądy poddanych i pobierały się zwyczajne kary pieniężne, niemałe źródło dochodu. Za cztery główne zbrodnie stawali kmiecie przed trybunałem samego pana lub jego rządcy, za mniejsze przed sołtysem, którym od czterech właśnie lat, na mocy darowizny pana stolnika, był niejaki Hencelin Wierzynek, jego „wierny domownik", a zapewne i krewny. Gdyż do wielu innych dóbr ziemskich dał Bóg panu Mikołajowi także niemało krewnych, a na tym samym dokumencie, którym ów Hencelin Wierzynek otrzymał sołtystwo w Skrzynce, czytamy pomiędzy podpisanymi świadkami, drugiego nawet „Mikołaja Wierzynka, mieszczanina z Krakowa", także „służebnika" stolnikowego.[14]) Nie nazywa atoli dziedzic Skrzynki żadnego z tych Wierzynków krewnym swoim w dokumencie wspomnianym, bo jego fortuna ogromna, w połączeniu z mądrością niepospolitą, wyniosła go wysoko ponad poziom zwykłych rodzin mieszczańskich,

wprowadziła go w stosunki z książętami, osobliwie z własnym królem Kazimierzem. Ze swego obowiązku stolnika i dostarczyciela dworowi królewskiemu wszelkich potrzeb stołowych zostawał on w ciągłych stycznościach z całą liczbą dworzan i domowników królewskich, mając wiedzieć dokładnie, ilu głowom przysposobić powinien żywność. Niedaleko mu zatem było do nadzoru nad całym dworem i rzeczywiście poruczył mu król Kazimierz zarząd wszystkiej wyższej i niższej „czeladzi“ dworskiej, oddał mu najwyższe u dworu dyspozytorstwo ekonomiczne, wkładające nań obowiązek starania się np. o jak najgodniejsze przyjęcie i zaopatrzenie na zamku wszelkich gości królewskich. Potrzebując ku temu znacznych zawsze sum w pogotowiu, żupnikując przytem w Wieliczce, pełniąc nieraz obowiązek poborcy, urzędował pan stolnik tem samem jako zawiadowca intrat królewskich, bywał owszem rzeczywistym podskarbim. Bądź to zresztą w charakterze tylorakiego urzędnika korony, bądź dla znanej królowi mądrości i biegłości w sprawach światowych, uczestniczył on w wszystkich radach królewskich,[15]) ledwie nie pierwszym zaszczycony tam głosem. Przy takiem zaś znaczeniu u własnego monarchy nie obeszło sie bez stosunków z książętami zagranicznymi, z których niejeden prośbami o pożyczenie pieniędzy nawiedzał uprzejmie p. stolnika sandomierskiego. Z wszelkich

bowiem wymienionych tu obowiązków i posiadłości, jako też z ubocznych spekulacyi handlowych rosły w skarbcu Wierzynkowym ogromne sumy złota, które obrotny Nadreńczyk wolał po zagranicznemu pożyczać na procenta, niż staroświeckim zwyczajem kraju zakopywać na przyszłe lata w ziemię. Toć tenże sam cesarz i król Karol IV., któremu teraz w Krakowie wyrządzano takie honory, zapożyczał się w swej młodości, jeszcze jako margrabia morawski, przed dwudziestą z okładem lat, znacznemi kwotami pieniężnemi u p. Mikołaja Wierzynka,[16]) już wówczas stolnika sandomierskiego i zamożnego. Był więc nasz bogacz Kazimierzowski (acz to najmniejszą sprawia uciechę) bogatym jeszcze w lata, których już ponoś niewiele, zaledwie pięć, pozostawało mu do spędzenia na ziemi.[17]) Owóż jakoby ostatnim zaszczytem jego życia padł mu teraz obowiązek ugoszczenia królewskich swatów, wnuki pana swojego, przyjęcia na zamku krakowskim tylu z szerokiego świata monarchów. Pan stolnik dopisał z nieśmiertelną chlubą obowiązkowi. Nagromadziwszy dostatek wszelkich zapasów, mając na zawołanie całą służbę królewską, a liczono u dworu krakowskiego po czterystu i więcej dworzan podówczas, potrafił on tak dogodnie i z takim ładem poumieszczać i obsłużyć wszystkich gości królewskich, iż żadnemu nie zabrakło na niczem, nie zaszła żadna

zwłoka, ani zamieszka, nie zapomniano o nikim. Cesarz z królami i książętami otrzymali „przepyszne mieszkania i komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowia i klejnoty rozliczne“. Mniej znakomitym panom, niezliczonemu tłumowi zaproszonych i owszem nieproszenie przybyłych zewsząd rycerzy wyznaczono „uczciwe“ gospody w mieście. Każdemu z panów, każdej gospodzie miejskiej, przydany został osobny komornik, czyli przystaw, mający pamiętać o wszystkich wygodach gości. Wszystkim przystawom żalecił król Kazimierz słuchać rozkazów najwyższego zawiadowcy, Wierzynka. Pod jego kluczem rozwarły się wszystkie skarbce, komory, piwnice i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne szpichrze Kazimierzowskie. Z nich, na podobieństwo panny młodej u niektórych ludów słowiańskich, obsypywanej w dzień ślubu rzęsistym deszczem pszenicy, oblały się weselne gody krakowskie obfitością wszelkich potrzeb, żywności i napojów, przypominającą cudowne gody onego w Kanie Galilejskiej wesela. Przyszłoby całą księgę napisać, gdybyśmy chcieli opowiadać wszystkie szczegóły uraczenia gości królewskich. Dość będzie nadmienić, iż każden nietylko do zbytku otrzymał tego, co zwyczajnie należy się gościowi, lecz nadto dawano mu obficie, czego tylko zażądał, czego zapragnął z sobą na drogę lub do domu. Nasławszy wszystkim wszystkiego

do komnat w zamku i gospod w mieście, porozstawiano jeszcze na rynku krakowskim ogromne w wielu miejscach beczki i kadzie, pełne wina i owsa, z których każden czerpał nietylko w miarę potrzeby, lecz owszem po swawoli, a które natychmiast stawały znowuż pełne jak wprzódy. A jaki ład w obsłudze, jaki dostatek panował w zaopatrzeniu, taka też wesołość niezwyczajna ogarnęła serca wszystkich gości weselnych. Właściwa pora zaczynała się dopiero od chwili ślubu wziętego. Aby więc nie tracić czasu na próżno, odbył się ślub cesarski już trzeciego dnia po zjechaniu oblubieńca Karola. Odbył się zaś w katedrze zamkowej, w obecności wszystkich zgromadzonych królów, nuncyusza papiezkiego, książąt, panów i szlachty, cudzych i swoich. Celebrował go przesławny arcybiskup gnieźnieński Jarosław, jeden z znamienitszych mężów tego bogatego w najciekawsze postacie czasu, starzec blizko dziewiędziesięcioletni, jeszcze trzynaście lat mający żyć na świecie, już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrszy z żyjących wówczas Polaków". Po ślubie nastąpiła wypłata posagu, oznaczenego przez Kazimierza W. w sumie stu tysięcy złotych florenckich. Była to stosunkowo suma zbyt szczupła, zaledwie którąś cząstkę wydatków na gody weselne stanowiąca. Mógł ją owszem jeden prywatny bogacz Wierzynek, jako o tem w krótce usłyszym, zło-

żyć biesiadowym podarkiem królowi Kazimierzowi. Bo też podówczas żony nie brały się dla posagu, ani dla osobistych nawet powabów. Panu młodemu chodziło głównie o teścia, o szwagrów, o bratanków, o całą męzką parentelę oblubienicy, nie przynoszącej pierwotnie żadnego prawa do fortuny rodzinnej. Wszakże wiadomo, że zwłaszcza u nas, kobiety czasów piastowskich wykluczone były od dziedziczenia w majątku familijnym, zachowywanem całkowicie rodzeństwu męskiemu, choćby stopni najodleglejszych, zbywającemu siostrę ladajakim szelągiem posagowym. Nie cenne zaś zaletami osobistemi, nie zdolne bogatym nawet posagiem „uszczęśliwić“ małżonka, chyba osobliwszym zbiegiem wypadków wyniesione nad poziom służebności domowej, miały kobiety w ogóle nader podrzędne znaczenie w życiu, a szczególniej w społecznym porządku tamtych stuleci. Wszelkie też głośne dzisiaj uwielbienie szwaleryi dla płci słabej, wszelkie oddawane jej hołdy, okazują się raczej złudą świecącą, niż dowodem rzeczywistej fortuny kobiet w życiu i społeczeństwie. Potrzebowały one zaiste paladynów obrończych; sama natura wynajdowała pomoc rażącym niedogodnościom społeczeństwa tamtoczesnego, przejmując obyczaje rycerskie entuzyazmem opieki nad niewiastą, bo w świecie rzeczywistym gniotła ją barbarzyńska zewsząd niewola. Marzycielom rycerskim, poetom jak np. przyjacielowi naszego

oblubienica cesarskiego, Petrarce, pozwalano dopuszczać się tysiąca niedorzeczności na cześć kochanek, uwielbiać w sentymentalnych trelach przekwitłe wdzięki Laury, a w kole mężów poważnych, w zgromadzeniach uzbrojonych rzeczywistą władzą nad społeczeństwem, przed trybunałem sądowym i na soborach duchownych za Merowingów, odsądzono córki od równego udziału w spadku ojcowskim, roztrząsano owszem pytanie, „ażali godzi się nazywać kobiety ludźmi?“[18]) —pytanie niezupełnie jeszcze rozstrzygnione w wieku XVI.[19]) Kobiecie 14-go wieku, należała niezaprzeczenie godność człowieczeństwa jako matce, córce, żonie, siostrze szlacheckiej; kobieta sama przez się, jako stworzenie boże, bez herbu i familii, daleka była od uroszczenia, aby ją stawiano na równi z rodzeństwem męskiem, aby ktokolwiek ujmował się o jej cześć. Jakoż czas nareszcie dać tu miejsce uwadze, która może wiele uroku odejmie opowiedzianym wypadkom, lecz przyda im wiele prawdy. Cała nasza wojna o cześć kobiety była właściwie wojną o honor mężczyzn, o honor syna Ludwika i brata Kazimierza. Matka Ludwika jako kobieta, każda z kobiet ówczesnych jako taka, nie była nawet wyłączną właścicielką swojej własnej obrazy. Oblubienicy cesarskiej, wnuce bogatego króla Kazimierza, starczyła posagiem dziesiąta część tej sumy, jaką sławny w tymże wieku mistrz

krzyżacki Wallenrod trwonił według podania na jedną ucztę rycerską.

Takież uczty kosztowne, a wesołe, uczty blizko trzechtygodniowe, miały teraz rozgłosić po świecie uroczystość wesela cesarskiego w Krakowie, chwałę gospodarza godów, Kazimierza. Codziennie przez dni dwadzieścia szły nieprzerwaną koleją turnieje, biesiady, tańce, krotofile i uciechy wszelkiego kształtu. Z turniejami łączyły się ceremonie rozdawania przez Kazimierza bogatych danków rycerskich, każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, „zdumiewającymi swoją częstością i kosztownością“, każda uciecha śmiała się namiętnem z całej piersi weselem, nie zapamiętanem nigdy w takiej pełni i gwałtowności. Bo jak gdyby sama pora obecnych godów krakowskich chciała podnieść je nad wszystkie znane uroczystości tego rodzaju, odbyły się one właśnie w dobie rozgorzenia świata powszechnym szałem radości. Była to radość z ocalenia od wielkiego niebezpieczeństwa, które wszystką ludzkość ówczesną śmiertelnemi niedawno opasało ramiony, a w znacznej części nawet pochłonęło w istocie. Dwoma laty przed weselem krakowskiem grasowała w Europie, po dwakroć w przeciągu dwunastu lat, najokropniejsza ze znanych w historyi dżum, tak zwany „czarny mór“, mniemany koniec świata. Owszem, pastwiąc się bezopornie nad pozbawionym wszelkich pra-

wie środków pomocnych światem, pożerając wszędzie krocie a krocie ofiar, w samym Krakowie przeszło 20.000 mieszkańców przyprawiwszy o śmierć, stała się ta plaga boża rzeczywistym końcem świata dla całej trzeciej części ludzkości europejskiej, a w niektórych krajach, jak mianowicie w Niemczech, dla całkowitej połowy. Druga połowa, porażona w swojej młodzieńczej wyobraźni apoplektycznem wrażeniem trudnej do pojęcia dziś klęski, uległa istnemu zawrotowi umysłu i szalejąc w jednej części szaleństwem owych włóczących się po świecie, w pół obłąkanych, wyklętych od kościoła sekt biczowników, uniosła się w wiekszej części szałem rozkiełzanej na wszystko uciechy i wesołości, pragnącdj przetrwonić, przerozkoszować coprędzej resztę życia i mienia, zanim nowy wybuch gniewu bożego zada ostatni rodowi ludzkiemu cios. Zaczem jak szeroko wzrok historyi zasięga, rozewrzała we wszystkich krajach europejskich szalona żądza zabawy, brzmią zewsząd głośne w kronikach uczty, pląsy i spiewy, nastała pora powszechnej swawoli obyczajów, ogarniającej nawet najpoważniejszy ze wszystkich stanów, nawet najwyższą jego sferę. Trwał ten paroksyzm uciechy przez lat czterdzieści do pięćdziesięciu i rzuca dziwnie jaskrawą łunę na teraźniejsze gody krakowskie, obchodzone właśnie u jego wstępu, w niemałej zapewne mierze przejęte jego natchnieniem. Należąc zaś do jego naj-

pierwszych objawów pod względem czasu, były one także pierwszemi co do znamienitości zgromadzenia swojego, co do mnogości sproszonych u jednego stołu koron królewskich i książęcych, których żaden z festynów tamtoczesnych nie zgromadził tak wiele w jednem miejscu, nie uraczył z tak rozrzutną, owszem cale bajeczną okazałością, chcącą przed wszystkim światem roztoczyć chwałę swoją. Toż nie co innego stało się Kazimierzowi pobudką do przysposobienia tak szumnych godów weselnych, tego najskuteczniejszego wówczas środka popisania się zamożnością monarszą. „Chcąc okazać światu sławę królestwa swego“ — mówi podkanclerzy i historyk Kazimierzowski[20]) — „wyprawił Kazimierz wielkie ucztowanie w mieście Krakowie“.

I nie samegoż tylko Kazimierza pobudzała wesołość tamtoczesna do zaspokojenia tym sposobem ambicyi swojej. Zapragnął i możny zarządzca jego dworu, pan stolnik sandomierski, milionowy bogacz Wierzynek, uczynić sobie zadość ucztą bezprzykładnej okazałości. Mógł monarcha krakowski przez dni tak wiele podejmować gości wspaniale, toć i jego sędziwemu mistrzowi dworu godziło się pożądać na chwilę tego zaszczytu. A patryarchalność epoki, nie stawiącej żadnego prawie przedziału ogłady edukacyjnej między panem a sługą, równie rubasznymi jednym i drugim; a szanowność tego zacnego sługi, równie czcigo-

dnego wiernością jak fortuną i siwym włosem, wnosiły wymowną za nim instancyę. Za czyjem staraniem królowie i wszyscy goście mogli tak długo oddawać się w swobodzie i wygodzie wszelkim uciechom, temu należała się w końcu odwdzięka krótkiego pobiesiadowania pod jego własnym dachem. Pozwolili tedy królowie zaprosić się przezeń na ucztę i majestatycznym pochodem udali się z księżętami i pany do jego domu, opodal od zamku krakowskiego. Co więcej, za przybyciem cesarza i królów w domowe progi pana stolnika sędomierskiego, odniósł on nowy dowód ich łaski. Gdy już zasiadać miano do stołów, pokłonił się starzec monarchom prośbą, aby według własnego zdania mógł oznaczyć miejsce każdemu z królów. Otrzymawszy zaś bez trudności to pozwolenie, obrócił się Wierzynek do króla Kazimierza i rzekł: „Tobie, najjaśniejszy panie, winien jestem wszystko, co mam. Ty swojemi dobrodziejstwy bez miary wzbogaciłeś mię przybysza; między najpierwszymi panami posadziłeś mię gościa w twojem królestwie; tobie też pierwsze miejsce u mego stolu!“ — i posadził Kazimierza najwyżej. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi Karolowi IV., swojemu z dawnych lat znajomemu a nawet dłużnikowi. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski Ludwik, przy Ludwiku Cypryjczyk Piotr, a ostatnie miejsce zajął Waldemar duński. Reszta książąt i panów rozsadowiła

się według zwyczajnego porządku. I wszczęła się wielka uczta, głośniejsza w pamięci pospolitej od wszystkich zdarzeń, które jej dały początek. Kto na niej nie był, temu trudno uobecnić sobie jej rysy, tak różne od dzisiejszych, jej wesołość rubaszną, jej dziwną mieszaninę przesadnej ceremonialności z prostoduszną poufałością, jej śmiechy szczere i wiwaty ochocze. Temci jaśniej świeci wzrokom dzisiejszym wspaniałość zebranych w Wierzynkowym progu spółbiesiadników, mianowicie jego gości królewskich. U jednego i tegoż samego stołu, nie powtórzonym może przykładem w dziejach, siedziało czterech monarchów, uczczonych przez potomność przydomkiem Wielkich: Kazimierz Wielki, Karol IV. Wielki, król Czech, „Wielki“ w Węgrzech król Ludwik, i cypryski Piotr Wielki. Ich piąty spółtowarzysz Waldemar, jeśli nie mądrością i szlachetnością serca, tedy przynajmniej potężnym dorównał im charakterem, acz nieco zbyt surowym, ponurym i ciężkim narodowi. O trójcy sąsiadujących z sobą monarchów Polski, Węgier i Czech, o Kazimierzu, Karolu i Ludwiku, łatwo doczytać się wielkich rzeczy w każdej księdze dziejowej i uczyniono już pobieżną wzmiankę powyżej. Dwaj dalsi ich sąsiedzi u stołu Wierzynkowego, królowie Cypru i Danii, przedstawiali również niepowszedni, a nigdy bliżej nie opisany widok, widok osobliwszej sprzeczności rodzinnych obyczajów

i stron, stron południa i północy europejskiej, ojczyzny Afrodyty helleńskiej i groźnych Norn skandynawskich. Syn słonecznego Cypru i Palestyny, wychowaniec szwaleryi południowej, połyskał (jak powiedziano) wszelkimi promieńmi romantyki średniowiecznej, marzącej ustawicznie o przygodach rycerskich, o awanturniczych po szerokim świecie wyprawach, o walkach z potworami, mianowicie z najokropniejszym z potworów, saraceństwem. Poświęcając całe życie zamysłom i trudom krzyżowej wojny z Turkami, rojąc nader nieprawdopodobne odzyskanie korony palestyńskiej, powodował on się w tem napoły rzeczywistym interesem swego berła i rodu, napoły zaś poetycznem natchnieniem, poetycznemi widziadły cywilizacyi ówczesnej, a jego teraźniejsza gościna w stolicy polskiej, jego obecność u stołu biesiady Wierzynkowej, na którą pomiędzy tyle różnych ludów nieznanych zaprowadziło go nakoniec długie błąkanie się po całej prawie Europie, wypłynęła zapewne raczej z powszechnego zamiłowania rycerstwa w włóczędze po zagranicy, niż z rozsądnego zamiaru szukania związków dyplomatycznych i posiłków wojennych" tam, gdzie one w rzeczywistości bynajmniej nie uśmiechały się jego nadziejom. Na wszelki wypadek jego usilne gonienie jakiegoś wielkiego, acz niedosiężnie daleko świecącego mu ideału, kontrastowało pięknie z ponurą oziębłością na wszelkie odle-

glejsze zamysły w życiu, na wszelkie idealniejsze plany i marzenia ambicyi, cechującą cypryjczykowego sąsiada u stołu uczty obecnej, starego króla Danii Waldemara IV., równie mglistego w duszy, jak jego niebo. „*I morgen er atter en dag* — i jutro jeszcze dzień!“ — mawiał Waldemar obojętnie, z niejakiem przesyceniem długością dnia dzisiejszego, ilekroć fortuna w czemkolwiek nie dopisała; skąd jego przydomek w dziejach, Atterdag. Waldemarowe zwierzchnictwo nad przyległą Litwie Estonią, jego udział w niektórych wyprawach zakonu krzyżackiego do Litwy, głośne na całą północ wieści o jego twardych rządach, czyniły go mniej obcym dworowi i narodowi polskiemu za Kazimierza, niż pamięci dzisiejszej, lecz nie ujmowały mu serc. Surowy Duńczyk ściskał srożej swój naród, niż mrozy ziemię północną. „Za króla Atterdaga“ — skarżą się kroniki duńskie — „nie miał nikt nawet tyle czasu wolnego, aby zjeść, spocząć i wyspać się; tak ciężkie robocizny gniotły kraj cały“. Rozpamiętując swoje skołatane burzami życie, osobliwie dokuczającą mu często podagrą rozsrożony, zwykł był Waldemar żałować głośno trzech rzeczy: naprzód, iż nie kazał zabić w dzieciństwie swoją córkę Małgorzatę, późniejszą twórczynię sławnej unii kalmarskiej, jednoczącej wszystkie trzy korony skandynawskie; iż nie kazał udusić goszczących u siebie posłów hanseatyckich; a trzecie, iż

nie kazał uwarzyć żywcem dwóch śmiertelnych wrogów tronu swojego. Gdy niekiedy w boleściach omroczyło go skrzydło śmierci, odpychał starzec z niechęcią wszelkie pociechy ludzkie, a wzdychał w niebogłosy: „O wspomóż, Ezrom, wspomóż, Soer i wspomóż ty, wielki dzwonie mój w Lund!“ — były to trzy główne fundacye duchowne Waldemara.[21]) Skoro zaś zdrowie wróciło, wyruszył król Atterdag w dalekie podróże po zagranicy i gnany owym powszechnym niepokojem rycerstwa wędrownego, pielgrzymował do ziemi św., ciągnął w odwiedziny do papieża Innocentego VI. w Awinionie, wyprawiał się z Krzyżakami do Litwy, zjeżdżał do stolicy krakowskiej, na ucztę Wierzynkową, nie mniej porywczy tam spółbiesiadnik jak niejeden z łagodniejszych książąt ówczesnych. Gdybyśmy bowiem chcieli zrobić sobie wyobrażenie o teraźniejszej zabawie królów u stołu Wierzynkowego, zwłaszcza przy kielichu po wetach, nie mogłaby nie przypomnieć się nam zgiełkliwa scena takiejże biesiadnej zabawy kilku królów i książąt, po części tych samych, którzy teraz ucztują u pana stolnika sędomierskiego, opisana w wspomnianych poprzednio własnoręcznych pamiętnikach cesarz Karola IV., naocznego świadka, owszem spółuczestnika wypadku. Oto w drodze na wyprawę krzyżową do ziemi pruskiej, w Wrocławiu, przed laty blizko dwudziestu, siedzi przy bankiecie król czeski Jan, ojciec tera-

źniejszego cesarza Karola; siedzi teraźniejszy król węgierski Ludwik, wówczas dopiero siedmnastoletni młodzieniec; wreszcie hrabia Hollandyi Wilhelm, mnodzy inni książęta i margrabiowie i sam opowiadający to autor, Karol IV, wówczas jeszcze margrabia Moraw. „Między innemi rozrywkami“ — pisze uczony Luksemburczyk[22]) — „jakiemi monarchowie zwyczajnie chwile sobie skracają, przyszła wówczas kolej na ową niegodziwą i szaloną grę w kostki, w którą król węgierski i hrabia Hollandyi tak zaciekle grali przeciwko sobie, iż hrabia zgrał króla na 600 złotych florenckich. Widząc zaś, iż król gniewa się o to i ledwie wstrzymać się może od złości, uniósł się hrabia podobnież gniewem i zuchwałością i ofuknął króla w te słowa: „Miłościwy panie! Dziwi mnie, iż będąc królem tak możnym, w którego kraju, jak mówią, złoto się rodzi, żal ci tak małej sumy pieniędzy i frasujesz się o nią. Wiedz tedy, królu, i wiedzcie wy wszyscy tu obecni, że z wygranych w kostki pieniędzy nie zwykłem robić użytku, lecz pozbywam się ich bez żalu“. Co rzekłszy, wszystkie wygrane w grze floreny rzucił pomiędzy stojący do koła lud. Król jeszcze większym na to zaczerwienił się gniewem, lecz jako człowiek rozumny, dyssymulował i zamilkł“. Weselej niż podobną grą w kostki bawił się nieraz dwór Kazimierza W., bawiło się może i teraźniejsze towarzystwo królewskie przy uczcie Wierzynko-

wej, kuglarskimi figlami sławnego podówczas krotofilnika, Niemca saskiego Eulenspiegla, w spolszczeniu Sowizrzała, pierwowzoru nazwy i charakteru wszystkich późniejszych sowizrzałów. Trybem dzisiejszych artystów wojażujących, obnosząc swoje sztuki po różnych krajach, zbierał on wszędzie hojne żniwo oklasków i szelągów, kuglował po wszystkich miastach środkowej Europy, popisywał się nieraz przed królami niniejszej gościny u Wierzynka, mianowicie przed ponurym Waldemarem i naszym Kazimierzem.[23]) Wszakże najweselszą zabawę przygotował milionowy gospodarz dopiero pod sam koniec zebrania. Gdy goście królewscy mieli przyjąć już pożegnanie Wierzynka, uczcił on ich upominkami niezmiernej ceny, stopniującej się według stopnia dostojności każdego z królów. „Różne zaś dary“ — opowiada kronikarz — „które otrzymał w ten sposób król Kazimierz, dochodziły jak słychać wartości stu tysięcy złotych florenckich“. Jakżeby pamięć ludzka nie miała była przylgnąć chciwie do tej uczty krociowej, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach!

Śród scen takiego przepychu, zbliżył się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samemi świętami zielonemi, upłynęła pora godom weselnym. Przez dni dwadzieścia weseliły królów nieprzerwaną koleją krotofile wszelkiego rzędu, gonitwy, pląsy, a osobliwie huczne ban-

kiety w komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w owe „kurtyny, kobierce i purpury, na których wytwornym haftem perłami i kamieńmi drogimi, wyobrażone były orły i inne herby królewskie“ — w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy z szczerego złota, naczynia z jaspisu i kryształu, niezliczone rogi do picia, wysadzone złotem i srebrem — o czem wszystkiem mowa w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach.[24]) Cały ten wielodniowy przeciąg czasu wydał się jednym nieustającym bankietem i uchodzi też w kronikach rzeczywiście za jedną wielką ucztę, wyprawioną dla okazania zamożności korony. Na koniec, w tymże samym zamiarze, jak bogaty Wierzynek tak i Kazimierz W. udarował gości królewskich różnymi gościńcami, przeznaczonymi roznieść po dalekich krajach sławę bogactw i gościnności gospodarza swadźby krakowskiej. Natomiast miały według kroniki pozostać w Krakowie dokumenta zawartej między królami zgody i przyjaźni wieczystej, z któremi jednakże później niczyje nie spotkało się oko i które zapewne nie istniały nigdy w istocie. Całe wesele cesarskie w stolicy polskiej było jednym głośnym na wszystek świat dokumentem, jako po dniach rozterku wróciła jedność i przyjaźń między monarchów; lecz pergaminowe tego utwierdzenie pozostawiono niejako późniejszemu czasowi. Stanęła mianowicie dawniej

już ułożona uchwała, aby ostateczne załatwienie waśni o cześć królowej Elżbiety poruczyć dwom sędziom polubownym, królowi polskiemu Kazimierzowi i Bolkowi książęciu na Świdnicy. Pozwolono im oraz nie spieszyć z ogłoszeniem wyroku, choćby takowe nawet do kilku miesięcy się odwlokło. W obecnej bowiem chwili, rozjeżdżając się w różne strony, zwrócili królowie całą uwagę na inny wielki przedmiot. Wypłynął on naturalnym biegiem rzeczy z całego wątku wypadków dotychczasowych. Powiodło się ojcowskiej pieczołowitości papieża Urbana V. przejednać królów zwaśnionych, lecz oprócz zwyczajnych pobudek miłości chrześcijańskiej, świeciła mu w tem inna jeszcze myśl wielka, a tą myślą było zespolenie przejednanych monarchów w jedno powszechne przedsięwzięcie wojenne, pod znakiem krzyża — w powszechną wojnę świętą z Turkami. Tak jedno płoche słowo przeciwko czci Elżbiety, w coraz wyższe wzbijając się następstwa, wiodąc naprzód do szerokiej wojny między królami, dalej do pośrednictwa stolicy apostolskiej, stąd zaś do zamysłu wielkiej krucyaty, miało w końcu wznieść się po nad ludami sztandarem powszechnego powstania chrześcijaństwa przeciwko Islamowi. Głównym chorążym tego sztandaru apostolskiego stał się w obecnym razie rycerski król Cypru i Palestyny. Poświęciwszy słodycze ojczyzny i panowania temu wspaniałemu c lowi, nie omieszkał on po-

przeć w Krakowie upomnienia papiezkie, zachęcić królów do udziału w wojnie krzyżowej. Wszyscy monarchowie uznali słuszność wezwania. Żaden też nie uchylił się od pomocy, acz każden w różnym dawał ją stopniu. Kazimierz miał na karku ciągłą wojnę z pogaństwem litewskiem i tatarskiem, która miała zasługę krucyat. Ludwik ofiarował wojskom krzyżowym wolne przejście przez prowincye węgierskie. Cesarz Karol nie zaprzeczał położonym w niego nadziejom, iż w własnej osobie wyruszy do ziemi św. Dalsze zresztą szczegóły zamierzonej wyprawy miały być zadecydowane w stolicy apostolskiej, głosem papieża Urbana. Do Awinionu tedy zwróciły się wszystkie myśli i udała się osobiście znaczna część gości krakowskich. Szczodry ich gospodarz, Kazimierz, pozostał w domu, zajęty dopełnieniem ostatniego obowiązku gościnności, mianowicie przydaniem każdemu odjeżdżającemu królowi i książęciu osobnych urzędników, którzyby odprowadzili go aż do granic królestwa i o wszelkich po drodze pamiętali potrzebach. Główni przeciwnicy obadwaj, cesarz Karol i król węgierski Ludwik, wrócili pojednani do swoich stolic, ten z matką Elżbietą do Budy, tamten z młodą cesarzową Elżbietą do Pragi. Królowie Cypru i Danii pojechali do Awinionu, Luzynian Piotr z sprawozdaniem z swoich kroków ku zachęceniu książąt europejskich do wojny św., Waldemar Atterdag z pobożną czoło-

bitnią Urbanowi V, którego łaska i świętobliwość zhołdowały sobie na wieczne czasy umysł ponurego króla północy. W Awinionie, w całej Francyi, rozlegał się szczęk przygotowań orężnych do zapowiedzianej krucyaty. Sam król francuski Jan V. zaciągnął się pod chorągiew krzyżową i osobnem pismem papieskiem został mianowany naczelnym wodzem wyprawy. Jeśli nie w bieżącym jeszcze roku, tedy najdalej z wiosną roku przyszłego, miało nastąpić pospolite ruszenie chrześcijaństwa katolickiego przeciwko ludom koranu. Po stu latach spoczynku broni krzyżowej zanosiło się na nową dla niej porę zwycięstw i chwały.

Tymczasem król Kazimierz, wolny w tym roku od napadów Litwy i Tatar, krzątał się około polubownego zatarcia ostatnich śladów waśni czesko-węgierskiej. Aby zamierzona krucyata tem pewniejsze osiągnęła błogosławieństwo, powinni byli królowie przystąpić do niej z sercami zupełnie pojednanemi. Głównemu źródłu sporu, obrażonej czci Elżbiecinej, stało się już zadość poślubieniem Elżbiecinej wnuki z cesarzem. Resztę kąkolu pomiędzy nim a Ludwikiem umyślili obaj sędziowie polubowni, król Kazimierz i Bolesław książę Świdnicki, zgarnąć w jeden snop ryczałtowy i bez wszelkiego roztrząsania rzucić go w ogień. Zaczem gdy w miesiącu grudniu nadszedł termin ogłoszenia wyroku, ułożyli sędziowie następujący dekret kompromisarski, arcyszacowny zabytek dawnej

prostoduszności w rozsądzaniu najwyższych spraw, najcenniejszy może z przywiedzionych tu dokumentów dyplomacyi średniowiekowej. „My Kazimierz z Bożej łaski król polski i Bolko z tejże samej łaski książę szląski i pan Świdnicki, wiadomo czynimy wszystkim, którym na tem zależy, jako najjaśniejszy książę i pan, Karol IV., z przejrzenia Bożego rzymski i czeski król, tudzież oświecony książę Jan, margrabia morawski, z jednej strony; z drugiej zaś najjaśniejsi książęta i panowie, Ludwik, król węgierski i Rudolf, tudzież reszta jego braci, książęta Austryi, według brzmienia obszerniejszych w tym względzie listów, obrali nas za rozjemców, przyjacielskich jednaczy, czyli sędziów kompromisarskich, ku załatwieniu wszelkich między sobą sporów, niesnasek i rozterków, od czasów najdawniejszych aż do dnia dzisiejszego. Zaczem mocą udzielonej nam władzy rozjemczej, zawyrokowaliśmy zgodną wolą i przykazujemy listem niniejszym, aby obiedwie strony rzeczone, zaniechawszy wszelkich pomiędzy sobą sporów, niesnasek i rozterków, pozostały na zawsze dobrymi przyjaciółmi, bez wszelkiej obłudy i podstępności. A dla tem pewniejszego świadectwa kazaliśmy ułożyć pismo niniejsze, zatwierdzone pieczęciami naszemi. Działo się w Krakowie, w wigilię św. Łucyi (12. grudnia) roku pańskiego 1363-go."[25]) Księżna rakuska Katarzyna, córka cesarza Karola, a małżonka księcia

Rudolfa, sprzymierzeńca Ludwikowego, również przeto blizka stronom obudwom, podjęła się skłonić je do tem rychlejszego przyjęcia uchwały sędziów krakowskich. Nastąpiło to bez wszelkiej zresztą trudności. Już w kilka tygodni, dnia 10. lutego roku 1364-go, wydali sobie Karol, Ludwik, Karolów brat Jan, książęta rakuscy Rudolf, Albert i Leopold, uroczysty wzajem dokument, którym wszyscy zeznają, iż za pośrednictwem „najjaśniejszej, oświeconej, zacnej i mądrej Katarzyny“ przyzwolili na wyrok polubowny Kazimierza i Bolka i pod przysięgą na ewanielię św. i relikwię drzewa z krzyża pańskiego, zaprzysięgają sobie wieczystą zgodę i jedność.“[26]) Takim sposobem zgasła ostatnia iskra pożaru rozniecanego gwoli oczyszczenia sławy Elżbiety. Uwiadomiony o tem papież zaniósł gorące modły do nieba, iż mu dano było przywrócić spokój między królami. Legat papieski Piotr otrzymał pochlebne pismo papieskie, winszujące mu szczęśliwie dokonanych trudów poselskich. Inny list z Awinionu nakazywał mu podziękować monarchom, że tak przykładnie usłuchali przedstawień apostolskich.[27]) „Teraz zaś“ — kończyły dalsze listy papieskie — „gdy wrócił pokój królestwom chrześcijańskim, czas podnieść oręż przeciw niewiernym i śladem dawnych krzyżowców pod mury dążyć jerozolimskie...“

Ale nie taż sama gwiazda błogosławieństwa

świeciła wyprawie jerozolimskiej, co dziełu zgody krakowskiej. Projekt krucyaty zaczął wątleć na siłach, *aż w końcu spełzł na niczem. Spodziewany* naczelnik wojny św., król Francyi Jan, umarł na wiosnę roku 1364-go, zostawiając gotowego wprawdzie następcę tronu, lecz bez następcy w naczelnictwie krucyaty. Cesarz Karol IV. oddał się tymi czasy wyłącznym staraniom o przysporzenie nowej prowincyi domowi swemu i podobnie jak jego przeciwnikowi, rakuskiemu książęciu Rudolfowi, powiodło się w ciągu opowiedzianych tu zdarzeń zjednoczyć z posiadłościami rakuskiemi hrabstwo Tyrolu, tak on wzbogacił teraz dynastyę luksemburską nabyciem margrabstwa brandenburskiego. Sam rycerski Luzynian wytrwał w intencyi wojny krzyżowej, dla której z nader szczupłymi posiłkami udawszy się na wschód, zdobył tam z wielką chwałą Aleksandryę i niektóre inne miasta tureckie. Co jednakże nie sprawiło żadnej różnicy w losach chrześcijaństwa oryentalnego, gdyż nikt nie pospieszył z pomocą, a Turcy pozostali ciągle panami ziemi świętej i nawet Aleksandryę wkrótce odbili. Cały ów szereg następstw coraz wspanialszych, któremu dało początek obelżywe słowo Karola, stanął na wypadku sławnych godów wesela cesarskiego w Krakowie. Zamierzone niemi rozsławienie gościnności i dostatków kazimierzowskich okazało się szczęśliwszem od wszystkich

innych zamiarów, o jakich była mowa w opowiadaniu niniejszem. Znikła bez śladu potęga dynastyi luksemburskiej, upadło królestwo Cypru, zatarła się nawet pamięć imienia cnej królowej Elżbiety, a sława wielmożności ostatniego Piasta w koronie rosła coraz szerzej od tego czasu. Dopieroż natenczas — upewnia nas kronika — „zasłynęło godnie imię Kazimierza, króla polskiego, i rozniosło się odtąd po wszystkich krajach, i wszystkie też państwa katolickie i barbarzyńskie brzmiały odtąd sławą wspaniałości dzieł Jego.“ [28])

Przypiski.

1) Długosz *Historya* IX. 1135.
2) W Frehera *Scriptor. rer. Bohem.* str. 104.
3) Palacky *Gesch. Böhmens.* tom II. część II. str. 363 w przypisku.
4) Katona *Historya crit. reg. Hung.* X. 297.
5) Dogiel *Cod. diplom.* I. 152.
6) Wolturański czyli właściwie Wolturarski. Volturara miasteczko w Neapolitańskiem.
7) Raynald *Annal. eccles. ad a.* 1362 *§* 1363 *p.* 426.
8) Paprocki Ogród królewski str. 192.
9) Przeciw Długoszowemu podaniu o przybyciu Piotra do Krakowa przez Wołoszczyznę, dokładniej spółczesny Froissart *Histoire et Cronicque* vol. I. chap. 217, zgodnie z resztą źródeł spółczesnych, jak kroniką Villaniego, dokumenta w Raynaldzie itd,

[10]) Mówi tak o sobie drukarz krakowski Wietor w dedykacyi Rotterdamczykowego dzieła „księgi które zowią Język“. Kraków 1542.

[11]) Grabowski Ambroży, Starożytnicze wiadomości o Krakowie str. 288.

[12]) [13]) Boczkowski w Wiadom. o Wieliczce, str. 153, 78.

[14]) Wszystkie szczegóły według dokumentu z r. 1359, zbiory Zakładu nauk. im. Ossolińskich.

[15]) Długosz *Historya* IX. 1136.

[16]) Naruszewicz Historya nar. Pol. wyd. 1785 VI. 130.

[17]) Boczkowski Wiadomość o Wieliczce str. 153, z aktów wielickich podaje śmierć Wierzynka (przez pomyłkę *Stanislaus* zamiast *Nicolaus*) w roku 1368.

[18]) Gregor. Turon. w Bouqueta Script. rer. Gall. II. 322.

[19]) Obacz o tem pisma Gediciusa *Defensio sexus muliebris*, Mollera *De mulieribus hominibus*.

[20]) Archidiakon Gnieźn. w Sommersb. *Script. rer. Siles* II. 99.

[21]) Dahlmann *Gesch. von Dänemark* III. 23 itd. Wehtphalen *Monum. cimbr*. I. 1816.

[22]) Freher *Script. rer. Boh*. str. 104.

[23]) Sowizrzał krotofilny i śmieszny. Urodzenie, żywot, postępki i dokonanie jego dziwne, str. 67.

[24]) Archidiak. Gnieźn. Sommersb. *Script*. II. 106.

[25]) Katona *Historya critica regum Hung*. X. 323.

[26]) Tamże X. 327.

[27]) Raynald *Annales eccles. ad a*. 1364 nr. 10.

[28]) Długosz *Hist*. IX. 1139.

Zwycięstwo roku 1675
pode Lwowem.

Założenie plantacyi na zamkowej górze nad Lwowem przyozdobiło Lwów niezwyczajną piękną przechadzką. Swoi i obcy, wszyscy cenimy wysoce jej przyjemności, zachwycamy się jej wielorakimi powaby, nie znając przecież, albo nie przypominając sobie najwspanialszego jej wdzięku. Jestto wdzięk wielkiego wspomnienia historycznego, jest to otwierający się z niej widok miejsca, na którem spełniony został wiekopomny czyn bohaterski.

Patrzymy codziennie na jego scenę, przechadzając się po wschodnim rąbku plantacyi ponad łazienkami Kisielki i wiodąc okiem po tej niezmierzonej płaszczyźnie, która od rogatki żołkiewskiej, wprost błyszczącego stawku łazienek, rozpościera się i niknie poza przylądkiem dalszego pasma wzgórzów na prawo. Na tej to równinie stoczyła się r. P. 1675, za czasów króla Jana Sobieskiego, między 5 tysięcznem rycer-

stwem polskiem, a 40 do 60 tysiącami ordy tatarskiej i Turków, szczęśliwa dla chrześcijan walka, liczona do najświetniejszych tryumfów króla Jana III., który według wyrażenia się dziejopisów późniejszych[1]), „nie był nigdy tak wielkim, jak na pobojowisku pod Lwowem“. „Na tej to równinie“ — mówi spółczesny historyk angielski Connor, osobiście obeznany z dworem warszawskim, a nieprzyjaźny w ogólności Polakom — „odniesiono największe może zwycięstwo, o jakiem kiedykolwiek słyszały dzieje.“[2]) „Na tej to równinie“ — wtórzy mu wreszcie pisarz dzisiejszy, głośny historyk francuski Salvandy[3]) — „rozstrzygnęły się losy podziwienia godnej kampanii, która może nie ma równej sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi którejkolwiek z kampanii wieku naszego“. „W dzień tego zwycięstwa“ — donosi wreszcie urzędowa „Gazeta Francyi“, w nr. 103 z dnia 22. października r. 1675 — „zajaśniała opatrzność widomiej niż kiedykolwiek nad Polską i okazało się jawnie, że samo niebo opiekuje się tem przedmurzem świata chrześcijańskiego, które przed wszystkimi narody chroni go od nawału najsroższych nieprzyjaciół.“[4])

Czasy „zniesienia“ ordy pod Lwowem, tylko ośmią laty wcześniejsze od szturmów armii tureckiej do murów Wiednia i odsieczowej wyprawy króla Jana, były czasami najwyższej potęgi półksiężyca. Większa połowa Węgier, znaczna część

Ukrainy i Podola, zostawały pod panowaniem Osmanów. W węgierskiej stolicy Budzie, w świeżo zdobytym Kamieńcu podolskim, tureccy zasiadali baszowie. Rok po roku widział wojska tureckie wdzierające się w coraz dalszą głąb państw chrześcijańskich, po coraz dalsze podboje. Osobliwie Polska znalazła się w tej chwili narażoną na ciosy muzułmańskie. Z dworem wiedeńskim miała Porta od lat dwunastu pokój nader pomyślny, uwieńczony rozpostarciem granic tureckich aż po twierdzę Neuhäusel o 10 mil od Presburga, pozwalający Turkom zbroić się do wyprawy wiedeńskiej. Cały ciężar zwycięskiej potęgi W. Sułtanów spadł na omdlałe królestwo obudwóch Piastów ostatnich: króla Michała Korybuta i Jana III. Sobieskiego. Przez kilka z kolei lat uderzała ta potęga siłą rozhukanego morza w nadszczerbione granice polskie, zalewając je raz po raz, mianowicie w latach 1672, 1673, 1674, 1675, 1676, zbrojnymi tłumy ogromnych wypraw podbójczych. Co tylko w najważniejszych wydarzało się wojnach, sami cesarze osmańscy przewodniczyli wyprawom. Podczas gdy nawet tak wielkie przedsięwzięcia wojenne, jak oblężenie Wiednia, powierzane bywały mniej dostojnemu naczelnictwu wezyrów: nad Dniestr, przeciwko Polsce, sam cesarz Mahomet IV. po trzykroć w sześciu latach z całym wyruszał dworem. Wtedy liczne oddziały armii tureckiej wydrążały w skałach pobrzeża naddnie-

strzańskiego lodownie dla cukierników sułtańskich — pola buczackie, okryte sieciami niezliczonej zgrai łowczych sułtańskich, bawiły padyszacha nowym rodzajem polowania — w Buczaczu poufni wysłańcy króla polskiego Michała ślubowali Turkom pokój tajemny, zniżający koronę polską do rzędu hołdownych podnóżków Porty — a cesarz Mahomet IV. powtarzał na łowach, podczas przeglądu wojska, u stołu, nawet w nocy, jedyne słowo: „Gdańsk!“[5]) — marzył o rozprzestrzenieniu krańców swojego państwa od morza indyjskiego po Bałtyk.

Ale i padyszachowie miewają marzenia — nieziszczone. W poprzek drogi do Gdańska, w poprzek drogi do Wiednia, stanął Mahometowi IV. mąż jeden, lecz mąż wielki, Sobieski. Daleki jeszcze całkowitemu dzisiaj uznaniu, prawie zapomniany jak jego pobojowisko pod Lwowem, oparł się on całemu nawałowi islamu, i bajecznie szczupłemi siły ocalił nietylko własną ojczyznę, ale cały wschód Europy. Pierwszym z ważniejszych ku temu kroków była przesławna bitwa chocimska roku 1673-go, odwdzięczona wyniesieniem zwycięscy na tron królewski, drugim przedkoronacyjna kampania z roku 1674, przezwana od Francuzów „cudowną“, rozpoczęta szeregiem korzyści oręża tureckiego śród lata, a zakończona nagłą klęską pod zimę, trzecim wreszcie chwała również przedkoronacyjnej jeszcze kampanii z r.

1675-go, nasza wygrana pod lwowską górą zamkową. O niej to bliższa nam wzmianka tutaj.

Chodziło Porcie o uiszczenie pokoju buczackiego, który jej przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego egzekucyi nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś zwycięski oręż nowego króla. Doświadczeniem roku zeszłego nauczyli się Turcy, iż chcąc jakąkolwiek wojnę z Polską szczęśliwym zakończyć skutkiem, należy zakończyć ją wcześnie przed zimą. Stąd już o pierwszej wiośnie wyruszyły tego roku wojska sułtańskie w pole. Wyruszyły z dwóch stron, od Dniepru i Dunaju, dwoma wielkiemi armiami, „zdolnemi (jak mówiono) zawojować nie tylko Polskę, ale pół świata“. Jednę tatarską, rozsypującą się co chwila w drobne łupieskie oddziały, prowadził Han W. Selim-Gieraj, przodkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy którymi słynął osobliwie stryj hański Ssafa-Gieraj, zwany powszechnie od godności swojej „sułtanem Nureddynem“, t. j. wtórym z domniemanych następców tronu hańskiego. Drugiej armii tureckiej przewodził seraskier, czyli najwyższy dowódzca wojsk ottomańskich Sziszman Ibrahim, mający pod sobą 15 baszów, pomiędzy tymi pięciu wezyrów, a nadto obudwóch hospodarów wołoskich. Razem liczono siły nieprzyjacielskie na 150 do 200.000 wojowników.

Przeciw tak wielkiej potędze broniła całej

Polski garstka rozmaicie uzbrojonego wojska, cośkolwiek starodawnej husaryi, kilkanaście chorągwi pancernych i kozackich, kilka pułków piechoty krajowej i cudzoziemskiej, razem zaledwie 25 do 30.000 ludzi, rozrzuconych maleńkiemi kupkami na szerokiej przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. O rychłem powiększeniu obrony, o pospolitem ruszeniu, uznanem oddawna za tłum wcale gnuśny, niesforny, bezużyteczny, nie można było myśleć. Tylko cud, cud jeniusza wojennego, korzystającego przedewszystkiem z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj. Nieukoronowany wciąż jeszcze król obozował w świeżo oswobodzonej Ukrainie. Nieskończenie większy jako wojownik głową, niż jako wojownik szablą, wlepił on chciwie wzrok w poruszenia nadciągających wrogów, śledząc z niespokojnością, na którą z wschodnich prowincyi polskich, na Ukrainę li czy odrazu na Ruś Czerwoną uderzy wyprawa tegoroczna.

Muzułmanie wymierzyli cały swój zamach przeciw królowi, rozlali się po Ukrainie. Jan Sobieski odetchnął. „Seraskier Ibrahim niedołęga!“ — zawołał. — „Nim jesień minie, ubędzie jego ogromnej armii!“ Zaczem umyślnie ustępując mu miejsca, cofnął się Sobieski na Ruś, a Tatarzy i Turcy zaczęli dobywać zamków i miast ukraińskich. Zabrało im to wiele czasu i nie przyniosło najmniejszego pożytku, gdyż prawie wszystkie

oblężone twierdze oparły się nieprzyjaciołom, kiedy tymczasem król coraz warowniejszą pozycyę umacniał sobie na Rusi. Obierając Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go Jan z daleka szerokiem półkolem twierdz, poruczonych najdoświadczeńszym mężom. W Brodach i Załościach zamknął się z trzema tysiącami żołnierza hetman polny koronny, książę Dymitr Wiśniowiecki; w Złoczowie z takąż samą liczbą wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski; w Brzeżanach chorąży W. kor. Sieniawski, w Podhajcach Makowiecki, w Zbarażu pułkownik Desauteuils, w Trębowli Samuel Chrzanowski. Całe pogranicze między Wołyniem i Podolem a Rusią najeżyło się warowniami, uzbrojonemi za staraniem wielkiego króla bogdaj mieszczańską, bogdaj chłopską załogą. Nadto jął się Sobieski zwyczajnego środka paraliżowania wojny traktatami o pokój. Na wezwanie hana W. udało się trzech pełnomocników królewskich do obozu Tatarów, aby za pośrednictwem Selim-Gereja zawiązać układy z Ibrahimem.

Tym sposobem postęp oręża ottomańskiego coraz szkodliwszej doznawał zwłoki. Cesarz Mahomet IV., czyli właściwie wszechwładny wezyr W., Ahmed Kiupriuli, dziedzic dostojeństwa, geniuszu i światoburczych zamysłów swego ojca Mahometa Kiupriuli, zżymał się z niecierpliwości. Ibrahim otrzymał rozkaz zawojować czemprędzej bozbronną Polskę z jej królem, albo dać gardło.

Gdyby mu wojska nie stało, nadejdzie druga armia, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbiera się trzecia pod dowództwem samegoż padyszacha, na polach Adryanopola.

Dumny seraskier Ibrahim złożył się przed dywanem, że już dawno byłby schwytał króla polskiego, lecz nie wie, gdzie się podział. Aby go więc odszukać, aby własne ocalić gardło, rzucił się seraskier przyspieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armie najeźdźcze, licząc przeszło 100.000 ludu zbrojnego. Owi orędownicy polscy, stanąwszy za tatarskiem pośrednictwem przed naczelnym wodzem tureckim, zostali hardo przyjęci. „W dwóch słowach zamknijcie waszą prośbę“ — ofuknął ich seraskier — „bo trzeciego słuchać nie będę.“ — „Dwa za mało!“ — odpowiedzieli smutno posłowie.

Ibrahim kazał wziąć ich pod straż i prowadzić z sobą za wojskiem, jako świadków spodziewanych teraz tryumfów muzułmańskich. Nastąpiły też w istocie wszelkie wysilenia przemocy i srogości. Palono wszystkie sioła przed sobą, wbijano na pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie opanowaną twierdzę zbarazką dał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu do-

koła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajec zagnano przeszło 30.000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znaczniejszych miast i grodów uległo zniszczeniu. Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł, unosił życie za Wisłę. Cała nawalnica nieprzyjacielska zdążała już ku Złoczowowi, mierząc prosto na Lwów.

Lwów został po raz wtóry głównym szańcem królestwa. Troskliwy o niego król przybył spiesznie do miasta. Za nim zjechała także z całym dworem królowa. Przygotowano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy pragnęli podzielać społem.

Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełne prawie ogołocenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca strwożone dokoła serca. Mając wjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonii i ogniów w mieście. W tem doszła go wiadomość o owem doniesieniu Ibrahima do Carogrodu, jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto zagrzmiało w powitanie ze wszystkich dział, dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleść króla. Ta starorycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazywała się wrogom. Dziki, zabobonny, oryentalną wyobraźnią mamiony Tatar i Turek był

aż nadto skorym do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielą dopiero dniami, przystępując do zdobywania Załoziec i chcąc zasięgnąć wróżby w tej mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu z pod Załoziec.

Wiadomo, jak dalece później sama obecność króla Jana rzucała bajeczny postrach na wrogów. Może takąż samą i teraz nadrabiając nad nimi władzą, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnej chwili posiłków, znalazło się przy królu sześć do ośmiu tysięcy ludzi, którymi dowodzili częściowo szwagier królewski i hetman polny litewski, Michał książę Radziwiłł, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidziński, słynny kawaler maltański Lubomirski, jenerał Korycki, pułkownikowie Miączyński i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla, pozostało zaledwie 2000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiej dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnymi, poza ową nagą piaskową górą i odroślami bocznemi, które przechadzającym się po dzisiejszych plantacyach ponad łazienkami Kisielki, ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek szczęśliwem mogło być poło-

żenie, jakkolwiek ufano wojennej sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejsze miejsce schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż tu oczekiwać będzie nieprzyjaciela i jak przed ośmiu laty w Podhajcach, pobije go podjazdami, lub zginie.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Dość pomkniona już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapał armii tureckiej, wszystko zniewalało Turków do kroku stanowczego. Na polach między Płuchowem a Jezierną, stanowiskami Ibrahima i W. Hana Selim-Gieraja, odbywała się wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiej, postanowiono wyprawić znaczną część armii pod Lwów, dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tem wyraźnie była mowa) aż po Lublin albo Jarosław, a potem z resztą armii chciano otoczyć i zdobyć miasto.

Pierwszą połowę dzieła, wymagającą nadewszystko szybkości, poruczono głównie Tatarom. Prawie cała orda, z pozostawieniem jedynie szczupłej garstki przy hanie i jasyrze, a przybrawszy natomiast ochotników tureckich, wyruszyła pod naczelnictwem baszów Ssaffa-Gieraja, Nureddyna i Adżi-Gieraja, w 40.000 wybrakowanych junaków, całym pędem na Lwów. Dnia 23. sierpnia otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek złoczowski, skąd waleczny wojewoda ruski Ja-

błonowski przez kilka godzin armatnim smagał ją ogniem. Tegoż samego dnia, w piątek przed św. Bartłomiejem, doszła do Lwowa pierwsza wiadomość o grożącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Miączyńskiego, który w 2.500 ludzi wyprawiony na podjazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast dostawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniowscy nie wiedzieli dokładnie, jaka właściwie siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski i przypuszczono w rzeczy powszechnie, że przyjdzie wytrzymać zamach obudwóch połączonych armii nieprzyjacielskich. Oczekując co chwila ich przybycia, pospieszyło wszystko na stanowiska. Mieszczanie rzucili się z bronią w ręku na mury, lud, kobiety, duchowieństwo zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami, wzywającymi do modłów w niebezpieczeństwie, uderzyły z wyższego zamku armaty, dając znać mieszkańcom przyległych sioł, aby uciekali przed ordą nadciągającą. — W niedzielę 25. sierpnia, o samem południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących stamtąd czat przednich rozniósł się powszędy głos: nieprzyjaciel! Zatrzymany dotychczas w mieście Sobieski pożegnał teraz królowę, która wraz z ludem udała się w procesyi do kościoła katedralnego,

a król z całym dworem wojennym pognał do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórzów zamkowych i przyległych (skąd Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury. Nieprzyjaciel znajdował się w odległości Biłki królewskiej. Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpniowej rozpromieniła cały widokrąg. W tem naraz zaczerniało niebo okropną tuczą nad Biłką i ciągnącemi tamtędy nieprzyjaciółmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Biłce na Muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednej chwili wszystkie okoliczne pola pobielił. „Nie sprzyja Bóg zamachowi“ — przeniknęło tajemną trwogą ordę i Turków, głośną otuchą chrześcijan. Korzystając z pomyślnego pomiędzy swymi wrażenia, zachęcił król do tem ściślejszego wykonania rozkazów. Szczupłe, pięcio- a najwięcej ośmio-tysięczne wojsko królewskie otrzymało następujący szyk bitwy. Pewną część wojska, pod wodzą książęcia Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, wyprawił król gościńcem sichowskim aż ku Bóbrce, aby z tej najdalszej na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu i niedać mu obejść króla z ubocza. Reszta sił została podzielona na troje. Jedna część czyli prawe skrzydło, pod jenerałem Koryckim, stanęło poza rogatką Łyczakowską, na gościńcu

winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego kor. Sieniawskiego i podkomorzego bełzkiego, oparło się o podnóże zamku wysokiego, ku rogatce żółkiewskiej i szerokim tamże błotom od strony Zboisk. Król ze swoim obozem na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego Zniesienia tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem kor. Bidzińskim, kilka husarskich, siedm pancernych, trzy kozackie, i cokolwiek piechoty z niewielą działek, razem mało co nad 2000 ludzi.

Położenie obozu było według szczegółowych doniesień takie, iż mając wystąpić z niego na płaszczyznę pobojowiska ku Żółkwi, należało naprzód iść w górę ze 300 kroków, potem drugich 300 grzbietem wzgórzów między obozem a płaszczyzną a wreszcie ciasnym wąwozem, najeżonym zaroślami, spuścić sie na płaszczyznę. Ku temuż wąwozowi musieli kierować się Tatarzy, chcąc opanować obóz królewski, co w istocie stanowiło główną metę wyprawy. Dlatego zwrócił król wszelką uwagę na ten przesmyk, osadził kilkaset strzelców ukrytych w gęstwie, ustawił w pobliżu wołoskie chorągwie Bidzińskiego na straży, a na jednem ze wzgórzów nad wąwozem, zatoczył kilka dział, zdolnych ostrzeliwać stamtąd równinę.

Nie za tąż jednak osłoną, nie w samymże obozie, zdało się wytrzymać główny atak nieprzy-

jaciela. Przyzwyczajony uprzedzać go znienacka, zamierzył król i dzisiaj użyć tej zuchwałości, szczęśliwej gdy posiłkowanej jeniuszem. Zaczem obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski wojsko zwoje na wzgórza nad równiną, aby w danej chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiące główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełamanych zastępów, lecz mniej użyteczne w spotkaniu się z lekkiem, pierzchliwem jak wiatr Tatarstwem, nie wielką wróżyły tam skuteczność, przeto zabłysnął królowi nagle jeden z owych pomysłów, który dogadzając naprzód pewnej poszczególnej potrzebie, okazuje się z wielu innych jeszcze względów korzystnym. Przeciwko mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesądnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarkiej, wydał król rozkaz, aby cała husarya złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopie, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopii i rynsztunków husarkich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmiernej podówczas liczbie ciurów i służby obozowej. Zaimprowizowana tak niespodziewanie husarya, nie mająca innego przeznaczenia, jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, w dwójnasób na pozór powiększyła siły królewskie. Cudownym wpływem

jeniuszu ubożuchna armia obronna sprawiała wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska, wzgórza i lasy zamieniły się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszege, ci, którzy w innym razie byliby blizcy rozpaczy, teraz tuszyli sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn z swoją ordą postępował naprzód śród gromów burzy gradowej, śród huku ciągłych strzałów sygnałowych z zamku wyższego, śród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartej z południa okazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgórzów zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężycem, rozciągniętym od Zboisk aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana polnego Radziwiłła z relacyą, iż nie masz nigdzie Tatarów w tamtej stronie. Nadeszłem z sobą wojskiem wzmocnił hetman obadwa skrzydła, przydzielając husaryę husaryi, hufce lekkie chorągwiom lekkim. Poczem w zamiarze zwarcia się wstępnym bojem z pogaństwem, sprowadził Sobieski swoje wojsko ze wzgórzów na płaszczyznę i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie.

Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewem skrzydle pod zamkiem wyższym, u przeprawy przez błota koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie od przemożniejszego wroga ciśnięte chorągwie poczęły się tam mieszać i cofać.

W tej stanowczej chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeżegnał i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko i z trzykrotnem okrzykiem „Żyje Jezus!“ na ustach, rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie.

Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewem skrzydle. Gdy jedne oddziały armii muzułmańskiej z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i przyległe parowy przedrzeć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytej w zaroślach piechoty niezmierną czyniły szkodę. Z tym samym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa ze wzgórzów. Raźne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój. Długo czekały zgromadzone w świątyniach miejskich rzesze, aby nadeszła wieść ocalenia. Z przed obrazu Matki Boskiej w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego i upadła tam na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej. Obawa, aby mrok wieczorny nie wsparł przeważnego nieprzyjaciela, natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysileń. Złamany niem wróg, stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husarya na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bez-

pieczeństwie. A równie nagłe w odwrocie jak i w natarciu, pierzchnęło Tatarstwo w jednej chwili na wszystkich punktach. O pierwszym cieniu nocnym nie było go już na widokręgu. „Jakby widmo straszliwe“ — mówi jeden z spółczesnych[6]) — „zjawiła się ta ogromna armia w przeciągu kilku godzin przed oblężonem miastem i znikła.“ Tylko czerwieniejący z dala pożar Lesienic, Mikłaszowa, Kamieniopola, zapalonych przez ordę dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkodziła ścigać uciekających. Nie wiedziano zresztą z pewnością, czy nagła rozsypka tak przemocnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortelem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiedziano w ogólności, czy z samym jedynie Nureddynem, czy z całą armią Ibrahima i Hana, stoczono bitwę. W każdym razie zdało się niewątpliwą, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę. Dlatego kazał król pozostać wojsku przez noc na pobojowisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz w niebogłosy brzmiały modły dziękczynne. Po Panu Bogu i królu dopomogli do zwycięstwa najwięcej szwagier królewski hetman polny litewski książę Michał Radziwiłł, późniejszy wojewoda wołyński a teraźniejszy podskarbi nadworny Atanazy Miączyński, podko-

morzy chełmiński i jenerał piechoty Krzysztof Korycki, wreszcie pułkownik Aleksander Polanowski i sławny kawaler maltański, a później kasztelan krakowski książę Hieronim Lubomirski.

Jedno z owych dziwnych zwycięstw turecko-polskich, w których nieraz sama wrażliwość i przesądność fantazyi oryentalnej, sam postrach imienia dowódzcy chrześcijańskiego, decydowały o losie bitwy, kosztowała wygrana pod Lwowem cale niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni, zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali trupów ze sobą i spalili ich w drodze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomorzan płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiero nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranej. Ranek 26. sierpnia ujrzał armię nieprzyjacielską w ucieczce, już o 8 mil od Lwowa. Jednej nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi z pod Lwowa, ile ciągnąc pierwej pod Lwów, uszli w trzech dniach i nocach. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającymi nadbiegły do obozu Ibrahima i Hana. Przedstawiono króla polskiego panem ogromnej armii, w zwycięskim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obudwóch wojsk, kazali coprędzej zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakąkolwiek pomyślno-

ścią wojenną postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyźnie zdobyć zamek w Trębowli. Dowódzca tameczny Chrzanowski utrzymał się aż do przyobiecanej odsieczy króla. Jakoż nie dał Sobieski czekać długo na siebie. W pięć tygodni po zwycięstwie pod Lwowem znalazł się wielki wojownik na czele 20.000 żołnierza, pościąganego z bezpieczniejszych w tej chwili twierdz, i z tem wielkiem dla niego wojskiem pospieszył ścigać podwójną armię nieprzyjcielską, która do niedawna liczyła 180.000 ludzi.

Dnia 6. października dowiedział się przerażony seraskier pod Trębowlą o nadciąganiu króla, a w kilka dni później, po nagłem ustąpieniu Ibrahima popod Kamieniec za Dniestr i podobnemże ujściu ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiej.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanię roku 1675-go. Z kampanią w r. 1675-tym spełzł na niczem jeden z owych gwałtownych szturmów, jakimi Oryent od wieków uderzał w świat zachodni. Na owej szeroko rozpostartej płaszczyźnie, po której codziennie spoglądamy z góry zamkowej, odegrała się jedna z najheroiczniejszych scen, jakiemi zachód opierał i oparł się tym szturmom. Miasto oswobodzone, kraj ocalony, całe chrześcijaństwo zwycięskim puklerzem zasłonione — oto pojedyncze rysy tego wielkiego wspomnienia historycznego, które jednym

z mniej znanych acz najwspanialszych wdzięków przyozdabia codzienną przechadzkę naszą. Patrząc na owe domki poblizkiej wsi Zniesienia, które na prawo od łazienek Kisielki wznoszą się na wzgórzach i śród parowów, widzimy żywe pomniki odświeżonego tutaj wypadku. Wieś Zniesienie, nazwana według wiadomej tradycyi od zniesienia Tatarów w r. 1675, stanęła na jednem z najpamiętniejszych punktów tej bitwy. U spółczesnych, nie znających jeszcze Zniesienia, nazywa się ona bitwa pod wsią Lesienicami.[7])

Przypiski.

[1]) Salvandy. *Ce grand capitaine qui n'avait jamais été si grand.*

[2]) *This memorable victory, the greatest perhaps that has been known in any age.*

[3]) *Cette admirable campagne, que rien peut-être n'égale dans les siècles antérieurs, qui a été à peine surpassée de nos jours.*

[4]) *La protection divine y a paru plus que jamais sur la Pologne, et le ciel y a sensiblement fait voir, qu'il défendoit luy-mesme ce boulevard de la chrestienté, qui seul la met à couvert des ravages de ses plus redoutables ennemis.*

[5]) Salvandy. *Hist. de Pol. avant et sous Jean Sobieski.*

[6]) Dalerac *Anecdotes de Pologne.*

[7]) Wszystkie szczegóły bitwy skreślone są według jej opisów spółczesnych. Znajdują się takowe w dziełach nastepujących: 1) Relacya o potrzebie i transakcyej z Tatarami, która się odprawowała 25. sierpnia pod Lwowem pod wsią Lesienicami *A. D.* 1675 — w Zimorowicza Historyi miasta Lwowa, przekł. M. Piwockiego, Lwów 1833 str. 478. 2) *La victoire remportée par le Roy de Pologne sur les Tartares près Leopol,* w *Gazette de France* z r. 1675 str. 765—776. 3) Załuski *Epistolae historico-familiares* tom I. str. 574—577. 4) Józefowicz *Annalium urbis Leopoliensis tomus extravagans*, rękop. Bibl. Ossolińsk. *fol.* str. 864. 5) Jemiołowski *Pamiętnik*, Lwów 1850 str. 242—245. 6) *History of Poland by Bernard Conncr* Londyn 1698 tom I. str. 168—169. 7) Dalerac, *Anecdotes de Pologne,* Paris 1699 tom I. str. 19—21.